

**WSPOMNIENIA
SIERADZKICH ŻOŁNIERZY
ŁĄCZNOŚCIOWCÓW**

SIERADZ 2009

WSPOMNIENIA

SIERADZKICH ŻOŁNIERZY ŁĄCZNOŚCIOWCÓW

**STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ
15 SIERADZKIEJ BRYGADY WSPARCIA DOWODZENIA**

WSPOMNIENIA SIERADZKICH ŻOŁNIERZY ŁĄCZNOŚCIOWCÓW

REDAKCJA

Jan Kowalski

KOREKTA

Jan Stanisław Jeż

OPRACOWANIE GRAFICZNE

Jan Kowalski

WYDAWCA

Stowarzyszenie Przyjaciół

15 Sieradzkiej Brygady Wsparcia Dowodzenia



Książka dofinansowana ze środków
MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ



DRUK I OPRAWA

Zakład Poligraficzny **POLGRAF**



SPIS TREŚCI

Wstęp.....	9
Odległe wspomnienia	10
<i>por. Józef Nowak</i>	
Żołnierska droga.....	12
<i>por. Józef Umiński</i>	
W salach wykładowych i na poligonach.....	42
<i>plk Zygmunt Szwej</i>	
Początek służby wojskowej.....	95
<i>plk Zbigniew Wilanowski</i>	
40 lat w mundurze.....	106
<i>pplk Tadeusz Lagunowski</i>	
Moja droga do Wojska Polskiego	110
<i>pplk Józef Kowalski</i>	
Ciągle w Sieradzu.....	126
<i>pplk Roman Kuszak</i>	
Najdłużej w garnizonie Sieradz.....	141
<i>pplk Władysław Pacek</i>	
Pierwszy tydzień w Sieradzu	158
<i>pplk Jan Stanisław Jeż</i>	
Wspomnienia oficera i sportowca	174
<i>plk Karol Kociałkowski</i>	
Ponad dwa lata w Sieradzu.....	216
<i>plk Aleksander Kubera</i>	
Ważny etap w karierze.....	229
<i>gen. bryg. Andrzej Szymonik</i>	
Kolejne garnizony.....	240
<i>plk Jan Kowalski</i>	

W S T Ę P

*Mimo to fakt pozostaje faktem: całość jest ważniejsza niż szczegół. Wszelkim próbom zbadania jakiegoś wybranego elementu całej sceny powinno towarzyszyć – lub nawet takie próby poprzedzać – przyjęcie jakiejś szerszej ramy, w którą można ową część wpasować.*¹ Trudno nie zgodzić się z tą tezą znanego i cenionego w Polsce historyka. Gdyby było inaczej, któż z nas znałby dobrze historię? Kto czytałby szczegółowe opisy z okresu tysięcy lat, by tą historię poznać? Natomiast znając ogólnie historię, z ciekawością czytamy wspomnienia i pamiętniki z różnych epok.

Kierując się tą logiką, opracowana została najpierw historia Garnizonu Sieradz. Niniejsze wspomnienia rozszerzają tę historię poprzez szczegółowe spojrzenie na nią przez tych, którzy stanowili część minionych lat sieradzkich jednostek wojskowych. W prezentowanej książce znajdziemy wspomnienia żołnierzy służących w 31. Pułku Strzelców Kaniowskich, Oficerskiej Szkoły Łączności, Batalionie Radiolinii, 15. Pułku Radioliniowo-Kablowym oraz w 15. Sieradzkiej Brygadzie Radioliniowo-Kablowej i 15. Sieradzkiej Brygadzie Wsparcia Dowodzenia. Jako pierwsze przedstawione są wspomnienia najstarszych sieradzkich żołnierzy, liczących dzisiaj po 95 lat. Ze wspomnień porucznika Józefa Umińskiego dowiadujemy się trochę o przedwojennym Sieradzu, jak również o służbie w 31. PSK. Obydwaj weterani zapoznają nas ze swoimi żołnierskimi losami w okresie walk we wrześniu 1939 roku. Prezentowane przez autorów wspomnienia ułożone są w kolejności rozpoczynania przez nich służby w garnizonie Sieradz. Taki układ pozwoli na poznawanie opisywanych wydarzeń zgodnie z czasem ich zaistnienia.

Dziękuję wszystkim, którzy przyczynili się do wydania niniejszej pozycji. Szczególne wyrazy podziękowania kieruję do autorów poszczególnych wspomnień. Jeżeli kolejni nasi towarzysze służby zechcą napisać swoje wspomnienia, wówczas prezentowana

¹ Norman Davies – „Europa walczy”

książka stanie się tylko pierwszym tomem wspomnień. Tym kolegom, którzy zastanawiają się czy pisać swoje wspomnienia dedykuję myśl Stanisława Jerzego Leca: ***Można oczy zamknąć na rzeczywistość, ale nie na wspomnienia.***

Myślę, że ta książka dostarczy czytelnikom niebędącym w przeszłości żołnierzami ciekawych informacji, zaś żołnierzom sieradzkich jednostek miłych wspomnień o latach minionych i o swoich kolegach i przyjaciółach.

Życzę przyjemnej lektury.

*Prezes
Stowarzyszenia Przyjaciół 15 SBWD
Jan Kowalski*



Ppor. Józef Nowak

Przebieg służby wojskowej:

*31 Pułk Strzelców Kaniowskich:
zasadnicza służba wojskowa,*

*żołnierz rezerwy: zmobilizowany 3
września 1939 roku.*

ODLEGŁE WSPOMNIENIA

Urodziłem się w 1914 roku w wsi Bogumiłów. Wioska ta położona jest w gminie Sieradz, na skraju doliny Żegliny, wśród zalesionych wzniesień, 4 kilometry na południe od Sieradza.

Gdy miałem siedemnaście lat, wyjechałem do Łodzi. Chciałem wyuczyć się zawodu piekarza i to mi się udało.

Jesienią 1936 roku dostałem wezwanie do odbycia zasadniczej służby wojskowej w 31. Pułku Strzelców Kaniowskich. Skierowano mnie do 4. kompanii w 2. batalionie. 1. batalion był już w Sieradzu. Cała jednostka przeprowadzała się do nowych koszar znajdujących się na terenie Sieradza. Dowódcą 4 kompanii był kapitan Wołoszyn. Do listopada 1937 roku pułkiem dowodził ppłk dypl. Jan Ciastoń. Kompania, w której się znalazłem nazywała się kompanią wartowniczą. Tak się złożyło, że 60 żołnierzy z tej kompanii posiadało zawód piekarza. Po zakończeniu szkolenia rekruckiego wysłano nas do Warszawy. Przeszliśmy tam szkolenie w Piekarni Polowej WP, w jednostce przy ul. Jagiellońskiej. Po ukończeniu kursu skierowany zostałem do dzielnicy Chojny w

Łodzi. Przebywałem tam do zakończenia zasadniczej służby wojskowej.

3 września 1939 roku powołany zostałem ponownie do wojska w celu obrony kraju. Po zmobilizowaniu ruszyliśmy z Łodzi do Warszawy. W Warszawie dowództwo zdecydowało, że musimy opuścić Polskę. Ruszyliśmy w kierunku granicy rumuńskiej. Kierowaliśmy się w stronę Lwowa przez Kowel i Łuck. Niestety, granicy polskiej nie przekroczyliśmy. 18 września, pod Łuckiem, zatrzymali nas sowieccy żołnierze, którzy w przeddzień dokonali agresji na terytorium Polski. Po dwóch dniach wraz z innymi kolegami uciekłem z rosyjskiej niewoli. Następnego dnia złapano nas i ponownie znaleźliśmy się w rosyjskim obozie jenieckim. Po kilku dniach znów uciekliśmy, tym razem skutecznie. Uciekaliśmy w kierunku zachodnim. Teren, na którym znaleźliśmy się był już zajęty przez wojska niemieckie. Trafiliśmy tym razem do niemieckiej niewoli. Niemcy trzymali nas w obozie przejściowym na lotnisku w Radomiu. Po dwóch tygodniach załadowano nas do pociągu i skierowano do Niemiec. Po drodze uciekłem z transportu i wróciłem do domu.

W 1941 roku ponownie znalazłem się w niemieckim transporcie kolejowym. Tym razem wywieziono mnie na przymusowe roboty do Niemiec. Z niewolniczej pracy wróciłem do domu w maju 1945 roku.

Ppor. rez. Józef Nowak

Sieradz, 02.06.2007 r.



Por. Józef Umiński

Przebieg służby wojskowej:

31. Pułk Strzelców Kaniowskich:
zasadnicza służba wojskowa –
dowódca drużyny,
służba nadterminowa - zastępca
dowódcy plutonu.

MOJA SŁUŻBA WOJSKOWA

Urodziłem się 25 lipca 1914 roku we wsi Prażmów, w gminie Burzenin. Niedługo później ks. Sadowski ochrzcił mnie w kościele p.w. św. św. Wojciecha i Stanisława położonym nad Wartą w Burzeninie. Ojca nie pamiętam i chyba nigdy go nie widziałem. Gdy przyszedłem na świat mój ojciec Tomasz służył w carskim wojsku, gdyż powiat sieradzki znajdował się w guberni kaliskiej zaboru rosyjskiego. Ojciec, po wcieleniu do carskiej armii, został skierowany w głąb Rosji. Pułk, w którym służył stacjonował w Tbilisi, stolicy tyfliskiej guberni. Pod koniec pierwszej wojny światowej służył w 4 Dywizji Strzelców Polskich dowodzonej przez gen. Żeligowskiego. Wraz z nią wrócił do Polski. Brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej, podczas której zginął w nieznanym mi miejscu ani czasie. Mój dziadek Marcin Rutkowski i jego syn Franciszek również służyli wiele lat w carskim wojsku. Udało im się jednak wrócić cało do swojej wioski.

Matka samotnie wychowywała mnie i starszą o dwa lata moją siostrę. Przez pewien okres mieszkaliśmy u rodziny wujka

Franciszka Rutkowskiego. Później przenieśliśmy się do Burzenina. Gdy miałem sześć lat zabrał mnie do Złoczewa wujek Wincenty. Pomagałem tam paść krowy, podczas gdy jego dwaj synowie chodzili do szkoły. Po dwóch latach wróciłem do matki, by niedługo znów znaleźć się w Złoczewie.

Moi dziadkowie Umińscy wyjechali wcześniej w Poznańskie. Nie mieliśmy z nimi kontaktu. Pewnego razu odnalazła nas znajoma pochodząca z Prażmowa. Przyjechała ona z Wielkopolski z wizytą do swojej rodziny. Od niej dowiedzieliśmy się, że dziadkowie mieszkają w Sęszewie i pracują w miejscowej roszarni.

Pewnego dnia, mając dość sierociego życia, postanowiłem poszukać swego szczęścia u dziadków Umińskich. Nic nikomu nie mówiąc, wziąłem pajdę chleba za pazuchę i ruszyłem w nieznany świat. Do Sieradza dojechałem wozem konnym rozwożącym towary. Dla niespełna dziesięcioletniego chłopca był to już duży świat. Wiedziałem, że dalej muszę jechać pociągiem. Ale jak tu wsiąść do pociągu, gdy wejścia na perony pilnują bileterzy, którzy nie wpuszczają nikogo bez ważnego biletu lub tzw. peronówki. Wszedłem za kobietą z dzieckiem, udając, że jestem jej synem. Ukrywając się w wagonach, dojechałem do Poznania. To był dla mnie dopiero wielki świat. Zagubiony i wystraszony spytałem napotkanego kolejarza, jak dojechać do Sęszewa. Wskazał mi pociąg, którym znów jako gapowicz dojechałem do upragnionego Sęszewa. I co robić dalej? Trochę popłakałem, rozmazując brud i sadze na twarzy. Przemyłem policzki w strumieniu i udałem się pod fabrykę. Wychodząca z niej kobieta wskazała mi drogę do dziadków. Udałem się tam. Drzwi otworzyła babcia. Po czułych powitaniach, kąpieli i kolacji zaczęła się dopytywać, gdzie poszła matka i czy zaraz tu będzie. Nie chciała wierzyć, że dojechałem tu sam. Po trzech tygodniach przyjechała również i matka. Jej radość mieszała się ze złością. Rodzina i znajomi długo szukali mnie w Złoczewie i okolicy. Po pewnym czasie zaprzestali poszukiwań, sądząc, że już nie żyję. Tylko matka nie dała za wygraną. Po dwóch miesiącach pożegnaliśmy dziadków i udaliśmy się w drogę powrotną.

Po powrocie zamieszkaliśmy w Sieradzu, najpierw w Rynku a później naprzeciw kolegiaty. Kolejne nasze mieszkanie znajdowało się przy ul. Warszawskiej nr 6.

Warunki życia naszej rodziny były trudne. Mama pracowała dorywczo, a wydatków było dużo. Musiała opłacić czynsz za mieszkanie, wykarmić i ubrać dwoje dzieci. Bywało nieraz, że w domu brakowało jedzenia. Pamiętam taki jesienny wieczór, kiedy matka długo pracowała, a ja i siostra siedzieliśmy przy świecy bardzo głodni, gdyż w domu nie było co jeść. Gdy matka wróciła do domu zaczęliśmy się uskarżać, że jesteśmy głodni. Zmęczona i zdenerwowana matka nakrzyczała na nas. Zrozpaczony chwyciłem czapkę i wybiegłem z domu. Nie chciałem być ciężarem dla rodziny. Poszedłem do spiętrzenia wody na Żeglinie by się utopić. Zbliżałem się chodnikiem do rzeki, gdy nagle wiatr przywiał mi pod nogi zmięty papierek. Szedłem dalej, a papierek podwiewał mi ciągle pod nogi. Gdy go wreszcie podniosłem okazało się, że był to banknot dwuzłotowy. Poweselałem i zapomniałem o samobójczych myślach. Zawróciłem do domu kupując po drodze chleb u piekarza Skrzypińskiego. W domu poczułem się jak bohater, gdy matka pokroiła chleb dla całej rodziny.

Po pewnym czasie znalazłem dorywczą pracę w rozlewni wódek i likierów u Sztulmana. Rozlewnia znajdowała się w rejonie dzisiejszego archiwum przy ul. Polskiej Organizacji Wojskowej.

Przez pięć lat uczęszczałem do szkoły podstawowej znajdującej się u zbiegu ulic Warckiej i Sienkiewicza. Dyrektorem szkoły był pan Suchaj, a nauczycielami byli m.in. Nowicka, Izdebska, Sztolc.

Po ukończeniu piątej klasy rozpocząłem naukę w zawodzie malarza pokojowego u Leonarda Jacha. Praktykowałem przez trzy lata. Nie zdążyłem jednak zdać egzaminów czeladniczych, gdyż mój mistrz wyjechał do pracy w Gdyni.

Kolejną pracę znalazłem w betoniarni, której właścicielem był Antoni Błochowicz. Zakład ten znajdował się przy ul. POW, w miejscu gdzie dzisiaj jest zakład gastronomiczny „Kasyno”. Błochowicz i Margiel budowali w późniejszych latach budynki liceum ogólnokształcącego oraz kamienicę przy ul. POW. W tej

kamienicy wynajmowali mieszkania wojskowi z 31 Pułku Strzelców Kaniowskich. W latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku mieściła się w tym budynku Komenda Rejonowa Policji. W betoniarni pracowałem trzy lata. Zdobywałem doświadczenie, wraz z którym rosły moje zarobki. Po pewnym czasie przesunięto mnie do produkcji dachówek. Zarabiałem wówczas 2,5 zł. na dzień. Po osiągnięciu wyższych umiejętności wyrabiałem dachówki samodzielnie. Wówczas ponownie zwiększyły się moje zarobki. Za wyrób 1000 sztuk dachówek otrzymywałem 15 złotych. Po kilku latach prosperity pojawiły się trudności ze zbytem. Właściciel zwolnił sporą część pracowników. Wśród nich byłem i ja. Znalazienie pracy w tym okresie było nie lada sztuką.

Nową pracę znalazłem pod Koninem przy budowie wałów przeciwpowodziowych. Praca ta polegała na wożeniu taczka ziemi i usypywaniu jej na wale. Gdy i tu skończyła się praca, wróciłem do Sieradza.

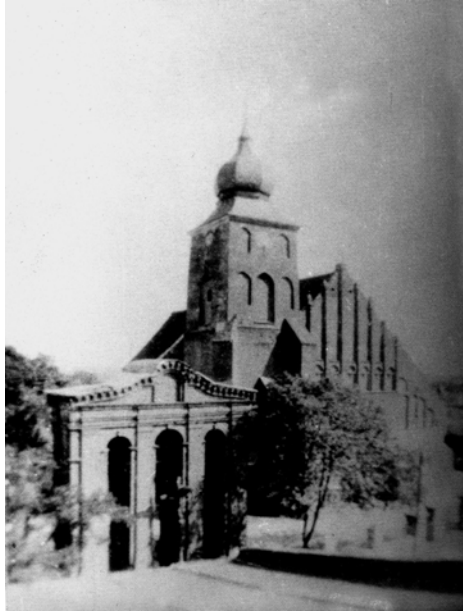
Dowiedziałem się, że jest możliwość otrzymania zapomogi. Można ją było uzyskać po przepracowaniu 36 tygodni w zakładzie, który funkcjonował tylko w sezonie. Po otrzymaniu zaświadczenia z takiego zakładu wypłacano zapomogę przez 10 tygodni w wysokości 9,25 zł co dziesięć dni. Gdy udałem się ze stosownym zaświadczeniem po zapomogę, okazało się, że jej nie otrzymam, bo nie jestem pełnoletni. Za parę dni powróciłem do urzędu jeszcze raz z nowym zaświadczeniem, na którym byłem już pełnoletni. To nowe zaświadczenie wystawił mój zakład, gdy powiedziałem, że pomyliłem się poprzednio, podając swój wiek.

W następnym sezonie poszukiwałem pracy na kolei. Chętni do pracy przychodzili rano do stacji kolejowej w Sieradzu. Zawiadowca stacji wybierał spośród przybyłych tylu pracowników ile w tym dniu było wolnych miejsc. Była to praca sezonowa przy naprawie nasypów i torów kolejowych. Chętni do pracy rekrutowali się najczęściej spośród małorolnych i bezrolnych chłopów z okolicznych wsi, takich jak Męka czy Zapusta. Nie wyglądałem przy nich zbyt tęgo, a praca na torowiskach była ciężka. Nic dziwnego, że zawiadowca nie wybrał mnie do pracy. Jednak nie dałem za wygraną. Poszedłem do biura zawiadowcy z prośbą by jeszcze raz

rozpatrzył możliwość przyjęcia mnie do pracy. Zawiadowca najpierw powiedział, że wolnych miejsc już nie ma, ale widząc mój upór, zaczął się zastanawiać, a w końcu poddał mnie egzaminowi. Był to egzamin bardziej z elokwencji i sprytu, niż z wiedzy fachowej. Moje odpowiedzi najwidoczniej go zadowolily, bo kazał zgłosić się na drugi dzień do torowego Kamińskiego, który odpowiadał za tory na odcinku od cmentarza w Sieradzu do Męckiej Woli. Nazajutrz stawilem się do pracy. Nie spotkałem się tam z życzliwym przyjęciem przez pozostałych robotników. Stanowili oni grono znających się i wielokrotnie tu pracujących chłopów. Ja byłem dla nich młodym intruzem, który zajął miejsce jednemu z nich. W miarę upływu kolejnych dni ciężkiej pracy byłem coraz bardziej akceptowany przez współpracowników.

Pewnego razu widziałem, jak torowy malował znaki sygnalizacyjne ustawiane w odległości 250 metrów przed prowadzonymi pracami na torach. Nie wychodziło mu to najlepiej. Zaproponowałem, że pomaluję pozostałe znaki. Po otrzymaniu zgody wykorzystałem całą wiedzę zdobytą podczas nauki u mistrza malarskiego. Ta niespodziewana prac pomogła zmienić moją sytuację. Zostałem skierowany do zawiadowcy. Otrzymałem zadanie wymalowania świetlicy kolejowej, a później kolejne prace remontowo-malarskie. Jakież było moje zaskoczenie, gdy płatnik, który przyjeżdżał z Ostrowa Wielkopolskiego, wręczył mi wynagrodzenie w wysokości 120 zł za miesiąc pracy. Była to naprawdę wysoka pensja.

Po trzech miesiącach kończyły się prace sezonowe na kolei. Skończyła się więc i moja praca. Okazało się jednak, że los uśmiechnął się do mnie po raz kolejny. W niedzielę, wychodząc po mszy z kolegiaty, spotkałem zawiadowcę, który również wychodził z kościoła. Gdy go pozdrowilem, zatrzymał się na chwile i zapytał, dlaczego nie przychodzę do pracy. Kazał mi w poniedziałek przyjść na stację. Nazajutrz otrzymałem propozycję stałej pracy. Z radością przyjąłem tę ofertę. Zostałem skierowany przez kolej na badania lekarskie. Moje życie powoli zaczęło się normować. Niestety, nie na długo.



Kolegiata w Sieradzu. Zdjęcie z okresu międzywojennego.



Sieradz, 1931 rok. Poświęcenie dzwonów w kolegiacie. Na zdjęciu po środku ks. biskup Radoński, po jego lewej stronie ks. prałat Pogorzelski.

Okazało się, że kolej nie może zatrudnić mnie na stałe, gdyż nie mam unormowanego stosunku do służby wojskowej. Krótko mówiąc, musiałem najpierw odbyć służbę wojskową. Obiecano przyjąć mnie do pracy po powrocie z wojska. Stało przede mną widmo życia bez pracy, a więc i bez pieniędzy. Za namową znajomego poszedłem do starosty. Przedstawiłem mu swoją sprawę, że najprawdopodobniej na wiosnę pójdę do wojska i że w tej sytuacji nikt mnie nie zatrudni. Starosta słuchał moich wywodów, ale chyba już myślał, jak mnie spławić, bo za chwile powiedział, że tą sprawą zajmie się burmistrz. Co miałem robić? Poszedłem do magistratu. Zostałem przyjęty. Burmistrz okazał się wspaniałomyślny. Wysłuchał mnie, ze zrozumieniem pokiwał głową i wręczył mi bilet do łaźni miejskiej. Zimą jakoś przeżyłem i doczekałem się wiosny, a wraz z nią również komisji poborowej.

Miejscem pracy komisji poborowej był budynek teatru miejskiego. W komisji, oprócz jej przewodniczącego, byli urzędnicy, przedstawiciele wojska oraz lekarze. Po wypełnieniu stosownych dokumentów i formularzy poborowi stawali w „stroju Adama” przed lekarzami. Ich stanowisko było decydujące w sprawie dalszej służby wojskowej. Nic dziwnego, że to im poborowi przedstawiali najróżniejsze, prawdziwe i nieprawdziwe, problemy zdrowotne. Żydzi, którzy usilnie starali się nie iść do wojska, przychodzili wyposażeni w pliki zaświadczeń lekarskich i recept. W większości przypadków na niewiele one się zdały. Po przejściu całej procedury administracyjno-wojskowej otrzymałem zaświadczenie, że jestem zdolny do czynnej służby wojskowej z kategorią zdrowia „A”. Później wręczono mi książeczkę wojskową.

3 kwietnia 1937 roku zostałem powołany do służby wojskowej w 31. Pułku Strzelców Kaniowskich w Łodzi. Pojechałem do koszar przy ul. 11 Listopada. Na punkcie przyjęć dowiedziałem się, że będę przydzielony do 2. kompanii, która stacjonowała już w Sieradzu. Nie byłem z tego zadowolony, gdyż chciałem służyć w Łodzi. Zacząłem intensywnie myśleć, kto mi może pomóc. Zdecydowałem zwrócić się z prośbą o pomoc do Komendy Obwodowej Związku Strzeleckiego w Łodzi. Było to o tyle uzasadnione, że należałem do

tego związku w Sieradzu. Przyjęto mnie zyczliwie i wysłuchano. Otrzymałem odpowiedź, że to nie są ich kompetencje, ale zobaczą, co da się zrobić. Wróciłem do koszar. Wydano mi porządny mundur i skierowano na salę żołnierską, gdzie miałem czekać na wyjazd do Sieradza w dniu następnym.

Jednak do tego nie doszło. Rano podoficer mundurowy w stopniu plutonowego odebrał wydany mi wieczorem mundur wraz z pozostałym wyposażeniem. Gdy stałem, jak mnie Pan Bóg stworzył, kazał mi iść za sobą. Maszerowałem tak za nim przez kilka pododdziałów, aż do magazynu. Otrzymałem najgorsze umundurowanie, jakie było na półkach. Koszula nie miała rękawów, spodnie były połatane, a kurtka munduru była stanowczo za duża. Dopiero, gdy przydzielono mnie do drugiej drużyny, szóstej kompanii w Łodzi, domyśliłem się, o co w tym wszystkim chodzi. Prawdopodobnie ktoś interweniował w mojej sprawie z Komendy Związku Strzeleckiego. Ponieważ nikt nie lubi interwencji z zewnątrz, więc odgrywano się na mnie.

Na zbiórce kompanii zostało sprawdzone umundurowanie żołnierzy. Uszkodzone i brakujące części mundurów nakazano uzupełnić w kantynie za własne pieniądze. Nie miałem ani pieniędzy, ani tym bardziej chęci, żeby to realizować. Po paru dniach „uzupełniłem” żołnierskim sposobem części umundurowania. Wyglądałem już jak żołnierz, a nie jak kompanijna ofierka. Pomógł mi w tym szeregowiec Jakubowicz pochodzący z Warty, miasteczka leżącego niedaleko Sieradza.

Dowódcą naszej kompanii był por. Zenon Janiak, który zmienił później nazwisko na Janiakowski. Na początku szkolenia unitarnego poinformował nas, że po złożeniu przysięgi odbędą się manewry. Po zakończonych manewrach zostaniemy skierowani do różnych specjalności w pododdziałach pułku. Część z nas trafi do szkoły podoficerskiej. Cykl szkolenia przed przysięgą był trudny i intensywny. Poza szkoleniem dawali odczuć swoją wyższość kaprale i starsi szeregowcy ze starszego rocznika, którzy byli przydzieleni na okres unitarny.



*Por. Zenon Janiakowski, dowódca kompanii
w 31. Pułku Strzelców Kaniowskich.*

Pamiętam jeden z takich epizodów. Przed ogłoszeniem capstrzyku i położeniem się do snu, należało złożyć mundur w kostkę na taborecie, a pod nim ustawić wyczyszczone buty. Po ogłoszeniu ciszy nocnej otwierało się pole do popisu dla podoficera służbowego, który chodził wzdłuż łóżek i sprawdzał, czy wszystko jest należycie poukładane i czyste. Musiał jednak zawsze znaleźć coś złego. Miałem wówczas mundur należycie ułożony, a buty lśniły się od czystości. Pomimo to pełniący w tym dniu obowiązki podoficera służbowego st. szer. Raus kazał mi wstać, gdyż buty mam, co prawda czyste, ale na pewno czyściłem je w sali. Nie było to oczywiście prawdą. Gdy zastanawiał się, jak mnie ukarać, wszedł niespodziewanie zastępujący dowódcę kompanii kapitan Wołoszyn. Role nagle się zmieniły. Ja poszedłem spać, a służbowy gęsto tłumaczył się przed kapitanem.

Przysięgę składaliśmy w koszarach 31. Pułku Strzelców Kaniowskich w Łodzi, gdzie stacjonował już tylko 3. batalion. Pozostałe pododdziały znajdowały się w nowych koszarach w Sieradzu. Na przysięgę przyjeżdżała tylko najbliższa rodzina. Były wówczas trzy treści roty: dla chrześcijan, dla niechrześcijan prócz

mahometan oraz dla mahometan. Przysięgę, którą wówczas składałem, pamiętam do dnia dzisiejszego.

PRZYSIĘGAM PANU BOGU WSZECHMOGĄCEMU, W TRÓJCY ŚWIĘTEJ JEDYNEMU

**BYĆ WIERNYM OJCZYŹNIE MEJ, RZECZPOSPOLITEJ POLSKIEJ,
CHORAŹWI WOJSKOWYCH NIGDY NIE ODSZĄPIĆ.**

STAĆ NA STRAŻY KONSTITUCJI I HONORU ŻOŁNIERZA POLSKIEGO.

PRAWU I PREZYDENTOWI RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ BYĆ ULEGŁYM.

ROZKAZY DOWÓDCÓW I PRZEŁOŻONYCH WIERNIE WYKONYWAĆ.

TAJEMNIC WOJSKOWYCH STRZEC.

**ZA SPRAWĘ OJCZYŹNY MEJ WALCZYĆ DO OSTATNIEGO TCHU W PIERSIACH.
I W OGÓLE TAK POSTĘPOWAĆ, ABYM MÓGŁ ŻYĆ I UMIERAĆ JAK PRAWY
ŻOŁNIERZ POLSKI.**

TAK MI DOPOMÓŻ BÓG I ŚWIĘTA SYNA JEGO MĘKA. AMEN.

Przyszedł wreszcie czas na manewry. Odbywały się one na poligonie wojskowym 31. Pułku Strzelców Kaniowskich położonym między Burzeniem a Widawą. Do rejonu manewrów maszerowaliśmy pieszo. Była to odległość około 60 kilometrów. Znacznie bliżej miały bataliony stacjonujące w Sieradzu. W końcowej części marszu przechodziliśmy przez Niechmirów. Gdy mijaliśmy murowany dwór właścicieli majątku, wyszedł syn właściciela i witał dowództwo chlebem i solą. Zaprosił oficerów na przyjęcie po zakończeniu manewrów.

Na manewrach zgrywane było działanie pododdziałów podczas obrony i ataku. Nie rozwijaliśmy obozowisk ani namiotów. Podczas działań taktycznych spaliliśmy na ziemi. Każdy z nas przygotowywał sobie nocleg tak, jak umiał. Na czas odpoczynków kwatermistrz uzgadniał zakwaterowanie wojska na terenie wcześniej ustalonych wiosek. Oficerowie spali w chałupach. Pozostali żołnierze zajmowali stodoły oraz inne budynki w obejściach gospodarskich. Na koniec manewrów oficerowie udali się na przyjęcie do dworu. Wieczorem tego dnia poprosiłem szefa kompanii o zgodę na to, bym mógł odwiedzić rodzinę, która mieszka w tych stronach. Po uzyskaniu zgody poszedłem nie do rodziny, lecz do Niechmirowa.

Pierwszymi właścicielami tej posiadłości byli bracia Niechmirowscy. Kolejnym właścicielem był Antoni Olszewski. W

czasie powstania styczniowego pełnił on funkcję cywilnego naczelnika powstania powiatu sieradzkiego. Po upadku powstania został zesłany przez Rosjan na Sybir. Jego majątek wystawiono na licytację. Kupił go fabrykant z Łodzi N. Heuschel. Ostatnim właścicielem majątku przed drugą wojną światową był Żyd Mendel Glinstein.

Gdy doszedłem do dworu, powiedziałem, że przyszedłem z informacją do oficera, ale chyba sprawa może poczekać i nie będę przeszkadzał w przyjęciu. Służbie obsługującej bankiet opowiadałem o manewrach i o żołnierzach, którzy teraz przebywają w lesie i chętnie też by coś dobrego zjedli. Dostałem dwie upieczone kury, ciasto i dwie butelki wódki. Wszystko to zapakowałem do plecaka i wróciłem do kompanii. Jedzenie podzieliłem między najbliższych kolegów. Część dostał szef kompanii. Poczęstowałem również oficera, który w nocy inspekcjonował pododdziały.

Po zakończonych manewrach ruszyliśmy w powrotną drogę. Do Łodzi wracaliśmy przez dzielnicę Chojny, by następnie defiladowa ulicą Piotrkowską. Przypadł mi wówczas zaszczyt maszerowania w kompanii honorowej. Otwieraliśmy defiladę wojska wracającego z manewrów. Witali nas mieszkańcy Łodzi ustawieni wzdłuż ulicy. Rzucali w naszą stronę kwiaty i paczki.

Po powrocie do koszar otrzymaliśmy przepustki. Po kilkudniowym odpoczynku zostałem skierowany do szkoły podoficerskiej w Sieradzu.

Rozpoczął się dla mnie następny etap wojskowej edukacji. Komendantem szkoły podoficerskiej był kpt. Kazimierz Skorupski, a szefem st. sierż. Gałązka. W kompanii było ponad dziewięćdziesięciu elewów. Z większości przedmiotów uzyskiwałem dobre wyniki. Nie chciałem zawieść zaufania mojego poprzedniego dowódcy por. Janiakowskiego, który skierował mnie do szkoły podoficerskiej. Szkołę ukończyłem z dobrym wynikiem, ale awansu na kaprała nie dostałem. Otrzymałem stopień starszego szeregowca. Miałem niejasne przeczucie, że działały tu protekcje, których mi zabrakło. Takim obrotem sprawy zaskoczony był również por. Janiakowski. Próbował interweniować, ale rozkaz awansowy był już podpisany. Po ukończeniu szkoły zostałem

skierowany na stanowisko zastępcy dowódcy pierwszej drużyny, pierwszego plutonu w trzeciej kompanii. Dowódcą tej drużyny był kapral zawodowy Chruszczyński. Na tym stanowisku byłem krótko.

Sierż. Pawlak ze szkoły podoficerskiej chciał, żebym przyszedł na dowódcę drużyny elewów. W tej sprawie zwrócił się służbowo do dowódcy pułku. Wkrótce zapadła pozytywna decyzja i zająłem się szkoleniem elewów. Niedługo też otrzymałem awans na stopień kaprała. Gdy otrzymałem propozycję objęcia stanowiska zastępcy dowódcy plutonu w Łodzi, przyjąłem ją z zadowoleniem.

Do wojska wcielani byli wszyscy mężczyźni, którzy posiadali obywatelstwo polskie i ukończyli 21 lat, bez względu na narodowość i wyznanie. Ponieważ w II Rzeczypospolitej były różne narodowości, więc podobnie wyglądało to i w wojsku. W 31 Pułku służyli Polacy, Białorusini, Ukraińcy i Żydzi. Spora część żołnierzy, szczególnie pochodzących z kresów wschodnich, nie potrafiła czytać i pisać. Słabo mówili również po polsku. Z techniką i kulturą spotykali się dopiero w wojsku. Dla takich żołnierzy organizowane były w koszarach lekcje nauki języka polskiego, czytania, pisania oraz historii Polski. Zajmowała się tym organizacja Biały Krzyż. Nauczycielki zrzeszone w tej organizacji przychodziły do koszar i uczyły żołnierzy. Jedną z takich nauczycielek uczących w sieradzkich koszarach była pani Krawczyk.

Sieradz w tym okresie liczył ponad 11 tysięcy mieszkańców, w tym około 2,5 tysiąca Żydów. Posiadali oni swoją szkołę przy starym parku. Jej kierownikiem był Heller. Mieszkał w domu Sztulmana przy dzisiejszej ulicy POW. Sztulman był jednym z bogatszych Żydów Sieradza. Zdobywanie swego majątku rozpoczynał od handlu obwoźnego i skupowania starych szmat. Później wykupywał place i domy. Razem z zięciem Wrocławskim wybudował nowoczesny młyn przy ulicy POW. Był to jeden z kilku młynów pracujących w Sieradzu. W miejscu, gdzie dzisiaj jest Rynek Praski i otaczające go domy, rozciągała się łąka. Burmistrz Sieradza Ignacy Makowski podjął decyzję o utworzeniu tam działek budowlanych i umożliwieniu stawiania domów mniej zamożnej części sieradzkiego społeczeństwa. Na starym Rynku stały jak dzisiaj kamienice. W większości były one własnością Żydów. Na

parterze kamienic znajdowały się sklepy, również żydowskie. Podczas targów na sieradzkim rynku Żydzi wystawiali swoje towary przed sklepami, żeby zyskać dodatkowych klientów i więcej zarobić. Polskich sklepów prawie tu nie było.

Wróćmy jednak do wspomnień związanych z wojskiem. Oficerowie mieli prawo do ordynansów. Często wybierali do tej funkcji żołnierzy pochodzących z terenów położonych na kresach Rzeczypospolitej. Gdy żołnierze ci kończyli służbę wojskową i zdejmowali mundury, żał było na nich patrzeć. Ich ubrania cywilne wyrażały całą biedę, z której wyrosli. Por. Karbownik nie wytrzymał, gdy zobaczył jednego ze swoich ordynansów w ubraniu cywilnym. Zabrał go do sklepów i kupił nowe ubranie, wydając na to 50 zł. W taki sam sposób postępował również por. Janiakowski. Mój syn Bronisław, przebywając wiele lat później na Ukrainie, spotkał się przypadkowo z ordynansem por. Janiakowskiego. Wspominał on z rozrzewnieniem czasy służby wojskowej w Wojsku Polskim oraz swego dowódcę.

W 1938 roku przeszedłem do służby nadterminowej. Dopiero po jej odbyciu mogłem starać się o przyjęcie do służby zawodowej. Podoficer zawodowy otrzymywał wówczas 180 zł miesięcznie. Ponadto raz w roku dostawał kupon materiału na mundur. Mieszkał poza koszarami w wynajętym i opłacanym z własnej pensji mieszkaniu. Podoficer nadterminowy dostawał miesięcznie 45 zł oraz umundurowanie i wyżywienie. Spał w koszarach. Nie mógł się żenić.

Manewry wojskowe odbywały się w różnych stronach Rzeczypospolitej. Jedne z manewrów 31. Pułku Strzelców Kaniowskich, w których brałem udział, odbywały się na wschodnich rubieżach. Do miejsca ćwiczeń dojechaliśmy transportem kolejowym. Pułkiem dowodził płk Biegański. Rejon manewrów znajdował się w powiecie nadwórnym województwa stanisławowskiego.

RZECZPOSPOLITA POLSKA
 MINISTERSTWO OBRONY NARODOWEJ
 Seria D
 0189354
KSIĄŻECZKA WOJSKOWA

Umiński
 (Nazwisko)
Józef
 (Imię)
Józef
 (Imię ojca)

Wydana przez: *R.K.U. Lask*
 (Nazwa RKU lub Jednostki Wojsk.)
Przewodniczący Wojsk. Kom. Hcj. Nr. 1
R.K.U. Lask
 (Stanowisko i stopień wojskowy)

Mewa, dn. *17* cii. 19... r.



Odcisk pieczęci

Umiński
 Własnoręczny podpis posiadacza książeczki

Umiński Józef z Józefem
 (Nazwisko, imię i imię ojca)
Przewodniczący Wojsk. Kom. Hcj. Nr. 1
R.K.U. Lask
 Wiarygodność podpisu stwierdzam
 Przechowaj przepisów i chroni książeczke
 wojskowa.

I. EWIDENCJA WOJSKOWA

1. Data urodzenia	<i>26 lipiec 1914.</i>
2. Kategoria wojskowa	<i>piwna</i>
3. Rodzaj broni	<i>piłcho</i>
4. Podof. szereg.	<i>podof.</i>
5. Nr. specjaln. wojskowej	<i>1.</i>
6. Nazwa spec. wojskowej	<i>stacy</i>
7. Funkcja wojskowa	<i>2-cy d-ty plutonu</i>
8. Stopień wojskowy	<i>plutonier</i>

lieutenant - R-2 Pers. Nr. PFC/62
12-ty WNW 67erack

III. PRZEBIEG POBORU

Data poboru, przez którą R. K. U. i orzeczenie Komisji Lekarskiej.

1035 r. S. R. U. Sieradz - zgłosz
ni do poboru (uńd)

Do jakiej Jednostki skierowany.

R y s o p i s						
Wzrost cm.	Obwód piersi cm.	Obwód płucy cm.	Maska gazowa			Waga ciężar kg.
			wielka	średnia	mala	
167	94	86				64

IV. PRZEBIEG SŁUŻBY WOJSKOWEJ

Data rozpoczęcia służby, jednostka wojskowa, zajmowane funkcje i data ukończenia służby.

3.04.37 wcielony do 3 pp.
1.10.37 szkoła Podoficerska
7.03.38 awans na st. strzelca
10.07.38 awans na kaprala
3.10.38 służba zastępcza
do wybuchu wojny. 26.10.39
przebieg do miejsca zamieszkania
1.09.48 awans na plutonowego
po 3 miesięcznym kursie
absolwentów holistycznych

Przeznaczony do rezerwy

dn. 12.11.1950 r. Rozkaz
Min. Obr. Nr. 189 z dn. 11.11.50

MIANOWANY

Postanowieniem Prezydenta

RP Nr. W-111-75-2000

z dn. 22.08.2000 r. na stopień

POD PORUCZNIKA

MIANOWANY

Decyzją Ministra Obrony
Nawodowej z dnia

23.04.2003 r. na stopień

PORUCZNIKA

Lawiejs

Pułk ćwiczył niedaleko miejscowości Nadwórna. Miasto to liczyło wówczas około sześciu tysięcy mieszkańców. Najwięcej było w nim Polaków. Żydzi stanowili 34% ogółu ludności miasta.



Nadwórna, ul.Kolejowa. Okres międzywojenny.

Proporcje narodowościowe w całym powiecie przedstawiały się inaczej niż w stolicy powiatu. Na 80 tysięcy mieszkańców tylko 19% to byli Polacy. Zdecydowaną większość stanowili Ukraińcy. W mieście znajdował się kościół rzymskokatolicki i grekokatolicki. W okresie I wojny światowej w tej miejscowości zaczynał się szlak bojowy II Brygady Legionów Polskich. Dowódcą 3. pułku tej brygady był ppłk Józef Haller, późniejszy generał i dowódca „Błękitnej” Armii formowanej we Francji.

Nadwórna leży u podnóża Karpat. Rozciągają się tu wspaniałe widoki. Ćwiczyliśmy tam działania oddziału w terenie podgórskim. Jednym z etapów szkolenia było forsowanie rzeki Prut.

Oprócz ćwiczeń taktycznych pułk realizował jeszcze jedno zadanie. Było nim oddziaływanie w wielu płaszczyznach na miejscową społeczność. Mieliśmy możliwość poznania mieszkańców okolicznych wiosek, ich zwyczaje, poglądy i obawy.

Żyli oni nadzwyczaj biednie. Część chałup nie miała kominów. Były to tak zwane kurne chaty. Niektóre służyły zarówno ludziom jak i zwierzętom. Z jednej strony chałupy było wejście dla ludzi, a z drugiej strony dla zwierząt hodowlanych.

Miejscowe sklepiki podzielone były na dwie części. Jedna część służyła Ukraińcom, a druga Polakom. Właściciele tych sklepików byli zadowoleni z obecności wojska, gdyż wiązało się to z większym utargiem. Zaopatrywani byliśmy również przez kantyny wojskowe, które przemieszczały się razem z nami.

Dowódca pułku zabraniał poruszania się po okolicy pojedynczym żołnierzom. Musieliśmy chodzić w towarzystwie kolegów. W każdą niedzielę chodziliśmy do kościoła. Z naszej obecności najbardziej zadowolony był ksiądz, gdyż zbierał więcej pieniędzy na tacę. Miejscowa ludność dawała na ofiarę jeden lub dwa grosze. Żołnierze dawali co najmniej po 10 groszy. Zachodziłem również na msze do cerkwi. Byłem tam bacznie obserwowany. Na koniec mszy pop, nazywany potocznie batuszką, dawał wszystkim do pocałowania krzyż. Gdy stanął przede mną, patrzył mi głęboko w oczy, nie bardzo wiedząc, co dalej robić. Podczas jednego z nabożeństw w cerkwi położyłem na tacę 2 złote. Pop był bardzo zdziwiony wysokością ofiary. Pytał, czy ma wydać resztę. Po nabożeństwie zaprosił mnie do siebie. Pytał między innymi, jak wygląda życie w głębi Polski i jak kształtują się zarobki. Gdy dowiedział się o wysokości średniego wynagrodzenia i porównał je z miejscowymi, wówczas z żalem, półgłosem powiedział: „przecież tu jest też Polska”. Gdy wychodziłem po mszy z cerkwi, zatrzymywały się przy mnie ukraińskie dziewczęta i nieśmiało usiłowały nawiązać rozmowę. Pytały, czy jestem ich, czy mówię prawdę, czy przyjdę na zabawę. Pytały również o ilości mieszkańców w dużych miastach i o zarobki. Gdy powiedziałem, że robotnik zarabia od dwóch do trzech złotych za dzień pracy były zdziwione i powiedziały, że u nich za tydzień pracy dostaje się zaledwie cztery złote.

Stosunek miejscowej ludności do wojska był nieufny, a czasami nawet wrogi. Na widok wojska zaganiano żywy inwentarz do obejścia. Mieszkańcy również chowali się do chałup i przez okno

obserwowali, co będzie się dalej działo. Z polecenia dowódcy zajmowaliśmy się dokarmianiem ludności we wioskach, przy których odbywaliśmy manewry. Na końcu wioski rozwijaliśmy kuchnię polową, z której wydawane były gorące posiłki. Z początku mieszkańcy patrzyli nieufnie i nikt nie podchodził do kuchni. Pierwsze przełamywały nieufność dzieci. Wiedzione ciekawością podchodziły do nas, by po chwili smacznie zajądać wojskową zupę. Po pewnym czasie podchodzili również dorośli. Z początku pojedynczo, niepewnie, a po chwili stała już kolejka z naczyniami. Z miejscowymi ludźmi rozmawialiśmy trochę po polsku, a trochę po ukraińsku. W dłuższych i bardziej istotnych rozmowach pomagali nam żołnierze pochodzący z Galicji Wschodniej. Utwardzonych dróg w tych stronach prawie nie było. Większość stanowiły drogi polne, którymi po opadach deszczów i na wiosnę trudno było się poruszać. Szkoły znajdowały się tylko w miasteczkach.



Przysięga wojskowa żołnierzy 31. Pułku Strzelców Kaniowskich na Rynku w Sieradzu. Na pierwszym planie ks. prałat Walery Pogorzelski.

Nadszedł sierpień 1939 roku. Wojna była już nieunikniona. Oddziały wychodziły na pozycje bojowe. 3. batalion dołączył do 31. Pułku Strzelców Kaniowskich, który zajmował już rubież Smardzew

– Wróblew – Rakowice. Porucznik Janiakowski ściągnął mnie pod koniec sierpnia do Sieradza. W koszarach nikogo już jednak nie zastałem. Udałem się więc do swojego 3. batalionu, który poszedł na ubezpieczenie linii obrony na Warcie, na odcinku Chojne – Wiechucice – Monice. Zmieniliśmy pododdziały 30. pułku z Warszawy. Wyznaczony zostałem na dowódcę moździerza. Miał on zasięg 1200 metrów. Strzelał granatami o różnym czasie eksplozji. Niemcy zbliżali się od strony Łęczewa. Gdy pokazali się pierwsi żołnierze wroga, leżeliśmy dobrze zamaskowani. Padł rozkaz: „nie strzelać!, czekać na komendę”. Wzdłuż naszej linii przeleciał niemiecki samolot. Nikt do niego nie strzelał. Chyba prowadził rozpoznanie. Tyraliera niemiecka posuwała się w kierunku rzeki. Nie spodziewali się nas z tej strony Warty. Zbliżając się, wyszli na otwartą przestrzeń. Padła komenda do otwarcia ognia. Kompletnie zaskoczeni Niemcy padali w ogniu naszej broni. Sporo ich wówczas zginęło. Zaskoczeni, ale i wściekli brali później odwet na spotykanych wioskach, na ludności cywilnej i na naszych żołnierzach.

Batalion został wycofany za Wartę. Później ruszyliśmy w kierunku Zduńskiej Woli i dalej na Szadek. Nad Wartą raniony zostałem trzema odłamkami w lewe udo. Odniesione rany nie wydały mi się groźne, więc usiłowałem maszerować razem z naszym pododdziałem. Jednak ból i coraz większe krwawienie zmusiło mnie do zatrzymania się. Wyjąłem opatrunek osobisty i, najlepiej jak umiałem, opatrzyłem rany. Ruszyłem dalej z grupą spotkanych żołnierzy. Mijając Ogrodzisko, leżące tuż przed Zduńską Wolą, zostaliśmy niespodziewanie ostrzelani przez grupę cywili. Prawdopodobnie byli to mieszkańcy tych stron pochodzenia niemieckiego. Odpowiedzieliśmy ogniem, po którym napastnicy rozpierzchli się. Ruszyliśmy dalej. Od sierżanta kierującego ruchem dowiedzieliśmy się, że punk zborny ma być na Frasicy. Gdy ruszaliśmy dalej, nadjechał od strony Sieradza konny wóz, którym powoził polski żołnierz. Z tyłu siedzieli dwaj cywile. Wyglądało na to, że przewożą ważne dokumenty. Widząc, że jestem ranny, chętnie zabrali mnie na wóz, mając tym samym dodatkową ochronę. Gdy poczułem się lepiej, wysiadłem z bryczki i ruszyłem w stronę Wisły.

Po dłuższym marszu ponownie dawały o sobie znać świeże rany. Przysiadłem pod drzewem, by chwilę odpocząć. Nadjechał wówczas sanitarny wóz. Sanitariusze opatrzyli mi rany i ruszyliśmy razem w kierunku Maciejowic. Miało tam odbywać się zgrupowanie wojsk. Gdy dojechalśmy do mostu na Wiśle, panował tu już popłoch. Z zachodu bardzo szybko zbliżali się Niemcy. Przeprawiliśmy się w ostatniej chwili za Wisłę, bo tuż po naszym przejściu most został wysadzony. W rejonie Maciejowic gromadziły się pododdziały i pojedynczy żołnierze. Nie było jednak żadnej organizacji. Pod wpływem niemieckich nalotów i ostrzeliwania poszliśmy w rozsypkę.

Następne miejsce koncentracji miało być rzekomo w Chełmie Lubelskim. Ruszyłem więc w tym kierunku. Większą część drogi pokonywałem pieszo. Po drodze spotkałem szpital wojskowy rozwinięty w szkole. Lekarze mieli pełne ręce roboty z ciężko rannymi żołnierzami. Nie wszystkich mogli uratować. Część z nich umierała w szpitalu. Jeden z lekarzy, słaniający się ze zmęczenia na nogach, opatrzył mi rany i kazał iść dalej.

W Janówce, niedaleko Chełmna, napotkałem większe zgrupowanie wojska. Nie było tu jednak jednolitej organizacji. Dołączyłem do jednej z grup. Przebywaliśmy zamaskowani w zagajniku, gdy nagle nadleciały trzy niemieckie samoloty i bezkarnie cięły z broni pokładowej po lesie, gdzie przebywało wojsko. Zabroniono nam strzelać, co wydawało mi się dziwne, gdyż przeciwnik najwidoczniej już o nas wiedział. Podałem komendę grupie, w której się znalazłem, do odparcia ataku lotniczego. Szybko wybraliśmy dogodne miejsce i położyliśmy się na plecach z wycelowaną w górę bronią. Przy następnym nalocie samolotów otworzyliśmy ogień zaporowy. Pierwszy samolot został trafiony i kilkaset metrów dalej runął na ziemię, drugi ratował się, robiąc prostopadłą świecę w górę, trzeci, widząc co się dzieje, zawrócił. Po chwili przybiegł do nas jakiś pułkownik i z krzykiem wołał: „kto wydał rozkaz do strzelania?”. Wyciągnął w naszą stronę pistolet. Zareagowałem w taki sam sposób. Przez chwilę staliśmy z wycelowaną do siebie bronią. Pułkownik schował pistolet i bez słowa zawrócił. Niedługo po tym incydencie dotarł podawany po

linii rozkaz, żeby zgłosił się po nagrodę ten, kto wydał komendę do otwarcia ognia i zestrzelenia samolotu. Nie uwierzyłem w te słowa. Pułkownik wyglądał mi na dywersanta w polskim mundurze, na co wskazywało również jego zachowanie. Pomyślałem sobie: „pocałuj mnie w czoło, jak będę miał głowę w piecu” i pozostałem na miejscu.

Powoli opanowany został rozgardiasz. Utworzone zostały trzy grupy. Pierwsza pozostawała na miejscu. Druga miała maszerować na Tomaszów Lubelski. Trzecia zaś ruszała na Kowel. Znalazłem się w trzeciej grupie, a dokładnie w batalionie ”R” grupy „Bug”.

Mijając Chełm, zostaliśmy zaatakowani przez lotnictwo niemieckie. Zbombardowane zostało wówczas wzgórze katedralne tuż po naszym przejściu. Kompanią, do której zostałem przydzielony, dowodził kpt. Wincenty Kurek. Stanowiła ona jedną grupę bez podziału na plutony i drużyny. Kapitanowi pomagali w dowodzeniu sierż. Kozłowski z Częstochowy i ogniomistrz, którego nazwiska nie pamiętam. Ponieważ nie przydzielono mi żadnej funkcji, więc szedłem na końcu kolumny i mobilizowałem do marszu maruderów. W dalszej drodze nie byliśmy atakowani przez Niemców. Czasami jedynie ostrzelał nas jakiś pojedynczy samolot.

Za Chełmem dołączył do nas cywil, starszy grubawy pan z laską w ręku. Na pytanie o cel jego wędrówki udzielił mi jakiejś wymijającej odpowiedzi. Wydało mi się to na tyle podejrzanе, że zacząłem go bacznie obserwować.

Po drodze mijaliśmy zadbaną wioskę. Na uboczu stał okazały dom z przyległym dużym sadem. Z grupą żołnierzy wszedłem do tego sadu w poszukiwaniu owoców, gdyż dawał się nam już we znaki głód. Nagle zostaliśmy ostrzelani przez samolot. Rozsypaliśmy się po sadzie. W chwilę później z domu wyszła kobieta i zaczęła na nas krzyczeć i wyzywać. Potem niespodziewanie wyjęła, jak gdyby nic, lusterko i zaczęła się w nim dziwnie przeglądać. Podejrzewaliśmy, że daje znaki pilotowi niemieckiego samolotu, który krążył nad nami. Zamknęliśmy więc ją w jednym z pokoi, a następnie przeszukaliśmy cały budynek. Na strychu stały trzy beczki pełne peklowanego sera i wędzonego

boczku. Dla kogo? Na pewno nie dla polskich żołnierzy. Załadowaliśmy te beczki na wóz i dogoniliśmy kompanię odpoczywającą za wioską. Prowiant przekazałem kapitanowi, a ten kazał rozdzielić go między żołnierzy.

Po posiłku i odpoczynku kompania ruszyła dalej. Coraz częściej byliśmy atakowani przez samoloty niemieckie. Na jednym z kolejnych postojów zauważyłem, że cywil, który dołączył do nas wcześniej, zniknął nagle w pobliskiej olszynie. Wziąłem paru żołnierzy i po cichu ruszyłem za nim. Gdy podeszliśmy bliżej, usłyszałem, że mówi po niemiecku. Ostrożnie zbliżyliśmy się jeszcze bardziej. Zobaczyliśmy, że przekazuje informacje przez nadajnik radiowy, którego elementem była charakterystyczna laska. Zrozumiałem, że ostatnie naloty nie były przypadkowe. Zawróciłem, żeby powiadomić o tym kapitana. Pozostawieni żołnierze jednak nie wytrzymali. Zastrzelili szpiega, a laskę oddali kapitanowi.

Dotarliśmy w końcu w rejon Kowla. Zatrzymaliśmy się na końcu pewnej wioski, grupując się wokół drewnianego, stojącego na uboczu domu. Żadnego zgrupowania w okolicy nie było. Dowódca kazał mi wziąć pięciu żołnierzy ruszyć w poszukiwaniu sklepu i prowiantu. Znalazłem wreszcie sklep. Niestety, nikogo w nim nie było. Stał pusty z powybijanymi szybami w oknach. Po dokładnym przeszukaniu całego budynku znalazłem jedynie dwa worki z mąką i kaszą. Gdy załadowaliśmy worki i staliśmy już na wozie, zostaliśmy niespodziewanie otoczeni przez grupkę mężczyzn uzbrojonych w karabiny. Byli dziwnie ubrani w coś, co miało być umundurowaniem. Poczulem chłód na plecach. Niewiele się namyślając, otworzyliśmy ogień, a woźnica podciął batem konie. Po powrocie zameldowałem o wszystkim dowódcy. Po wysłuchaniu mojego meldunku kapitan wyglądał na załamanego. Po paru godzinach przyszedł w rejon naszej kompanii starszy mężczyzna w ubraniu cywilnym. Swoim wyglądem i zachowaniem chciał dać do zrozumienia, że on jest tu teraz władzą. Zapytał mnie po rosyjsku: „gdzie dowódca”. Gdy go zaprowadziłem, powiedział kapitanowi, że mamy godzinę na opuszczenie tego terenu i po godzinie będą do nas strzelać. Dowódca spytał: „kto będzie strzelał”. W odpowiedzi usłyszał: „nasze ukraińskie wojsko”. Dowódca kompanii zareagował

ostro pytaniem skierowanym do stojących obok żołnierzy: „kto chce go powiesić”. Zgłosiło się dziesięciu chętnych. Udało mi się jednak przekonać kapitana, żeby puścił samozwańczego przywódcę i kazał mu przekazać swoim, że jeśli się nie uspokoją, to zrobimy z nimi porządek.

Nasza sytuacja stała się krytyczna. Nie było żadnego zgrupowania, nie dotarły żadne rozkazy, nie było też zaopatrzenia. Kapitan podjął decyzję o wycofywaniu się. Wracając, dotarliśmy do Bugu. Wieczorem zamigotały przed nami światła. Poszedłem w tym kierunku z kilkoma żołnierzami. Zastaliśmy tam grupkę polskich żołnierzy uprawiających prosiaka. Nie pomogły ani prośby ani groźby – nie podzielili się. Rano ruszyliśmy do przeprawy. Od dłuższego czasu mocno dokuczał nam głód. Po drodze napotkaliśmy zagon kapusty. Utargowaliśmy kilkadziesiąt główek od właścicielki pola dając jej w zamian cukier i kaszę.

W trakcie marszu nasza kompania coraz bardziej topniała. Po przejściu na zachodni brzeg Bugu było nas już nie więcej niż trzydziestu. Maszerowaliśmy w kierunku Lublina. Gdy wieże kościelne Krasnegostawu zamajaczyły na horyzoncie, kapitan zatrzymał naszą nieliczną już grupę. Wpisał nam do książeczek wojskowych nazwę grupy oraz przebieg jej działań. Na zakończenie powiedział, byśmy pamiętali, że jesteśmy polskimi żołnierzami i że jego można szukać w Kielcach lub Radomiu. Po czym rozwiązał kompanię.

Dalej ruszyłem sam. W pewnym miejscu spotkałem stojącą grupę żołnierzy. Podeszedłem bliżej. W środku stał cywil podobny z wyglądu do Juliusza Rómmla. Namawiał ich, by ruszyli razem do Rumunii, a następnie do Francji, gdzie będą dalej walczyć z Niemcami. Po chwili ruszył do pobliskiej wioski, by tam szukać chętnych do walki. Grupa rozeszła się. Do mnie dołączyło dwóch żołnierzy. Jeden był z Szadku, a drugi ze Złoczewa. Przed Krasnymstawem zatrzymaliśmy się na niewielkim pagórku. Owinęliśmy naszą broń naoliwionymi szmatami i zakopaliśmy ją w ziemi. Na wierzchu usypaliśmy kopczyk i postawiliśmy krzyż. Tu nasze drogi rozeszły się.

Ja skierowałem się na Lublin. Ominąłem centrum miasta i udałem się w kierunku Piotrkowa Trybunalskiego. Po drodze zebrała się ze mną ponownie grupka dziesięciu żołnierzy idących w tym samym kierunku. Zatrzymaliśmy się w Białej. Poszukaliśmy tam zakładu fryzjerskiego, żeby się ogolić i odświeżyć. Weszliśmy do środka. Zakład, ku naszemu zdumieniu, pełen był niemieckich żołnierzy. Nie mogliśmy się już wycofać bez wzbudzania podejrzeń. Sierżant niemiecki spytał nas, czy chcemy się ostrzyć, czy ogolić. Przy lustrach strzygło trzech Żydów. Kazał im najpierw obsłużyć nas. Następnie zadał nam pytanie, czy mamy co jeść i palić. Nie czekając na odpowiedź, polecił swojemu żołnierzowi podać karton papierosów, które rozdzielił między nas. Czekał, aż zapalę. Powiedziałem mu, że ja nie palę. Zaczął na mnie wrzeszczeć. Wystraszony Żyd - fryzjer namawiał mnie, żebym zapalił, gdyż Niemiec sądzi, że ja go lekceważę. Co było robić? Zapaliłem. Sierżant kazał jeszcze wydać nam po pół bochenka chleba. Powoli i ostrożnie wycofaliśmy się z zakładu. Po wyjściu zaczęliśmy szukać rzeźnika, żeby kupić coś do zjedzenia. Nic z tego nie wyszło. Znaleźliśmy co prawda dwa sklepy mięsne, ale właścicielem pierwszego był Niemiec, który nas po prostu wygonił. Drugi sklep był Żyda, ale za to z pustymi hakami. Przechodzący Żyd ostrzegł nas, że jak spotkamy Niemców w czarnych mundurach, to lepiej omijać z daleka, bo są to gestapowcy. Dowiedzieliśmy się również od niego, że z dworca jeździ kolej wąskotorowa do Kuluszek. Bilet dla cywili kosztuje dwa złote, a dla żołnierzy złotówkę. Na dworcu spotkaliśmy pułkownika w polskim mundurze. Gdy zastanawialiśmy się, czy mu salutować, czy zdjąć czapkę, zaczął do nas mówić po niemiecku. Niewiele mogłem zrozumieć z jego słów. Okazało się, że stojącą niedaleko nas Żydówka z wiadrami wody rozumiała po niemiecku i pomogła nam, tłumacząc rozmowę:

- gdzie wasze dokumenty?
- Ruscy zabrali,
- to, czemu idziecie od nich do Niemców?
- bo Ruscy to dzikusy.

Ta odpowiedź przypadła Niemcowi do gustu, bo już więcej o nic nie pytał, tylko wskazał drogę do miejsca, gdzie dostaniemy przepustki

upoważniające nas do dalszej jazdy. Udaliśmy się w to miejsce. W dwóch okienkach siedzieli Niemcy. Najpierw przepytali nas:

- co tu robicie?
- skąd przyszliście?
- dokąd i po co chcecie jechać?

Na koniec wydali przepustki i zażądali opłaty po złotówce od każdego, której nie dostali. Poszliśmy na dworzec, skąd koleją wąskotorową dojechaliśmy do Koluszek. Po drodze żaden Niemiec nie interweniował, pomimo że jechaliśmy w mundurach. Na dworcu w Koluszkach czynny był już bufet. Pojawiły się handlarki sprzedające jajka, sery, bułki. Wypiłem w bufecie piwo i zastanawiałem się nad dalszą podróżą, gdy nagle weszło na dworzec trzech gestapowców. Jeden z nich krzyknął „Żydzi, do mnie!“. Zapanowało najpierw milczenie, a w chwilę później zamieszanie i popłoch. Wszyscy usuwali się jak najdalej od Niemców, starając się opuścić dworzec. Gestapowcy chwilę postali i wyszli z dworca, rozganiając po drodze handlujące kobiety i wywracając ich prowizoryczne stragany. Wyszukałem na stacji skład towarowy, który miał jechać do Łodzi. Wskoczyłem do jednego z wagonów. Przewożono nim wcześniej konie. Pod ścianami leżała słoma. W wagonie znajdowały się dwie kobiety, które przybyły tu wcześniej. Przed wieczorem przetoczono wagony na boczny tor. Rano skład ruszył do Łodzi. Przed Łodzią maszynista dziwnie zwalniał, hamował, ruszał, znów zwalniał, jakby dawał do zrozumienia, żeby uciekać z pociągu. Wyskoczyłem z wagonu i ostrożnie podszedłem do stacji. Zobaczyłem tam polskich żołnierzy zamienionych w tragarzy, pracujących przy załadunku i rozładunku transportów kolejowych. Nadzorowali ich uzbrojeni Niemcy. Poszedłem dalej. Wsiadłem do tramwaju, którym dojechałem do pl. Wolności. Tam przesiadłem się na „ósemkę”, aby dojechać do Dworca Kaliskiego. W tramwajach siedzieli już niemieccy konduktorzy i kasowali po 25 groszy za bilet. Na dworcu znalazłem pociąg jadący przez Sieradz. Stał obwieszony pasażerami. O znalezieniu miejsca w środku nie było mowy. Na zewnątrz też nie było miejsca do trzymania. Na peronie spotkałem znajomego, który również wracał z wojny do domu. Był to Staszek Perlik.

Gdy stałem przed pociągiem i zastanawiałem się, jak mam dalej jechać, podszedł do mnie żandarm niemiecki. Wyraził swoje uznanie, że mam odwagę wracać w mundurze. Spytał, czy chcę jechać do Poznania. Powiedziałem, że do Sęszewa. Wówczas żandarm zgonił ze zderzaka wagonu kilku podróżnych, robiąc w ten sposób miejsce dla mnie.

Dojechałem wreszcie do Sieradza. Do domu na Warszawskiej zapukałem późno w nocy. Drzwi otworzyła mi matka. Z matczyną czułością ścisłała mnie przez dłuższą chwilę, nie mogąc uwierzyć w swoje szczęście. Następnie z płaczem uklękła i modliła się, dziękując Bogu za mój szczęśliwy powrót do domu.

Tak zakończyła się moja służba w 31. Pułku Strzelców Kaniowskich. Praca i służba Ojczyźnie trwała jednak dalej.

Por. rez. Józef Umiński

Sieradz, 04.12.2008 r.

Od redakcji!

Po wielu godzinach opowiadania o swoich młodzieńczych latach, służbie wojskowej i o walkach we wrześniu 1939 roku Józef Umiński niestrudzenie mówił o dalszych latach wojny i o swoim życiu po 1945 r. Podziwiałem jego pamięć. Opowiadając o swoich losach, nie musiał sięgać do żadnych dokumentów. O szczegółach mówił bez wysiłku. Nazwy miejscowości i nazwiska wymieniał bez chwili zastanowienia. Z przyjemnością słuchałem jego opowiadania.

Pan Józef, po powrocie w 1939 roku do domu, był zmuszony przez kilka dni chodzić w mundurze, gdyż jego ubranie cywilne gdzieś zaginęło. Z tego powodu miał problemy z niemiecką policją.

Po otrzymaniu niemieckiej karty rozpoznawczej, tzw. kennkarty, zaczął poszukiwać pracy. Znalazł ją w betoniarni, w której już raz pracował. Jej właścicielem był teraz Niemiec. Pracując tam, wszedł w posiadanie informacji o planowanych wywózkach jego kolegów z pracy na przymusowe roboty do Niemiec. Powiadomił o tym kolegów, dając im możliwość uniknięcia wywózki do niewolniczej pracy. Gdy przyszła kolej wywózki na niego zmienił pracę. Zatrudnił się do pracy w zakładzie odpowiedzialnym za utrzymanie w sprawności dróg niezbędnych Niemcom do sprawnego funkcjonowania wojennej maszyny. Pracujących tu robotników nie można było wywozić na przymusowe roboty. Podczas pracy w tej instytucji był bliski zatrzymania przez gestapo, gdy swego czasu uległ uszkodzeniu na drodze samochód osobowy wysokiego urzędnika niemieckiego.

Pewnego razu odszukał go st. sierż. Pawlak, znajomy podoficer z okresu służby w 31. Pułku Strzelców Kaniowskich. Zaproponował mu wstąpienie do Związku Walki Zbrojnej, z którego później została utworzona Armia Krajowa. Powiedział, że jest to dalsza, zakonspirowana służba wojskowa w obronie ojczyzny. W celu przyjęcia do związku i złożenia przysięgi kazał mu przyjść do kpr. Mikołajczaka. Jego mieszkanie znajdowało się w Rynku pod numerem 17, na pierwszym piętrze. Była to oficyna położona w podwórku. Tam właśnie pan Józef złożył przysięgę na krzyż.

Wzruszony wspomnieniem o tej chwili porucznik Umiński niespodziewanie wstał i wyszedł z pokoju. Zdziwiony myślałem, że to już chyba koniec wspomnień, gdy nagle gospodarz wrócił z krzyżem w dłoni. Usiadł na krześle, kładąc go przed sobą na stole. Nie ukrywając wzruszenia, powiedział, że to właśnie na ten krzyż składał przysięgę. Po złożeniu przysięgi przyjął pseudonim „Ural”. Podczas działania w ZWZ, a później w AK, zadania otrzymywał i kontaktował się tylko ze st. sierż. Pawlakiem, który mieszkał na Olędрах.

Pewnego dnia Pawlak zabrał go ze sobą na przechadzkę, podczas której pokazał mu człowieka wyglądającego na leśnika. Miał on zielone ubranie oraz tyrolskie buty i kapelusz. Po zakończonym spacerze powiedział, żeby zapamiętał tę osobę i

udzielał jej pomocy, jeśli zajdzie taka potrzeba. Niedługo czekał na taką sytuację. Pracował wówczas na niemieckim poligonie pancernym utworzonym na byłym poligonie wojskowym 31 PSK. W latach 1940-1942 Niemcy powiększyli ten poligon. Rozciągał się on wówczas w trójkącie Sieradz – Złoczew – Widawa – Sieradz. Podczas jego budowy Niemcy zlikwidowali 150 wsi, wysiedlając łącznie 21712 osób. Prowadzili na nim szkolenia jednostek pancernych oraz przeprowadzali próby z nową bronią, m.in. z bombami latającymi V-1. Poligon znajdował się pod ścisłą obserwacją Obwodu Sieradzkiej Armii Krajowej.



Sieradz 2008 r. Na zdjęciu por. Józef Umiński. Przed nim leży krzyż, na który składał przysięgę wstępując do Związku Walki Zbrojnej.

Idąc rano do pracy, spotkał tego leśnika. Odpowiedział mu na kilka pytań dotyczących poligonu. Później udostępnił swoje dokumenty, na podstawie których sfalszowano podobne dla innej osoby. W następnych tygodniach widywał owego leśnika na poligonie. Chodził tam już oficjalnie, zajmując się gospodarką leśną. W

rzeczywistości zajmował się zbieraniem informacji o uzbrojeniu, transportach, jednostkach wojskowych tam przebywających i terminach ich pobytu. Później dowiedział się, że tym leśnikiem był komendant miejscowej organizacji o pseudonimie „Wujek”.

Z uznaniem patrzyłem na por. Umińskiego, który o swoim udziale w wojnie i o działalności organizacyjnej podczas wojny opowiadał jak o czymś tak zwykłym i normalnym, jak o wyjściu po zakupy do sklepu. W żadnej chwili wspomnień nie podkreślał swoich zasług, nie mówił też o wielokrotnym zagrożeniu jego życia.

Opowiadał również pan Józef o swoim powojennym życiu. O problemach z Urzędem Bezpieczeństwa, o ignorowaniu go w Wojskowej Komendzie Rejonowej, o swojej pracy zawodowej, o latach, w których był kolejno awansowany do stopnia porucznika.



Porucznik Józef Umiński mieszka dzisiaj w Sieradzu przy ul. Polskiej Organizacji Wojskowej. W tym roku obchodził będzie pięćdziesiątą piątą rocznicę urodzin. Z dumą pokazywał mi zdjęcie swego syna, majora WP dr. Bronisława Józefa Umińskiego.

Jest wielu ludzi, których opis życia zmieściłby się zaledwie na paru stronach. Są i tacy, dla których trzeba by poświęcić wiele kartek. Na opisanie życia pana Józefa Umińskiego poświęcenie całej książki byłoby za mało.

Jan Kowalski



Płk mgr inż. Zygmunt Szwej

SŁUŻBA WOJSKOWA

Komisja wojskowa, na którą wezwano do Szczekocin piętnaście roczników, orzekła, że zostałem zakwalifikowany do szkoły oficerskiej. Działo się to w styczniu. W końcu marca zostałem wezwany do WKR w Jędrzejowie. Otrzymałem skierowanie do jednostki wojskowej w Lublinie, gdzie powinienem się stawić piątego kwietnia 1945 roku. Po powrocie do domu rozpocząłem przygotowania do nowego etapu w moim życiu. Pakowałem do dużej walizki różne części garderoby, kilka podręczników szkolnych i drobiazgi przypominające rodzinny dom. Z żalem opuszczałem domowe pielesze i wioskę, w które spędziłem dwadzieścia lat życia. Nie żyłem w dobrobycie, było ciężko, niedostatek ubrań, butów, bardzo skromne odżywianie, bezustanna ciężka praca od najmłodszych lat, ale patrząc wstecz, uznawałem przeżyty okres za nader szczęśliwy. Zaglądałem więc we wszystkie kąty, patrzyłem w zadumie na panoramę wsi Małoszyc i Borku. Wracając myślą do stron rodzinnych, staje mi przed oczyma ten widok: wijącej się rzeki wśród łąk, a powyżej domków

rozrzuconych na zboczu wzniesienia. Pisząc to w tej chwili, widzę znów te obrazy i łzy rozczulenia nabiegają do oczu.

Pożegnanie z rodzinnym domem odbyło się w porze wieczornej dnia poprzedzającego mój wyjazd. Rodzice, siostry i bracia zebrali się w kuchni i po kolacji, w przewidywaniu mojego wyjazdu, chcieli jeszcze spędzić ze swoim synem i bratem ten ostatni wieczór. Ojciec, weteran dwóch wojen, udzielał mi wskazówek postępowania w nowych warunkach, nawiązując przy tym do zdarzeń, jakie sam przeżył, matka nie udzielała żadnych rad, bo przecież całe życie spędziła na wsi i cóż mogła mi radzić w sprawach tak dla niej odległych jak służba wojskowa. Rady ojca szybko zapomniałem, ale tego, co zrobiła matka, mama, mamulka droga, nie zapomniałem nigdy. Oto w wieczornej ciszy, jaka zapadła po wskazówkach ojca, mama zaczęła sobie z cicha nucić jakąś smętną melodię, potem dodawała smutne słowa, a w końcu na prośbę sióstr zaczęła śpiewać piosenki, na przemian, to smutne, to wesołe, a siostry i bracia usiłowali jej w tym pomagać. Mama знаła mnóstwo piosenek, a głos miała również wspaniały i śpiew trwał długo w noc, roznosząc się w ciszy wieczornej. Wieczór ten wrył się w moją pamięć i nawet w tej chwili widzę ojca i matkę oraz braci i siostry siedzących w skupieniu i przy bladym świetle lampy słuchających matczynego śpiewu.

Do woja. Następnego dnia ojciec zaprzął syberyjskiego grzywacza do wozu i odwiózł mnie do Sędziszowa. Po czułym pożegnaniu wyruszyłem pociągiem do Lublina. Po raz pierwszy byłem nie tylko świadkiem, ale i uczestnikiem przeprawy po drewnianym moście zbudowanym na Wiśle przez saperów. Pociąg jechał z prędkością wolno idącego człowieka. Wszystkie belki, podpory i wiązania wydawały dziesiątki dźwięków. Miało się wrażenie, że most jest żywym stworem uginającym się pod potwornym ciężarem wagonów i jęczy z bólu, i za chwile się załamie. Widać było, jak wszystkie belki i przęsła przesuwają się kilka centymetrów w dół, a za chwilę wracają do góry. Trzask i łomot przy tym był tak duży, że miałem uczucie, iż cały most wraz z pociągiem pogrąży się za chwilę w odmętach Wisły. Nie było jednak tak źle, most wytrzymał, pociąg za chwilę przyspieszył i po

kilku godzinach znalazłem się w Lublinie. Rozpocząłem poszukiwanie jednostki wojskowej, do której miałem skierowanie.

Majdanek okazał się miejscem zbornym poborowych. Cały obszar otaczał płot z drutu kolczastego z wieżami strażniczymi. Bramy pilnował żołnierz w cywilnym ubraniu. Sprawdził skierowanie i pokazał barak, do którego mam się udać. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że znajduję się w byłym obozie koncentracyjnym, gdzie tysiące ludzi było więzionych i wymordowanych. W baraku wskazano mi trzypiętrową pryczę i leżysko na najwyższym piętrze. Zostałem więc zakwaterowany. Spisano moje personalia, wydano karabin, pytając przy tym, czy umiem się z nim obchodzić. Barak był ogromny, mieścił chyba ze sto ludzi. Całe ściany i sufit były pełne różnych napisów. Leżąc wieczorem na swojej koi, pod sufitem, odczytywałem przy świetle pobliskiej żarówki zapiski, tych, którzy kolejno leżeli w miejscu, które teraz przypadło mi w udziale. Czytając krótkie zdania, które wyrażały stan duszy każdego z nich, przeżywałem ich bóle, załamania i tragiczne losy, jakie im zgotowano. Patrząc na tysiące napisów, widziałem w myśli cały barak wypełniony ludźmi, którzy piszą mozolnie swoje imiona, nazwiska, imiona swoich bliskich, skarżą się na swój los, wypisują modlitwy lub przekleństwa. I oto po przebudzeniu nocą wydaje mi się, że prócz kilkudziesięciu śpiących poborowych cały barak wypełniają niewidzialne, ale wyczuwalne cienie, mary i duchy pomordowanych. W baraku przebywałem tydzień. Moje samopoczucie było podobne do odczuć człowieka spędzającego samotnie noc wśród grobów na cmentarzu. Zwiedzając obóz w następnych dniach, widziałem w magazynach stopy ubrań, włosów ludzkich, butów, okularów, walizek, a nawet drewnianych protez rąk i nóg oraz dziecięcych zabawek. Było tego ogromne ilości, a przecież nie wiemy, ile już wywieziono. Niemcy byli oszczędni i nic nie mogło się zniszczyć. Z włosów robiono materace, wypychano miękkie meble, z ubrań nowe ubrania lub papier, czapki skórzane i kozuchy, wysyłane żołnierzom na front wschodni.

W następnych dniach szczepienia. Szczepień w wojsku przeprowadzono bardzo dużo, unikając w ten sposób epidemii, o

które nie było w tym czasie trudno. Podczas szczepienia zdarzył się następujący przypadek. Przesłano z frontu kilku podoficerów w celu kształcenia ich na oficerów w szkole oficerskiej. Podczas szczepienia stał w kolejce przede mną sierżant frontowy. Gdy zobaczył, jak jego poprzednikowi sanitariusz wbił igłę w rękę, padł jak długi na podłogę i trzeba było go przywracać do przytomności. Wzbudził śmiech, bo dziwne się wydawało, że będąc na froncie, widział na pewno i zabitych i rannych, a tu, nie widząc nawet kropli krwi, przestraszył się małej igły. Zatrudniono nas do służby wartowniczej. Wysyłano do różnych prac. Kiedyś zawieziono nas do magazynów zbożowych i cały dzień ładowaliśmy zboże do wagonów kolejowych. Byliśmy oburzeni nie z użycia nas do pracy, ale z tego powodu, że kazano nam pracować razem z Włochami wziętymi do niewoli. To było dla nas nie do zniesienia.

Codziennie przyjeżdżali do obozu oficerowie z różnych jednostek. Oficerów tych nazywaliśmy kupcami, a to z tej przyczyny, że przeprowadzali rozmowy z poborowymi i uznanych za odpowiednich dla danego rodzaju służby, kierowali do swoich jednostek. Było w tym dużo podobieństwa do kupna. Pewnego dnia i ja zostałem tak zakupiony do Oficerskiej Szkoły Piechoty Nr 2 w Lublinie.

Przeprowadzka do szkoły przy Alejach Raławickich nastąpiła w dniu następnym po przeprowadzeniu rozmowy. Dowódcą szkoły był płk Kontrym, dowódcą kompanii kpt. Grybel, oficer przedwojenny. Zostałem przydzielony do kompanii moździerzy 82 mm i 45 mm.

Zostaliśmy zakwaterowani w byłych koszarach zbudowanych jeszcze chyba za cara Aleksandra dla stacjonujących tu rosyjskich żołnierzy. Identyczne, według tego samego planu, były wznoszone na terenach całego zaboru rosyjskiego. Takie same istniały nie tylko w Zamościu, ale również w odległym od niego Sieradzu. Budynki koszarowe były budowane w jednakowym stylu zawsze z wypalanej czerwonej cegły. Na jednej kondygnacji rozmieszczano zwykle jedną kompanię. Całe piętro to jedno pomieszczenie poprzedzielane tylko z obu stron korytarza ścianami oddzielającymi poszczególne plutony. Przebiegający przez środek korytarz służył do

przeprowadzania zbiórek kompanii. W każdym plutonie w kącie stał kaflowy piec sięgający prawie sufitu. Koszary w dość dobrym stanie przetrwały obydwie wojny światowe, a w Sieradzu do dziś mieszkają lokatorzy i chwalą sobie warunki, bo mury są grube i nie zużywa się zbyt dużo energii na ogrzewanie.

Kilka dni przebywaliśmy jeszcze w ubraniach cywilnych, ale już od pierwszego dnia rozpoczęło się intensywne szkolenie wojskowe. Dowódca kompanii przeprowadził krótką odprawę, zapoznając nas z obsadą kompani, obowiązkami i zachęcał do solidnej pracy w służbie wojskowej. Przeprowadził to w tak świetny sposób, że zyskał natychmiast sympatię całej kompanii. Dowódcą pierwszego plutonu był wysoki, postawny i bardzo przyjemny mężczyzna w wieku około dwudziestu lat, wywodził się z oddziałów wileńskich AK. Udało mu się uniknąć wywózki na Syberię. Dowódca drugiego plutonu, do którego i ja należałem, był z wyglądu zaprzeczeniem poprzedniego, niskiej postury, około 25 lat, bardzo wymagający, ale uczciwy i niepozwalający, by żołnierzowi działa się krzywda. Dowódca trzeciego plutonu miał wrodzone geny sadystyczne. Cokolwiek miał do wykonania, doprowadzał do zwady nie tylko z podwładnymi, ale i z pozostałymi dowódcami plutonu. Co ciekawe, w jednostce nie spotkałem żadnego Rosjanina. Od pierwszego dnia pobytu w szkole rozpoczęło się intensywne szkolenie. Oprócz karabinów każdej drużynie przydzielono moździerz 82 mm oraz moździerz 45mm.

Moździerz składa się z trzech części: podstawy w postaci okrągłej płyty o średnicy około 70 cm, lufy o długości jednego metra i dwójnogu, czyli dwunożnej podpory. Z moździerzy wystrzeliwało się miny. Na dnie lufy była zamocowana iglica. Mina miała w dolnej części zapalnik i wrzucona do lufy, natrafiając na zapalnik z pewną porcją prochu, była wyrzucana w określonym kierunku. Uderzając w ziemię, uruchamiała drugi zapalnik, który ją rozrywał. Moździerze były przystosowane do przenoszenia na plecach. Pierwszy żołnierz drużyny przynosił podstawę, drugi lufę, trzeci dwójnog, a następni podstawę, miny i jeden moździerz 45 mm. W sumie wszystko ważyło ponad 100 kg, nie licząc karabinu i

wyposażenia własnego. Całkowite obciążenie żołnierza sięgało 25 kg.

Głodno, chłodno i do domu daleko pasuje jak ulał do sytuacji w wojsku w przededniu zakończenia wojny, a nawet długo jeszcze po jej zakończeniu, szczególnie na terenach na wschód od Wisły. Na tych ziemiach przebywały w ostatnim okresie przez długi czas całe armie wojsk niemieckich i rosyjskich i ogołoco całkowicie z żywności zarówno wsie, jak i miasta. Z tych też powodów wyżywienie w wojsku było nie tylko niedostateczne, ale można powiedzieć, że panował prawie że głód. Jediną potrawą, której też nie zawsze było pod dostatkiem, była kasza pod różnymi postaciami. Nawet zrodziła się wielozwrotkowa piosenka na ten temat, której ze względu na niecenzuralne słowa nie da się tu w całości przytoczyć. Podam tylko kilka początkowych słów „Wczoraj kasza dzisiaj kasza pier..... dola nasza, a na wieczór znowu zupa, w której pływa jedna krupa” itd., itp. Rano - krupnik, czarna kawa i 500 g czarnego jak węgiel i zakalcowatego chleba na cały dzień, obiad - kasza na gęsto polana łyżką oleju, kolacja – mamałyga (kukurydziana kasza), czarna kawa bez chleba, ponieważ chleb został zjedzony przed południem. Brak normalnego chleba był tak dokuczliwy, że gdyby na brudnej podłodze leżał choćby niewielki ułomek, to nie znalazłby się chyba nikt, kto by go nie podniósł z wielkim uszanowaniem. Drugim niedostatkiem był brak ziemniaków w jadłospisie. Po prostu w tym rejonie ich nie było. Kucharze starali się jakoś urozmaicić jadłospis. Kiedyś, mając służbę na kuchni, wręczono nam kosę, kilka worków i wysłano na nieużytki, porośnięte różnymi chwastami i polecono kosić pokrzywy, które po skoszeniu i umyciu okazały się wysmienitym surowcem na pokrzywową zupę. Zupa była naprawdę smaczna. W miarę jak dni stawały się cieplejsze, grubsze ubiory stawały się zbędne. Z drugiej strony płotu ustawiali się handlarze i swoją zimową kurtkę wymieniłem na bochenek chleba. Bochenek poszedł do równego podziału dla całej drużyny. Innym razem inny kolega dzielił się swoim utargiem. Ucztą nazywaliśmy obżarstwo, gdy ktoś z rodziny przywiózł wałówkę. Po miesiącu przytrafiło się i mnie, że oto drogi tato przyjechał do swego syna z potężną wałówką. Litował się nad

moim mizernym wyglądem, ale najważniejsze było, że żyję. Było to chyba już po zakończeniu wojny.

Za mundurem tęskniły nie tylko dziewczyny, ale i my również. Cały czas paradowaliśmy we własnych ciuchach. W dniu mundurowania, chociaż powinno to być tajemnicą wojskową, za płotem ustawił się prawie pułk handlarzy, a z drugiej strony cała nasza kompania. Rozpoczął się handel na całego. Każdy z poborowych sprzedawał wszystko, co tylko miał na sobie i zostawał golusienki w samych spodenkach, ale i te kupcy chcieli kupić. Jeden z gołców wpadł na pomysł i przyniósł koc z kompanii, owinał się nim do pasa, tworząc coś w rodzaju spódnicy i spodenki sprzedał. Po paru minutach już cała kompania wyglądała jak starożytni Egipcjanie w długich do stóp spódnicach. Mundurowanie dokonywało się nie na terenie koszar, a w miejskiej łaźni w śródmieściu. Szef uformował kolumnę marszową i kompania półnagich, bosych Szkotów, wyruszyła ze śpiewem główną ulicą miasta. Ludzie, widząc taki dziw nad dziwy, zatrzymywali się na chodnikach i z wielką sympatią uśmiechali się do nas. Po dwóch godzinach wracała do koszar kompania przebrana w mundury z pokrzyw i buty kurzowe (podgumowany brezent) z długimi cholewami. Na czapkach rogatywkach był przypięty, nie bardzo dotąd znany, piastowski orzeł. Po umundurowaniu każdy poczuł się dopiero prawie prawdziwym żołnierzem, a od następnego dnia rozpoczęło się intensywne szkolenie wojskowe. Wojna bowiem trwała dalej i domagała się bez przerwy nowych sił.

Perspektywy na buławę, którą żołnierz podobno nosi w plecaku, były żadne, natomiast głód dawał się we znaki codziennie, tym bardziej, że wymagano od każdego z nas znacznego wysiłku. Pobudka o szóstej, gimnastyka poranna na placu koszarowym, śniadanie, zbiórka szkoły na placu, defilada i wymarsz na ćwiczenia, na łęgi poza miastem, oczywiście w pełnym rynsztunku. Oprócz tego każdy pluton zabierał ze sobą moździerz i miny do niego. Na łęgach odbywały się ćwiczenia taktyczne, praktyczne zaznajomienie się z karabinem, a głównie z moździerzami. Szkolenie było forsowne, bo po trzech miesiącach mianowano zwykle podchorążych na stopień podporucznika i wysyłano na front. Często

odbywały się strzelania z karabinu i broni maszynowej. Bywały również ostre strzelania z moździerzy. Odbywało się to zwykle na łągach przy uprzednim zabezpieczeniu rejonu upadku min, aby nie stała się komuś krzywda. Zdarzyło się jednak, gdy dowódca plutonu nie sprawdził ustawienia celownika przez podchorążego i mina wybuchła w innym rejonie na pastwisku i zabiła jedną z pasących się tam krów. Była z tego niezła awantura, ale ostatecznie skończyło się na tym, że szkoła zapłaciła gospodarzowi za mięso, krowę zjedliśmy, a gospodarz kupił sobie nową, możliwe nawet, że ze stada pędzonego na wschód.

Zdarzył się również i inny przypadek. Codziennie rano, gdy dowódca szkoły wysiadał z wolantu przed sztabem jednostki w pobliżu bramy wjazdowej, oficer dyżurny składał meldunek. I otóż pewnego dnia podczas składania meldunku dobiegły od bramy jakieś podniesione głosy. Dowódca zbliżył się do bramy i widzi, że jakiś chłopina usiłuje wjechać nędzną szkapiną zaprzęzoną do czegoś podobnego do wozu, na którym znajduje się jakieś tajemnicze zawiniątko. Wartownik nie pozwala mu wjechać na teren koszar. Dowódca jednak daje przyzwolenie. Chłop podjeżdża pod sztab, schodzi z wozu, kłania się w pas i powiada: „gdy zagnałem dzisiaj krowy na pastwisko, znalazłem coś takiego i pomyślałem, że najlepiej, jak dostarczę to do jednostki wojskowej”. Ściąga przy tym zawiniątko, a raczej spory tobolek, rozwija koc i oto ukazuje się moździerz „45” w pełnej krasie. Oczywiście moździerz pochodził z naszej jednostki, a nawet z naszej kompanii. Zostawił go na łące trzeciej pluton. Oberwało się dowódcy trzeciego plutonu, z czego cieszyła się cała kompania, bo jak wspominałem, nie był on lubiany za niewłaściwe traktowanie podchorążych.

Koniec wojny. 16 kwietnia – ofensywa na Berlin, 3 maja – oddziały polskie dotarły nad Łabę, 6 maja – padł Wrocław i wreszcie 8 maja kapitulacja Niemiec i koniec wojny. Radość była wielka. Wojna trwała prawie 6 lat. Pod koniec wojny pod bronią było 600 tysięcy Polaków (400 tysięcy na wschodzie i 200 tysięcy na zachodzie). Polska straciła sześć milionów obywateli. Koniec wojny przywitano masową strzelaniną. Kto tylko miał byle coś, z czego można było wystrzelić, strzelał. Ludzie cieszyli się, że już

przeżywał koszmar wojny, ale faktycznie to powstawało tysiące nowych problemów, jakie każdy indywidualnie musiał rozwiązać w nadchodzących dniach, tygodniach i miesiącach, takich jak: zapewnienie dachu nad głową, znalezienie pracy, nauka i zdobycie zawodu oraz tysiące różnych spraw, których w czasie sześciu lat wojny nie można było doprowadzić do skutku.

Koniec szkoły. Wojna się skończyła, ale w trybie szkolenia i toku dnia nie nastąpiły żadne zmiany. Codzienne ćwiczenia na placu i na poligonie poza miastem, strzelania z karabinu, rzucanie granatem, strzelanie z broni maszynowej i tak dzień za dniem. Po miesiącu jednak pojawiły się oznaki zapowiadające nadejście czegoś nowego. Dowódcy plutonów mniej uwagi przykładali do szkolenia, dziesięciominutowe przerwy między zajęciami wydłużały się do godziny lub dwóch. Przeczowało się, że coś nieznanego wisi w powietrzu.

Po kilku dniach bomba wybuchła: szkołę rozwiązują. Ogłoszono, że chętni mogą się zgłaszać do szkół oficerskich: piechoty, kwatermistrzostwa, łączności i wojsk pancernych. Do szkoły łączności zgłosiło się czterech podchorążych: Brymerski, Gałczyński, Kocielski i ja. Brymerski pełnił funkcję pisarza batalionu i wypisywał na maszynie skierowania do jednostek. W jaki sposób on tego dokonał, to zostało już chyba jego słodką tajemnicą, ale wpisał termin stawienia się w Oficerskiej Szkole Łączności w Zamościu dopiero po dwóch tygodniach. W ten sposób uzyskaliśmy dwa tygodnie urlopu. Postanowiliśmy na tydzień pojechać do domu, a po tym czasie pojechać do Zamościa i zrobić rozeznanie. I tak też postąpiliśmy.

Po tygodniu pobytu w domu, po zaopatrzeniu się w żywność i pieniądze, wyruszyliśmy w drogę do Zamościa. W Lublinie spotkaliśmy Gałczyńskiego, który wracał już z Zamościa. Stwierdził, że w szkole panuje głód i on wraca do domu, szkołę mają przenieść gdzieś na zachód i prosi, aby go powiadomić, gdy do tego dojdzie. Po tych informacjach postanowiliśmy na razie nie udawać się do Zamościa, a mając jeszcze tydzień urlopu, poszukać może innego miejsca. Wyruszyliśmy więc w podróż po kraju. Żołnierze podróżowali bez biletu. Noclegi przeważnie na dworcach

kolejowych. Wyżywienie własne lub korzystaliśmy ze stołówek dla żołnierzy organizowanych na większych dworcach kolejowych. Byliśmy więc w Warszawie, Krakowie, Łodzi i wielu innych miastach. Widzieliśmy mnóstwo rozgrywających się szczególnie nocą scen, o których długo można by pisać. W końcu znaleźliśmy się w Dęblinie, w koszarach szkoły lotniczej. Zamieszkaliśmy na piętrze pustego bloku, korzystaliśmy ze stołówek i nikt nas o nic nie pytał. W końcu udaliśmy się do komendanta, prosząc go, by nas przyjął do lotnictwa. Komendant wyjaśnił nam bardzo grzecznie, że nie może tego uczynić, ponieważ mamy skierowanie do szkoły łączności. Proponował, abyśmy pojechali do Zamościa, tam starali się, aby nas nie przyjęto, a wtedy on będzie miał wolną rękę.

Nie pozostało nam nic innego, jak pojechać do Zamościa. Po zameldowaniu się i zakwaterowaniu poddano nas egzaminowi polegającemu na zapamiętaniu pewnych melodii np.: ti-ti-taaa-ti lub taaa-ti-ti-ti-ti albo ti-ti-ti-taaa-taaa-taaa-ti-ti-ti i powtórzeniu ich. Nie wiedzieliśmy, co to miało znaczyć, ale zgodnie z postanowieniem staraliśmy się wyśpiewywać zupełnie coś innego, niż słyszeliśmy. Potem dowiedzieliśmy się, że melodie, to nic innego, jak litery nadawane alfabetem Morse'a. Na drugi dzień wezwano nas na rozmowę do komendanta szkoły płk Mackiewicza. Rozmowa była krótka „ Nie chcecie być w łączności, ale będziecie”. I oto w ten sposób dalszy mój los został związany z wojskami łączności i to bez mojej zgody, a można powiedzieć przy dużym sprzeciwie. Dzisiaj, będąc na emeryturze, uważam, że dobrze się stało, że wymuszono na mnie związania się z tym rodzajem wojsk, bo w ciągu trzydziestu sześciu lat służby zajmowałem się ciągle szkoleniem z zakresu elektro i radiotechniki oraz zasadą pracy urzędzeń łączności coraz to nowych generacji. Dzięki temu, mając dziś 84 lata, mogę posługiwać się komputerem i udzielać korepetycji z matematyki i fizyki. Praca w tym zawodzie dawała mi zawsze wiele satysfakcji.

Zamość to bardzo ładne miasto, pełne zabytków, ale zaraz po wojnie nie wyglądało imponująco. Podczas wojny Niemcy utworzyli wiele obozów: dla jeńców rosyjskich, dla ludności wysiedlanej z Zamojszczyzny oraz obozy dziecięce, w których przetrzymywano dzieci przewidziane do germanizacji. W mieście pełno wojska

polskiego i rosyjskiego, rzucającego się w oczy tym bardziej, że Zamość liczył w tym czasie mniej niż dwadzieścia tysięcy mieszkańców.

Po przydzieleniu do kompanii por. Golińczaka i zakwaterowaniu, rozpoczęło się normalne szkolenie. Do ciekawszych należały zajęcia służby ruchu lub inaczej nauka odbioru i nadawania wiadomości za pomocą alfabetu Morse'a – czyli: ti –ti – taaa – ti oraz elektrotechnika. W porównaniu do szkoły w Lublinie więcej zajęć odbywało się w salach wykładowych.

Największy problem w tym okresie stanowiło wyżywienie, które nie tylko, że nie było wystarczające, ale było wręcz skąpe i mało urozmaicone. Przez cały czas pobytu w Zamościu samopoczucie było zgodne z przysłowiem: „Głodno, chłodno i do domu daleko”. Chłodno nie było, ale głodno i do domu daleko na pewno tak. Wyżywienie było jeszcze bardziej skąpe niż w Lublinie. Marzenie większości podchorążych to najeść się do syta. Główny składnik pożywienia stanowiła kasza w różnego rodzaju odmianach, a najczęściej był to krupnik lub kasza na gęsto. Ta ostatnia była zwykle polewana łyżką oleju. Od czasu do czasu pojawiała się inna odmiana kaszy, a mianowicie „mamałyga”, czyli inaczej kasza kukurydziana. Ziemniaki, kochane ziemniaki, pojawiły się na stole w ciągu kilku miesięcy zaledwie kilka razy.

Pewnego razu, po kolacji składającej się z kaszy z olejem, nagle wszyscy zaczęli narzekać na bóle brzucha, a potem wystąpiła gwałtowna biegunka. W bloku mieszkało około 300 podchorążych. Nagle wszyscy biegną do ubikacji, a tam jest tylko około 30 miejsc. Biegną więc na klatkę schodową i przed budynek. Co się wtedy nie działo. Nie każdy zdążył na dwór. Biegunka była tak gwałtowna, że większość delikwentów załatwiała się na klatkach lub w pobliżu bloku, a niektórzy w spodnie. Jednym słowem cały blok zasr...y, a wszystkiemu winien był zjełczały olej. Następnego dnia poświęcono na ogólne sprzątnięcie i doprowadzenie bloku i jego sąsiedztwa do porządku, a cały stan batalionu powoli leczył się z doznanych dolegliwości.

Do bardzo pożądaných należała służba w kuchni, bo można było dodatkowo czymś się pożywić. Raz mogło się to nawet tragicznie skończyć, bo podjedliśmy suszonych wiórków marchwi, a te po spęcznieniu w żołądkach rozdeły nasze brzuchy i spowodowały takie bóle, że trzeba było skorzystać z pomocy lekarza.

Jeszcze przyjemniejsza była służba wartownicza przy piekarni. Piekarze zawsze litowali się nad głodnym wartownikiem i było w zwyczaju, że wynosili mu bochenek chleba, po którym po dwóch godzinach wartowania nie pozostawało śladu.

Bywało również, że z kasyna oficerskiego ginął przygotowany do obiadu na stołach chleb. Słowo chleb miało w owym czasie zupełnie inne znaczenie, niż to ma dzisiaj. Tak samo słowa modlitwy: „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj” nabierały zupełnie innego znaczenia.

Łaźnia. Każdą sobotę szło się do kąpieli do łaźni. W łaźni ubrania wkładało się do metalowej szafy, gdzie były podgrzewane do znacznej temperatury, w której ginęły wszelkie insekty, takie jak wszy czy pluskwy. Przestrzegano jednak, by nie pozostawić w ubraniach zapalek lub materiałów łatwopalnych. Zdarzyło się jednak, że w jednym z plutonów pozostawione zapalki spowodowały pożar i mundury spłonęły. Na domiar złego w magazynach nie było mundurów zapasowych i pluton na zajęcia chodził w kalesonach i białych koszulach przyodziany z wierzchu wojskowym zimowym płaszczem, a trzeba dodać, że działo się to w grudniu, pół roku przed moim przybyciem do Zamościa.

Oficerowie. Komendantem szkoły był płk Mackiewicz, ten sam, który zdecydował o pozostawieniu nas w szkole, dowódca batalionu mjr Jeżewski, a prócz tego pamiętam z tego okresu takich oficerów, jak: Piotrowski, Kochan, Iłow, Czarnogórski, Golińczak. Wszystkich bardzo mile wspominam z wyjątkiem ppor. W.

Mówi się, że barwę życia nadają ludzie odchyleni od normy. I chyba faktycznie tak jest, bo wyobraźmy sobie, że wszyscy ludzie na świecie są idealni, wstają rano, myją się, paciorek, śniadanie, praca, obiad, drzemka poobiednia, gazet nie czyta się, telewizji nie ogląda, bo wszyscy ludzie są idealni, więc nie ma o czym pisać ani

co pokazywać w telewizji, a więc kolacja, siusiu i spać. I tak postępują wszyscy ludzie, bo przecież są idealni. W takiej sytuacji nie mogłaby powstać żadna książka, żaden film i życie stałoby się faktycznie nie do zniesienia nudne.

Otóż od takiej jednostajności życia uwalniał nas ppor. W. Nie wiem, w jaki sposób otrzymał stopień podporucznika, ale nie zasługiwał na niego absolutnie, o czym mogą świadczyć następujące fakty. Gdy kompania wracała po posiłku, ten przepuszczał kilka dwójek, zatrzymując resztę, podchodził do jednego ze stojących podchorążych, chwycił za klapkę kieszeni bluzy, podciągał ją raptownie do góry, a ta zwykle się odpinała. Cieszył się wtedy niesamowicie krzyząc: „Dlaczego masz kieszeń niezapiętą? Dawaj nóż”. Podchorąży odpowiada, że nie ma. Krzyczy do następnego – „daj scyzoryk”, następny też nie ma. Wzywa podoficera dyżurnego, polecając mu przynieść nóż, a gdy ten przynosi, obcina wszystkie guziki pierwszemu za to, że rzekomo nie miał zapiętej kieszeni, a drugiemu, że nie posiadał noża. Inny przykład: podchorąży w wolnym czasie siedzi w świetlicy i pisze list, wchodzi W. i widząc na stole kilka znaczków na listy, mówi „daj znaczek”, chwytą wszystkie i odchodzi. Innym razem podchorążemu mającemu służbę daje 50 groszy i wysyła go, by kupił mu w kantynie kanapkę, ten dopłaca złotówkę i przynosi. W. daje mu złotówkę, mówiąc: „to kup jeszcze dwie”.

W porze wieczornej przed pójściem spać kompania stawała na zbiórce i na komendę „do modlitwy” odmawiano modlitwę i śpiewano Rotę. Kiedyś napatoczył się W. i zaczął dyrygować śpiewem Roty, wymachując w odpowiednim tempie rękami, machał nimi coraz szybciej i szybciej, a kompania śpiewała do taktu. Na to wszedł do kompanii dowódca batalionu Jeżewski, przerwał natychmiast tę żalosalną scenę, zabrał ze sobą W. i wyszedł.

Pistolet służbowy zgubił i w kaburze nosił pistolet drewniany, pomalowany na czarno. Przed przeniesieniem się szkoły W. został wysłany do Sieradza z plutonem ochrony, którego zadaniem było wystawiać posterunki do ochrony poszczególnych obiektów. Po kilku dniach wysłany na kontrolę oficer stwierdził, że na dwóch posterunkach stały pod ścianą karabiny, a na bagnetach kartki z

napisem: „Jestem na urlopie”. Oczywiście, W. nie służył w wojsku zbyt długo.

Służba wartownicza istnieje chyba od tak dawna, jak wojsko i wojny lub ludzie w miarę normalni i rabusie. Wartownik zawsze bronił przed rabunkiem lub zaskoczeniem. Służbie tej poświęcano w wojsku wiele uwagi, bo w jej cieniu czaiła się zawsze śmierć. Szkolono więc jak należy pełnić służbę, jak zatrzymywać osoby niepowołane i co robić, gdy nie wykonują poleceń.

Podczas mojej służby w Zamościu zdarzył się następujący wypadek. Podchorąży J., ochraniając nocną porą ogrodzony drucianym płotem teren koszar, usłyszał odgłosy wskazujące, że ktoś się wspina na płot i usiłuje go sforsować. W ciemności nie widział, co by to było. Stwierdził jedynie, że sylwetka przypomina osobę ludzką. Krzyknął więc sakramentalne słowa: „stój, stój, stój, bo strzelam”, a ponieważ delikwent nie reagował i wspinał się na płot w dalszym ciągu – wystrzelił. Strzał okazał się śmiertelny. Po przybyciu dowódcy warty okazało się, że zabity został podchmielony żołnierz rosyjski z sąsiedniej jednostki wojskowej. Przeprowadzono dochodzenie, które wykazało, że podchorąży J. użył broni zgodnie z zasadami przewidzianymi na tę okoliczność. Podchorąży ukończył szkołę i dosłużył się stopnia pułkownika w wojskach łączności

Podobny tragiczny przypadek zdarzył się również w Sieradzu. Po promocji jako nowo mianowani podporucznicy zamieszkaliśmy, ja i kolega Domagalik, w domku tuż za płotem koszar u pani Czuper. Mąż pani Czuper służył przed wojną, w stopniu sierżanta, w 31. Pułku Strzelców Kaniowskich i wybudował sobie domek obok koszar. Podczas wojny zginął w walce w pobliżu Warszawy. I otóż pani Czuper opowiedziała nam o tragedii, jaka miała miejsce latem 1945 r., zanim szkoła została przeniesiona z Zamościa. W koszarach stacjonował wtedy 2. Zapasowy Pułk Łączności. Do żołnierza, który służył w tym pułku przyjechała z Łodzi rodzina i zatrzymała się u pani Czuper. Powiadomiony żołnierz przeszedł przez płot z drutu kolczastego i przez kilka godzin przebywał z rodziną, a potem pożegnał się i przez płot wracał do koszar. W czasie mocowania się z płotem zobaczył go wartownik – żołnierz z tej samej kompanii –

krzyknął kilka razy „stój”. Przechodzący żołnierz na to „czyś ty zgłupiał”, a ten strzelił i położył chłopaka trupem. Na odgłos strzału przybiegła matka, siostra i brat, którzy nie zdążyli jeszcze wejść do domu po pożegnaniu. Zbiegli się również żołnierze i zaczęli bić wartownika. Prawdopodobnie nie uszedłby z życiem, gdyby oficerowie nie zaprowadzili porządku. I tak odwiedziny zamieniły się w tragiczną żałobę.

Oprócz wart ochraniających, bywają również różnego rodzaju warty honorowe. Pewnego razu samochód wiozący grupę podchorążych uległ wypadkowi i sierżant zginął. Żołnierz należał do naszej kompanii. Ciało sierżanta po przebraniu i włożeniu do trumny wystawiono w świetlicy i do chwili pogrzebu dwóch podchorążych trzymało wartę honorową. Jednym z wartowników byłem ja. Stanie na baczność, w nocnej porze, przy przyćmionym świetle świec i ich mdłym zapachu, w sąsiedztwie zwłok, nie było zbyt przyjemne. Działo się to w Sieradzu, a sierżant jest pochowany na miejscowym cmentarzu. Ilekroć jestem na cmentarzu, przypominam sobie to zdarzenie i nie omieszkam zapalić lampki na jego grobie.

Przeprowadzka. Na początku października było wiadomo, że szkoła zostanie przeniesiona do Sieradza. Niewielu wiedziało, co to za miejscowość, a jeszcze mniej, gdzie jej szukać na mapach. Ostatecznie wyjaśniło się, że jest to mała miejscowość w województwie łódzkim. Rozpoczęło się pakowanie sprzętu, pomocy naukowych i tego wszystkiego, co mogło się przydać w wyszkoleniu lub zapewnieniu toku pracy jednostki. 14 października po załadowaniu pociągu, urządzeniu kuchni polowej i miejsc do spania w wagonach kolejowych, wyruszyły dwa transporty na zachód. Pierwsza kompania podchorążych, do której i ja należałem, objęła służbę wartowniczą nad transportem podczas podróży. Zorganizowano łączność telefoniczną ze wszystkimi wagonami. Wartownicy przebywali w budkach wartowniczych (wszystkie wagony były towarowe), a podczas postoju wysiadali i przebywali obok wagonów. Była to nie lada gratka, ponieważ reszta podchorążych mogła opuszczać wagony tylko po ogłoszeniu dłuższego postoju. 19 października transport przybył do Sieradza.

Po przekroczeniu koszarowej bramy, idąc alejką, zauważyłem nowo posadzone drzewka grubości palca. Dlaczego o tym piszę? Otóż szczególnie ten zapamiętałem i przechodząc nieraz tą samą aleją, widzę teraz potężne topole i wracam myślą do czasu, gdy były dopiero co posadzone (a mija od tamtej chwili 63 lata). Po przybyciu do rejonu kompanii i złożeniu oporządzenia, kompania udała się do stołówki, a tam wielka niespodzianka: wysmienita zupa pomidorowa z makaronem, a potem, ktośby przypuszczał duży kotlet schabowy. Z czym? Z ziemniakami. Mało tego, przy odejściu każdy otrzymuje pół bochenka białego chleba. I jeśli ktoś zastanawia się, co to jest szczęście, to mogę stwierdzić, że każdy z nas był w tamtej chwili naprawdę szczęśliwy. Dzisiaj, gdy nie odczuwam głodu, przypominam sobie tamte chwile i nie wybrzydzą, że jakaś potrawa może być niesmaczna, a chleb jest i pozostanie u mnie zawsze w wielkim poszanowaniu. Rozumiem ludzi cierpiących głód i boleję nad tym, że tyle żywności się marnuje, a w odległych krajach ludzie, w tym małe dzieci, umierają z głodu.

2.Zapasowy Pułk Łączności, o którym już wspomniałem był zakwaterowany w Lublinie, w barakach na Majdanku. Był to pułk kobiecy. Liczył około 1600 kobiet. Kobiety były szkolone w zakresie łączności, pomocy sanitarnej i na froncie pracowały przy obsłudze radiostacji, central telefonicznych, transporcie rannych do szpitali polowych oraz jako przyuczone sanitariuszki. Dowódcą pułku był płk Groński, a zastępcą mjr Kruk. W końcu marca połowę wyszkolonych kobiet wysłano na front, a 800 przetransportowano do Sieradza w celu dalszego szkolenia. Po ich wyjeździe z Majdanka w tych samych barakach zakwaterowano kandydatów do szkół oficerskich, a między nimi i mnie. Pułk przebywał jeszcze w Sieradzu, ale ponieważ wojna się skończyła, to następowała powolna jego likwidacja. Część kobiet oraz orkiestra znalazły zatrudnienie w Szkole Oficerskiej, część pracowała w kasynie, a mające przygotowanie w księgowości. Niektóre wyszły za mąż i osiedliły się w Sieradzu. Po likwidacji pułku objekty koszarowe objęła Oficerska Szkoła Łączności.

PODCHORAŻÓWKA (XII 1945–III 1947)

Okres urzędowania rozpoczął się od następnego dnia po przeprowadzce z Zamościa. Trzeba było przygotować miejsce zakwaterowania, urządzić magazyny, sale wykładowe, uporządkować teren, który był zaniedbany oraz wykonać wiele, wiele prac, które trudno byłoby tu wymienić. Przede wszystkim brak było sal wykładowych. Okazałego dziś bloku wyszkolenia jeszcze nie było. Rolę budynku wyszkoleniowego spełniał budynek, w którym mieści się dzisiaj kasyno. Poszczególne wydziały szkoły nazywały się, nie bardzo wiem dlaczego, cyklami. Były więc cykle: radio i elektrotechniki, teletechniki, organizacji łączności, taktyki, służby ruchu, przedmiotów ogólnokształcących (w tym cyklu podchorążowie niemający matury uzupełniali braki z takich przedmiotów, jak język polski, matematyka, fizyka, biologia) i cykl wyszkolenia politycznego. Każdy cykl posiadał odpowiednio urządzone sale wykładowe. W bloku kasyna połowę pierwszego piętra zajmowało kasyno. Powyżej kasyna były sale wykładowe cyklu organizacji łączności i taktyki. Lewa strona bloku to sale cyklu elektrotechniki i radiotechniki, a górne piętro - sale cyklu teletechniki. Pod kasynem mieściła się kuchnia żołnierska i stołówka. W bloku (magazynu) warsztatowym, na górnym piętrze, urządzono sale remontu sprzętu radiowego i przewodowego. Sale służby ruchu (do nauczania odbioru i nadawania informacji alfabetem Morse'a na słuch i na taśmie) mieściły się w baraku obok sztabu (5 sal) i po jednej sali w świetlicy każdej kompanii (dla treningu w wolnym czasie). Wiele zajęć odbywało się w terenie. Do takich zajęć należała musztra, praca na radiostacjach, organizacja łączności telefonicznej, zajęcia saperskie (organizacja przeprawy przez Wartę), zajęcia chemiczne, strzelanie na strzelnicy i rzucanie granatów, marsze według azymutu itp. Izba chorych mieściła się w budynku sztabu. Parter budynku kasyna to kuchnia żołnierska i stołówka.

Sale wykładowe, a nie tylko sale, były właściwie puste i trzeba było je urządzać. Prowadzenie zajęć z elektrotechniki, radiotechniki

czy teletechniki polegało między innymi na objaśnianiu pracy urządzeń. Wykorzystywano w tym celu schematy, rysunki i różnego rodzaju pomoce naukowe w postaci modeli i eksponatów. To wszystko trzeba było wykonać samodzielnie. W godzinach popołudniowych do późnych godzin nocnych wybrani podchorążowie rysowali schematy, montowali modele pomocy naukowych i stopniowo baza wyszkoleniowa powiększała się. Mnie od początku interesowała elektro i radiotechnika, a w godzinach popołudniowych w ramach nauki własnej pracowałem w warsztacie radiowym, montując różne pomoce naukowe.

Dowódcy. Pierwszym komendantem szkoły w Sieradzu był płk Mackiewicz. Poza rozmową podczas przyjęcia mnie do szkoły jeszcze w Zamościu, jako podchorąży nie miałem z nim bliższej styczności. W 1946 r. komendantem został płk Ratuszniak.

Zastępcą komendanta do spraw politycznych był mjr Wojtala. W 1 batalionie pełnił tę funkcję kpt. Czarnogórski. W cyklu politycznym i w kompaniach pracowali tacy oficerowie, jak: kpt. Samsel, kpt. Moch, por. Bulzacki, por. Kierniakiewicz, por. Kowalczyk.

Funkcję zastępcy komendanta do spraw technicznych pełnili kolejno: ppłk Osipow - Rosjanin, a po jego wyjeździe mjr Jasiukiewicz. Ppłk Osipow był ogromnie pracowitym człowiekiem. Było go pełno wszędzie i wiedział dokładnie nie tylko ile czego jest w magazynie, ale nawet, na której półce to leży. Niskim wzrostem wcale się nie przejmował, a nawet uznawał to za coś pozytywnego, bo z tego powodu wszyscy w jednostce go znali. Mieszkał w bloku z żoną Rosjanką i czworgiem dzieci, które uczęszczały do polskiej szkoły. W 1949 r. otrzymał rozkaz powrotu do Rosji. Powracał transportem kolejowym. W tym celu został zamówiony towarowy wagon. W załadunku pomagał ppor. Grześkowiak. Załadowano więc meble i cały sprzęt gospodarstwa domowego. Podróż była przewidziana na wiele dni, urządzono więc miejsce do spania. Ponieważ był to okres późnej jesieni i należało się spodziewać nawet mrozów, zainstalowano więc żelazny piecyk na węgiel. Ppłk osobiście go przymocował za pomocą drutów do podłogi, a chłopaki rozpalili ogień. W wagonie zrobiło się ciepło i przytulnie, co

zapowiadało wygodną podróż. Pani Osipow nastawiła wodę, zaparzyła kawę, zaprosiła pana Grześkowiaka, dziękując za okazaną pomoc. Pan Grześkowiak wysiadł, odjeżdżająca rodzina rozlokowała się w wagonie, a po chwili do wagonu przybiła lokomotywa, która miała wagon przyczepić do jadącego na wschód pociągu. Parowóz tak silnie stuknął w wagon, że piecyk zerwał się z drutów, palący się węgiel rozsypał się po całym wagonie, w wagonie pełno dymu, pierzyny zaczęły się palić. Gdy usłyszano dochodzące z wagonu krzyki i zauważono wydobywający się dym, zatrzymano lokomotywę i przystąpiono do gaszenia pożaru i po dłuższym czasie doprowadzono wewnątrz wagonu do znośnego stanu.

Dowódca mojego 1. batalionu to wspomniany już mjr Jeżewski, wymagający, ale sprawiedliwy. Podchorąży wiedział, że pod jego dowództwem nie może doznać krzywdy. Kpt. Weiss, to mój dowódca 1. kompanii. Wiele czasu poświęcał, aby kompania była jedną z lepszych i dokonał tego, bo w ciągu dwóch lat mojego pobytu w tej kompanii pełniła bez przerwy funkcję kompanii honorowej. Dzięki temu wzięła udział w wojskowej defiladzie 22 lipca w Warszawie w 1946 r.

Na defiladę przybyło do Warszawy wiele pododdziałów różnych rodzajów wojsk z całej Polski. Kompania prezentowała się wyśmienicie. Spodnie granatowe z szerokimi niebieskimi lampasami. Czapki z czarnym otokiem i orłem z koroną. Warszawiacy, widząc podchorążych z takimi orłami, uważali nas za wojsko nawiązujące do przedwojennych czasów i darzyli nas dużą sympatią. A z orzełkami to było tak. Do kantyny w Sieradzu sprowadzono orzełki prawdopodobnie wyprodukowane na przedwojennych matrycach. Podchorążowie kupili orzełki, przyczepili do czapek i wyjechali do Warszawy. Nikt z oficerów nie interweniował, więc orzełki nosiliśmy. W Warszawie jednak szybko wykryto nasze ciążotki do przedwojennych czasów i pewnego dnia odbyła się masowa dekoronacja, wszystkie korony zostały obcięte. Warszawa przedstawiała ogromne rumowisko, ale jednocześnie była jednym wielkim placem budowy. Defilada się udała, ogromne tłumy wiwatowały i oklaskiwały swoich synów maszerujących w defiladzie.

W maju 1946 r. przybył do szkoły z wizytą gen. Karol Świerczewski. Został powitany z wojskowymi honorami, odbył spotkanie z całą szkołą i dokonał inspekcji miejsca zakwaterowania i bazy wyszkoleniowej oraz dokonał promocji.



Dowódcą mojego plutonu był por. Śmigielski, bardzo ambitny oficer, który z jeszcze ambitniejszym sierżantem Kazimierzem Patkowskim, pełniącym obowiązki pomocnika dowódcy plutonu, stanowili tandem, który postawił sobie za cel uczynić drugi pluton pod każdym względem najlepszym w szkole. Dodając do kolekcji dowódcę mojej drużyny, podchorążego Albrechta urodzonego Poznaniaka – uosobienie ładu i porządku, można sobie wyobrazić drużynę, a nawet pluton, jak chodzący zegarek, w którym rolę kółek zębatach spełniali podchorążowie.

Sieradz 1946 rok
Pchor. Zygmunt Szwej

W skład drużyny wchodził: Albrecht, Babraj, Bargieła, Chelchowski, Dutkiewicz, Kosenda i Szwej.

Szef kompanii Leon G. (Żyd) wyjątkowo antypatyczna postać - typowy okaz sadysty. Ileż on nie nawymyślał różnych niepotrzebnych prac, aby tylko obrzydzić życie swoim podopiecznym. Zupełne przeciwieństwo kpt. Weissa, który również był Żydem. Jako dowódca kompanii honorowej brał udział w uroczystości Bożego Ciała na rynku sieradzkim dowodząc kompanią honorową.

Przywykły do ciężkich warunków życia na wsi, nie odczuwałem zbyt trudów i rygoru życia wojskowego. Najprzyjemniejsze chwile, to praca w warsztatach, a potem nawet na terenie kompanii, gdzie w kąci montowaliśmy proste odbiorniki

radiowe. Cóż to była za przyjemność, usłyszeć głos wydobywający się z własnoręcznie zmontowanego odbiornika.

W końcu lat czterdziestych i na początku pięćdziesiątych obowiązki dowódców batalionów pełnili: Jeżewski, Klisowski, Bartold, Dziadkiewicz.

Mjr Jeżewski był Polakiem zamieszkałym w Rosji i został przydzielony do Wojska Polskiego podczas jego tworzenia. Świetnie posługiwał się językiem polskim, ożenił się z Polką, mieli dwoje dzieci, mieszkali w wojskowym bloku, w którym i ja zamieszkuję. Tworzyli miłą i chyba szczęśliwą rodzinę. I oto pewnego dnia grom z jasnego nieba. Major otrzymuje polecenie powrotu do Czerwonej Armii. No i cóż on ma uczynić, wrócić musi, żony Polki i dzieci zabrać nie może (może w Rosji miał żonę). Jeśli legalnie wyjedzie, pozostawiona żona nie wiadomo kim będzie, ani panna, ani wdowa. Wymyślił więc następujące rozwiązanie. Prawdopodobnie, wykonując rozkaz, wyjechał, ale na brzegu rzeki Warty znaleziono jego ubranie i uznano, że się utopił. W ten sposób żona została wdową i miała rozwiązane ręce.

Dowódcy kompanii, nazwiska, których zapamiętałem to: Weiss, Kuźmicki, Golińczak, Bober, Górecki, Śmielak, Puchała.

WYKŁADOWCY I ORGANIZACJA SZKOLENIA

Wyszkoleniem szkoły kierował dyrektor nauk. Funkcję tę pełnił płk Lazariew, a po jego wyjeździe - ppłk Rościszowski, przedwojenny oficer. Do pomocy miał wydział szkolenia oraz komendanta poligonu, którą to funkcję pełnił kpt. Kołodziej, a w późniejszym okresie kpt. Leśniak.

Organizacja cyklów była następująca. Pracami cyklu kierował szef cyklu. Do pomocy miał od jednego do dwóch starszych wykładowców oraz większą lub mniejszą ilość wykładowców. Część obsady oficerskiej stanowili oficerowie radzieccy, którzy stopniowo byli zastępowani oficerami wykształconymi w szkole.

Cykl Elektro–Radiotechniki. Szefem cyklu był Rosjanin płk Żerebcow, urodzony naukowiec. Praktycznie jemu należało zawdzięczać właściwy dobór kadry wykładowców oraz utworzenie

wymaganej bazy szkoleniowej. Trzeba tu podkreślić, że w tym okresie nie było żadnych podręczników w języku polskim z elektrotechniki, a szczególnie z radiotechniki. Wykładowcy prowadzili wykłady i najważniejsze części wykładu po prostu dyktowali. Pierwszy podręcznik „Podstawy radiotechniki” opracował płk Żerebcow, a rysunki do podręcznika wykonywał mój kolega podchorąży Jan Domagalik.

Bazę naukową w postaci schematów, czynnych modeli odbiorników, nadajników, generatorów, za pomocą których można było demonstrować złożone procesy zachodzące w urządzeniach elektrycznych i radiowych, wykonywali wybrani podchorążowie, a między innymi i ja. Materiały w postaci części elektrycznych, o które było na rynku bardzo trudno, czerpaliśmy z różnego rodzaju sprzętu wojskowego, będącego na uzbrojeniu niemieckich wojsk, a dostarczanego z Niemiec w ramach wojennych reparacji. Rozbieraliśmy więc na części wojskowe odbiorniki Thorn, radiostacje i mnóstwo innych urządzeń, z których wykonywaliśmy różnorodne pomoce naukowe. W ramach reparacji był również dostarczany czynny sprzęt w postaci telefonii wielokrotnej ME-8, TFC, Radiolinii RFG, telefonów itp. Wybieranie potrzebnych części z pośród ogromnej ilości sprzętu stanowiło wręcz nadzwyczajną, niepowtarzalną okazję do praktycznego zapoznawania się z tajemną wiedzą elektro i radiotechniki. Szczególną radość sprawiało, gdy wykonany model zaczął poprawnie pracować. Praca ta przypominała w dużej mierze pracę w modnych w późniejszym okresie radiowych kółkach modelarskich (szkoda, że nie propaguje się dzisiaj powstawanie takich kółek, a chętnych na pewno by nie brakło). Duszą tych prac był kpt. Kiczko, urodzony hobbysta radiopajęczarstwa. Posiadał ogromną wiedzę praktyczną i ciągle coś nowego majsterkował. Na wszystko miał swoje skuteczne sposoby. Zaraz po wojnie wszystkie mieszkania były opanowane przez pluskwy, a środków na nie nie było żadnych. Kiczko ze zwykłego czajnika potrafił zrobić urządzenie wytwarzające gorącą parę, którą niszczyło się pluskwy w meblach, materacach i ścianach.

Wykładowcami elektrotechniki w latach 1945-1947 byli: mjr Goćławski, kpt. Blankenhorn (po zmianie nazwiska Błoński), kpt.

Kłosowski, kpt. Adamko – przedwojenny oficer, który całą wojnę spędził w niewoli w niemieckim oflagu), kpt. Śmietanko, por. Garbacki, kpt. Czerwiński i jeszcze kilka nazwisk, które uleciały z pamięci. Wspomniany kpt. Adamko był świetnym wykładowcą, potrafił w zrozumiały sposób wyłożyć bardzo złożone problemy elektrotechniki.

Cykl Teletechniki. Szefem cyklu był oficer rosyjski, a po jego wyjeździe funkcję tę pełnił oficer przedwojenny mjr Mirecki. Wykładowcy telefonii, to: kpt. Jan Tomaszewski, kpt. Perucki, wspominany już z czasów lubelskich por. Gałczyński oraz kpt. Pędziwiatr (potem Wiatrowski). Ciężko pracowali nad uruchomieniem ośmiokrotnej telefonii wielokrotnej ME-8. Wykładowcy cyklu TT prowadzili zajęcia praktyczne: budowy i eksploatacji linii telefonicznych i telegraficznych. Na budowę linii zabierało się znaczne ilości sprzętu: bębny z kablem telefonicznym, tyczki rososzki do podwieszania kabla, ciężkie metalowe kołki uziemienia do wkręcania w ziemię i zastępujące drugi przewód oraz wiele innych materiałów. Sprzęt był przewożony na biedkach, czyli czterokołowych wozach zaprzężonych w dwa konie. Na stanie jednostki było kilkanaście takich wozów i odpowiednia ilość koni. Szczególnie biedki były nieodzowne przy budowie linii tyczkowej z gołego miedzianego przewodu, zawieszanego na 3-metrowych tyczkach. Wozy uginały się wtedy pod ciężarem bębnow z przewodem i górami tyczek.

Cykl Organizacji Łączności. Szefem cyklu był płk Woroncow, a potem kpt. Wildstein i kpt. Gełeta. Wykładowcy, to: kpt. Ryszard Piotrowski, kpt. Kuriański, por. Józef Palczak oraz kpt. Oleszkiewicz i kpt. Laufersweiler – wykładowcy topografii.

DALSZE SZKOLENIE I PROMOCJA

Rok 1946 to okres intensywnego szkolenia. Po zakończeniu zajęć z elektrotechniki rozpoczęło się wyszkolenie z radiotechniki, a następnie ze znajomości radiostacji, praktycznej pracy i w końcu remontu sprzętu radiowego. Cały czas dużo styczności ze sprzętem. Bez przerwy prace laboratoryjne, praca praktyczna na radiostacjach

małej, średniej i dużej mocy oraz prace warsztatowe z zakresu naprawy sprzętu. Duże postępy w służbie ruchu. Cały pluton odbierał i nadawał 20 grup, to znaczy – 100 liter alfabetu Morse’a na minutę. Prócz tego szkolenie z wielu innych dziedzin, takich jak: wyszkolenie saperskie, chemiczne, topografia, organizacja łączności, taktyka, kwatermistrzostwo, nie wspominając sportu i musztry. Na początku 1947 r. rozpoczęło się przygotowanie do promocji.

Konwojenci. Pod koniec wojny, gdy walki przebiegały na terenie polski, do niewoli trafiało coraz więcej niemieckich żołnierzy. Po wyzwoleniu Sieradza budynki więzienne były puste. Umieszczono więc w nich wziętych do niewoli jeńców. Byli wykorzystywani do różnych prac na terenie Sieradza. W koszarach i przyległym do koszar terenie kwaterowało w czasie wojny wojsko niemieckie. Opuszczając rejon, pozostawili go w niezbyt dobrym stanie. Doprowadzenie wszystkich zakątków koszar do stanu używalności wymagało wiele pracy. W więzieniu natomiast marnowało się tyle niewykorzystanej siły roboczej. Ktoś wpadł na pomysł wykorzystania tego potencjału. I oto od pewnego dnia przyprowadzano codziennie z więzienia dwudziestu do trzydziestu jeńców do pracy. Do ich eskorty wysyłano zazwyczaj drużynę podchorążych. Kilka razy brałem udział w tej misji. Konwojowanie jeńców należało do jednych z przyjemniejszych zadań. Któżby się nie cieszył na widok trzydziestu niedawnych „panów świata”, podobnych dzisiaj do największych nędzarzy: nieogoleni, w brudnych nieraz obszarpanych mundurach, przygarbionych, idących pokornie jak baranki; niektórzy jednak gdyby mogli, to swoim wzrokiem zabiliby chętnie tak, jak to może czynili uprzednio. W szyku trójkowym prowadziliśmy to zbiorowisko do koszar. Nie wstydzę się tego, że odczuwałem przyjemność, iż oto ci, którzy niedawno rządzą prawie całą Europą, idą pokornie pod lufami naszych karabinów, a przechodzący przechodnie, a nawet małe dzieci, naśmiewają się z nich, ubliżają im, wykrzykują, że należałoby ich zastrzelić, a jeszcze lepiej powiesić. Od czasu do czasu któryś z nich schyla się i podnosi niedopałek papierosa. Oto po pięciu latach niewoli, gdy widywałem Niemców pełnych buty,

elegancko ubranych, dumnych i nieprzystępnych, decydujących o życiu lub śmierci ludzi, którzy znaleźli się na ich drodze, ja, jeden z tych ludzi, prowadzę pod karabinem przedstawicieli rasy panów. Zapewne większość z nich odczuwała swoje poniżenie i zdawała sobie sprawę, jak nisko upadli, porażeni sprawiedliwością dziejową. Praca trwała do godziny szesnastej, potem obiad i odprowadzenie do więzienia. Pilnując więźniów podczas ośmiogodzinnej pracy miałem możliwość rozmowy z niektórymi. Można by napisać całe studium zachowań poszczególnych jeńców, a był to bogaty wachlarz: rozpiętość wieku od osiemnastu do sześćdziesięciu lat, wykształcenie od podstawowego do wyższego, różne zawody itp.

Promocja została wyznaczona na 13 marca 1947 r. Na tydzień przed tą datą rozpoczęły się przygotowania. Na promocję miał przybyć marszałek Rola-Żymierski, trzeba więc było zapiąć wszystko na ostatni guzik. Odbyło się zatem sprzątanie całych koszar, malowanie odrapanych drzwi i okien (nie było jeszcze w zwyczaju malowanie trawy), a na sieradzkim rynku wzniesiono polowy ołtarz. Rankiem wystawiono w koszarach kompanię honorową, która miała przywitać dostojnego gościa. Gość jednak długo się nie zjawiał. Okazało się, że marszałek zamiast do koszar, udał się w odwiedziny do bliskiego znajomego z młodych lat, infułata Leśniewskiego. Promocja odbyła się na rynku.

Najpierw msza polowa, odprawiona przez infułata Leśniewskiego, potem jak zwykle okolicznościowe przemówienia, a w końcu marszałek dokonał mianowania podchorążych na oficerów, uderzając każdego buławą po ramieniu. Po promocji uroczysty obiad z udziałem rodzin i zaproszonych gości. Marszałek Żymierski przemawiał kilka razy, bardzo krótko, ale słowami prostymi, czym zyskał sobie ogólną sympatię. Od następnego dnia po promocji wręczano skierowania do pracy w różnych jednostkach całego kraju. Ja otrzymałem przydział do OSŁ w Sieradzu na stanowisko kierownika sal służby ruchu.



Sieradz 1947 r. Promocja podchorążych na pierwszy stopień oficerski

ŚLŹBA OFICERSKA W OFICERSKIEJ SZKOLE ŁĄCZNOŚCI

Kierownik sal służby ruchu. Szefem cyklu Służby Ruchu był Zbigniew Ciupa, chyba w stopniu kapitana. Wspominam go zawsze tak, jak wspomina się kogoś z bliskiej rodziny. Był wymagający, ale umiał stworzyć w pracy atmosferę rodzinną. Wykładowcami służby ruchu radiowego byli porucznicy: Jasiński, Barwiński i Czech, a wykładowcą służby ruchu telegraficznego mjr Paweł Maliszewski. W późniejszym okresie przybyli nowi wykładowcy: Z. Wilanowski, Soberka i Mycka.

Do moich obowiązków należało utrzymanie w należyтым stanie sal służby ruchu, których było pięć, nie licząc małych sal na terenie żołnierskich bloków mieszkalnych. Trzy sale przeznaczone do nauki służby ruchu radiowego były wyposażone w trzydzieści stanowisk. Każde stanowisko posiadało klucz telegraficzny do nadawania, parę słuchawek do odbioru i kilka gniazdek

umożliwiających dokonywanie połączeń między podchorążymi. W biurku wykładowcy był zamontowany generator, dwa różne klucze do nadawania i przełącznica umożliwiająca dokonywanie różnego rodzaju połączeń między wykładowcą i podchorążymi. Sala telegraficzna obejmowała trzydzieści stanowisk z aparatami telegraficznymi Morse'a. Dziesięć różnych odbiorników radiowych umieszczonych w jednej z sal umożliwiała odbiór słabych sygnałów z eteru, a na domiar zakłócanych. Do wyposażenia cyklu należała również radiostacja średniej mocy RSBF, RAF KW-5 lub SCR (amerykańska). Na radiostacji pełnili dyżur podchorążowie trzeciego rocznika, utrzymując łączność z Szefostwem Wojsk Łączności.

Moja praca polegała na utrzymaniu tego całego sprzętu w technicznej sprawności. Do pomocy przydzielono mi jednego żołnierza służby czynnej. Pracy było dużo: uszkodzenia słuchawek, kluczy, odbiorników, aparatów telegraficznych wymagały ciągłych napraw. Poważnych kłopotów przysparzała radiostacja, która często się uszkadzała, a najczęściej brak łączności wynikał z tego, że podchorążowie z braku doświadczenia w praktycznej obsłudze nie potrafili dokonać wymaganych czynności strojenia. Niekiedy drobne uchybienie było przyczyną zaniku łączności.

Praca na zajmowanym stanowisku dała mi bardzo dużo. Doskonaliłem swoje umiejętności w zakresie znajomości sprzętu i jego naprawy, podnosiłem kwalifikacje w odbiorze i nadawaniu alfabetem Morse'a, zastępując w wykładach wykładowców chorych lub będących na urloпах. Poznałem również podstawy prostej księgowości, prowadząc książki materiałowe. W 1948 r. otrzymałem propozycję zmiany pracy i przejścia na wykładowcę elektro i radiotechniki w cyklu radiotechniki. Oczywiście wyraziłem zgodę.

W 1948 r. zaprosił mnie na swój ślub mój brat cioteczny Tadeusz Basoń, gdzie miałem pełnić rolę starszego drużby. Starszą druhną była kuzynka panny młodej Marianna Trela z Korczyna, która po dwóch latach została moją żoną.

Wykładowca elektro i radiotechniki i prac warsztatowych w cyklu radiotechniki. W cyklu nastąpiło szereg zmian. Odszedł kierownik cyklu Żerebcow, a jego miejsce zajął Korszunow. Odeszło również paru wykładowców. Ich stanowiska zostały

obsadzone przez Stanisława Sadowskiego, Jana Domagalika, Stanisława Zaskurskiego, Antończyka, Daszewskiego i Z. Szweja. Przydzielono mi pluton podchorążych, z który prowadziłem zajęcia z elektrotechniki. Do każdego zajęcia trzeba było przygotować potrzebne pomoce naukowe (eksponaty) oraz napisać konspekt i zatwierdzić go. Zatwierdzał konspekt starszy wykładowca. Z zatwierdzaniem było nieraz wiele kłopotów. Zwykle nie nadążało się z pisaniem i nieraz konspekt kończyłem o godzinie dwudziestej i niosłem go do zatwierdzenia do st. wykładowcy Śmietanki, który mieszkał w tym samym bloku. Śmietanko wyżywał się przy tym, gdy była mowa w konspekcie na przykład o narzędziach używanych podczas naprawy sprzętu, to polecał w konspekcie rysować obrazki tych narzędzi, jak: kombinerki, pincety, lutownice itp., mimo że starałem się go przekonać, iż przecież te narzędzia będą pokazywał. Innym razem przedłużał zatwierdzanie, opowiadając różne historie swego życiorysu, częstując jednocześnie gruzińską herbatą. Przed dziesiątą nie udawało się wyrwać od niego. Znalazłem jednak sposób na skrócenie tego procederu. Przybywałem o wpół do dziesiątej, on się wcale nie obrażał i o dziesiątej konspekt był zatwierdzony.

Raz na tydzień w poniedziałki odbywały się zajęcia metodyczne. Polegało to na tym, że jeden z wykładowców otrzymywał zadanie przygotowania zajęcia na jeden z trudniejszych tematów i zajęcia takie przeprowadzał w obecności szefa i wszystkich wykładowców cyklu. Po wykładzie wykładowcy wypowiadali swoje uwagi, potem szef cyklu Korszunow wypowiadał nieśmiertelną formułkę: „a czto wy Śmietanko na eto”, Śmietanko wypowiadał się zawsze bardzo rzeczowo, a na końcu Korszunow stwierdzał, że Śmietanko miał rację. Takie zajęcia dawały wielką korzyść szczególnie młodemu wykładowcom.

Oprócz prowadzonych zajęć wymagano od oficerów ciągłego dokształcania się z takich przedmiotów, jak: taktyka, służba łączności, musztra, sport, strzelanie, obrona chemiczna itp., itd. Ze wszystkich przedmiotów trzeba było zdawać egzaminy. Oryginalnym egzaminatorem był saper mjr R. Pytanie, jakie zadał jednemu z egzaminowanych: „ile waży kilogram gwoździ”,

przeszło do historii szkoły. Był człowiekiem wybitnie ograniczonym, co kłóciło się z tym, że był oficerem przedwojennym.

Matura. Ja, mając ukończone „na tajnych kompletach” cztery klasy gimnazjum i zdaną tzw. małą maturę, starałem się ukończyć szkołę średnią. W tym celu zapisałem się do wieczorowej szkoły zorganizowanej na terenie Sieradza. Wykłady prowadzili profesorowie z liceum, ale nie tylko. Matematykę prowadził pan Kolis – dyrektor gorzelni, ale jak prowadził? Podobnych wykładowców niewielu spotkałem w swoim życiu. Mogę powiedzieć, że to on pokazał, jak należy uczyć takich przedmiotów, jak matematyka czy fizyka. To on zaszczerpił we mnie bakcyła zamiłowania do przedmiotów ścisłych. Pan Starowicz, ojciec znanego seksuologa, uczył języka polskiego. Był bardzo poczciwym człowiekiem, ale nienadzwyczajnym nauczycielem. Egzamin maturalny odbył się w jednej ze szkół średnich w Łodzi. Po zdaniu matury zapisałem się do technikum elektrycznego w Łodzi, dokąd dojeżdżałem przez dwa lata w każdą sobotę i niedzielę. Naukę miałem o tyle ułatwioną, że zaliczono mi kilka przedmiotów na podstawie świadectwa maturalnego. Na egzamin końcowy należało mi się dwa tygodnie urlopu. Nie otrzymałem go jednak, bo sprzeciwił się temu komendant Maksymkin, pamiętając mi, że nie zsiadłem z roweru, aby mu oddać honor, bo regulamin tego nie przewidywał.

W następnym roku prowadziłem już zajęcia z radiotechniki i prac warsztatowych. W wolnym czasie między zajęciami wykonywało się schematy różnych urządzeń, eksponaty pozwalające demonstrować złożone procesy fizyczne. W porze popołudniowej jeden z wykładowców miał dyżur i w tym czasie udzielał konsultacji potrzebującym pomocy podchorążym.

Gdy komendantem szkoły został płk Ratuszniak, rozpoczęto prace projektowe, a następnie montażowe armijnego węzła łączności. W skład takiego węzła wchodziły: centrala telefoniczna, przełączalnia kablowa, aparatownia telegraficzna i radiobiuro (radiowe centrum nadawczo-odbiorcze RCNO). Prócz tego na użytek szkoły montowano we własnym zakresie stunumerową

centralę automatyczną. Wszystkie prace wykonywały utworzone w tym celu zespoły. Ja zostałem przydzielony do zespołu zajmującego się montażem radiobiura (RCNO). Kierownikiem tego zespołu był płk Isajew, bardzo inteligentny i kulturalny oficer rosyjski. W krótkim czasie nauczył się języka polskiego i wyłącznie nim się posługiwał. Stanowił całkowitą odwrotność pułkownika Korszunowa, który nie potrafił i wcale nawet nie usiłował prowadzić rozmowy w języku polskim. W zespole Isajewa pracował Kiczko, Garbacki i ja. Raz w tygodniu komendant szkoły Ratuszniak wraz z komendantem poligonu kpt. Kołodziejem, zastępcą ds. technicznych ppłk Osipowem i kwatermistrem kpt. Pivcewiczem dokonywali przeglądu postępu prac związanych z budową węzła, wypytywali o trudności, jakie występują na przykład niedostatek materiałów, jego zastępcy notowali to w zeszytach służbowych i w krótkim czasie materiały zjawiały się u wykonawców. Płk Ratuszniak był świetnym organizatorem i gospodarzem, a jednocześnie stwarzał wyśmienitą atmosferę do pracy. Po kilku miesiącach pracy radiobiuro było ukończone. Co to było to RCNO? Otóż na samochodzie ciężarowym było zamontowanych 8 odbiorników radiowych o szerokim zakresie częstotliwości i 8 kluczy telegraficznych. RCNO było ustawiane na węzle łączności, radiotelegrafisci odbierali radiogramy przy pomocy odbiorników i nadawali za pomocą kluczy telegraficznych. Klucze telegraficzne miały połączenie z nadajnikami średniej lub dużej mocy, które były rozmieszczone od jednego do dwóch kilometrów od węzła. Radiotelegrafisci prowadzili korespondencję nadając z RCNO i odbierając odpowiedź przez umieszczone tam odbiorniki. Taki system chronił węzeł przed atakami nieprzyjaciela, bo jeśli nawet wykrył miejsce stania radiostacji, to nie był w stanie określić rejonu stanowiska dowodzenia i rozlokowania węzła łączności.

Zawody łączności. W 1949 r. odbyły się w okolicach Zgierza ogólnopolskie zawody łączności w rozwijaniu węzłów łączności. Szkoła wydelegowała sformowaną w tym celu kompanię, a ja zostałem mianowany na okres zawodów jej dowódcą. Dowodzenie kompanią powierzono mi z tej racji, że RCNO odgrywało w tych zawodach główną rolę, a ja, biorąc udział w jego budowie, znałem zasadę pracy. Zostałem więc niejako do niego przypisany i to nie

tylko na ten jeden raz. Dowodzenie nie pasjonowało mnie nigdy: zawsze starałem się być jak najbliżej techniki. Na szczęście przydzielono mi na szefa kompanii sierżanta podchorążego Glabkę, który chyba od urodzenia posiadał żyłkę dowódczą i to on w ciągu dwóch tygodni zawodów załatwiał wszystkie sprawy organizacyjne i dyscyplinarne, a ja mogłem się zająć sprawami technicznymi. Szkoła zajęła w zawodach pierwsze miejsce, ja zostałem wyróżniony, a na zakończenie odbyła się defilada wojskowa, którą odbierali gen. Stefan Mossor (skazany w 1951 r. na karę dożywotniego więzienia oraz zwolniony z więzienia i zrehabilitowany w 1956 roku) i szef wojsk łączności gen. Cępa.

Szkoła na ćwiczeniach. W następnym roku Szefostwo Wojsk Łączności zorganizowało ciekawe ćwiczenia w okolicach Drawska Pomorskiego. Zaplanowano rozmieścić tam węzeł armijny. Węzeł miał rozwinąć pułk łączności, który miał dopiero powstać z pododdziałów wytypowanych z różnych jednostek łączności. Dowódcą pułku został mjr Mościcki, szefem łączności płk Piatnicki, zastępcą ds. radiowych kpt. Pasternak. Do Wałcza zaczęły przybywać transporty: kompania podchorążych z Sieradza, kompania z Warszawy, kompania z Kielc, pluton z ... W ten sposób zgromadzono cały pułk łączności wraz z niezbędnym sprzętem. Ze szkoły wyruszyła kompania i radiobiuro, no i oczywiście ja znów zostałem dowódcą kompanii. Po raz pierwszy ładowaliśmy sprzęt na transport kolejowy. Ładowanie trwało prawie cały dzień. ZIS-y psuły się co chwilę, kierowcy nie potrafili wprowadzić samochodów na kolejowe wagony. Prawie wszystkie samochody wprowadził podchorąży Jerzy Grześkowiak, który był wytrawnym kierowcą z cywila. Po rozładunku transportu w Drawsku i zameldowaniu dowódcy, zostały nam przydzielone zadania: ja ze względu na radiobiuro zostałem wyznaczony na szefa węzła radiowego armii i odtąd moim szefem został kpt. Pasternak. Współpraca układała nam się bardzo dobrze. Przebywałem często w pomieszczeniu, w którym pracował i nie mogłem się nadziwić, jak sprawnie rysował różne schematy sieci radiowych, posługując się obydwoma rękami. Ciągłe był niewyspany, bo płk Piatnicki miał w tym pomieszczeniu swoje łóżko i budząc się w nocy, robił straszny raban, gdy Pasternaka nie

widział przy pracy. Ćwiczenia trwały około dwóch tygodni, pogoda była wyśmienita, w jeziorach mnóstwo ryb i nie bardzo chciało się wracać do Sieradza. Na tych ćwiczeniach po raz pierwszy spotkałem się z aparaturą telegraficzną BODO. Pisanie trzeba było dostosować do taktów, jakie wybijało specjalne urządzenie taktowe. Była to dość skomplikowana maszyna.

Pod koniec 1949 r. ministrem obrony narodowej mianowano marszałka Rokossowskiego. Zostało to odebrane przez wojskowych, niezależnie od stopnia wojskowego, bardzo źle. Nastąpiła również wymiana oficerów wyższego szczebla na oficerów radzieckich.

Obóz letni. W 1949 r. cała szkoła wyjechała na obóz do Sulęcina. W okolicznych lasach okalających Sulęcina pobudowali Niemcy na krótko przed wojną całą masę budynków koszarowych, w których zakwaterowali pierwsze rzuty wojsk przewidzianych do uderzenia na Polskę we wrześniu 1939 r. I w tych koszarach zakwaterowano szkołę. Zajęcia odbywały się przeważnie w terenie, ale niektóre w salach wykładowych zorganizowanych doraźnie. W tym rejonie była zgrupowana większa ilość jednostek wojskowych. W niedzielę urządzano różnego rodzaju imprezy rozrywkowe, takie jak: zawody sportowe z różnych dziedzin sportu, wyświetlanie filmów na wolnym powietrzu, wyjazdy na zwiedzanie umocnień Wału Pomorskiego i miejscowości staczanych przez WP bitew np. Podgaje, gdzie w 1945 r. żołnierze Wehrmachtu spalili żywcem w stodole 37 żołnierzy polskich wziętych do niewoli. Obozowe życie przypadło niektórym do gustu. Zdarzały się również takie przypadki. Kwatermistrz kpt. Piwcewicz, wracając z obiadu, napotyka po drodze żmiję. Ni stąd, ni zowąd, zachciało mu się z nią zabawić, a ponieważ palił w tym czasie papierosa, postanowił zbadać reakcję żmii na dym. Nie trzeba było długo czekać, gdy żmija wyczuła zbliżający się papieros, capnęła palacza za palec i wstrzyknęła tyle jadu, że trzeba było natychmiast wyekspediować kwatermistrza do szpitala.

W 1949 r. odszedł komendant płk Ratuszniak, a na jego stanowisko przychodzili kolejno, jedynie na roczny okres, płk Janiszewski, płk Klusik, a w końcu na dłużej płk Maksymkin. Wkrótce dyrektorem nauk został ppłk Michał Afanasjew.

Afera Szwej i Domagalik. W pierwszych miesiącach 1949 r. ustaliliśmy z narzeczoną datę naszego ślubu na 15 sierpnia, a ponieważ miał to być ślub kościelny, musiały być ogłoszone, w trzy kolejne niedziele w Zagości i w Sieradzu, zapowiedzi. Wydziały polityczne niemiłym okiem patrzyły na udział oficerów i ich rodzin w różnego rodzaju obrzędach religijnych. Oczywiście o zapowiedziach moich i mojego kolegi Jana Domagalika usłudni donieśli do wydziału politycznego szkoły. I oto na miesięcznej odprawie oficerów szkoły, na obozie w Sulęcinie, zastępca komendanta mjr Wojtala podaje do wiadomości ogólnej, że oto zaistniała godna potępienia: „Afera Szwej i Domagalik”, po czym objaśnia, na czym afera polega i oczywiście potępia w bardzo prostactkich słowach takie postępowanie. Do dzisiaj mam żal do niego nie za to, że sprawę poruszył, ale za grubiaństwo, jakiego się przy tym dopuścił. Na tym się sprawa niestety nie zakończyła. Gdy poprosiłem o urlop na własny ślub, otrzymałem odpowiedź odmowną, motywowaną tym, że odbywa się właśnie kontrola szkoły przeprowadzana przez szefa Wojsk Łączności gen. Malinowskiego, który rzekomo nie zezwala na udzielanie urlopu. Postawiony w takiej sytuacji byłem zmuszony zaczepić w przejściu generała przechodzącego wraz z komendantem i przedstawić mu swoją sprawę. Generał nie tylko wyraził zgodę na urlop, ale złożył mi z tej okazji serdeczne życzenia ku wielkiemu niezadowoleniu komendanta. Oczywiście, że ten mój postępek skutkował w późniejszym okresie pomijaniem w awansie, przydziale mieszkania i kilku innych sprawach, ale zawsze tak bywało, że sprzeciw przełożonym kończył się na ogół niezbyt fortunnie.

Doksztalcanie. W latach 1947–1957 garnizon Sieradz (OSŁ) organizował doksztalcanie oficerów, podoficerów oraz rodzin wojskowych w zakresie szkoły średniej. Do szkoły oficerskiej przyjmowano kandydatów początkowo z ukończoną szkołą podstawową, a w kolejnych latach podwyższano wymagania. Gdy okres szkolenia podchorążych zwiększono do trzech lat, utworzono w szkole cykl przedmiotów ogólnokształcących, którego kierownikiem został mjr Zbrożek, oficer bardzo zdyscyplinowany i niesamowicie pracowity. W ciągu trzech lat podchorążowie

dokształcali się w zakresie takich przedmiotów, jak język polski, historia, biologia, matematyka i zdawali w końcu egzamin maturalny. Zajęcia prowadzili profesorowie z sieradzkiego liceum. Zdarzało się niekiedy, że w zastępstwie nieobecnego nauczyciela prowadziłem zajęcia z matematyki. Poznałem wtedy znanego z przed wojny pedagoga Wiśniewskiego, wykładającego matematykę. Przebywał przed wojną za granicą i dzielił się nieraz wyniesionymi stamtąd doświadczeniami. Matematyka i fizyka były dla niego w życiu najważniejsze. Były modne w tym czasie w polityce pojęcia: reakcja, zapluty karzeł reakcji itp. On stosując prawa fizyki stwierdzał kategorycznie: „gdyby nie było akcji, nie byłoby i reakcji”. Mjr Zbrożek wkładał ogromną ilość pracy w zapewnieniu wysokiego poziomu nauczania. Pewnego razu trzeba było sporządzić sprawozdanie, które mógł wykonać jedynie Zbrożek, ale on jest na urlopie. Szukają więc w sztabie adresu jego pobytu, dzwonią do mieszkania, wymyślają wszystkie możliwe miejsca, gdzie mógłby przebywać, aż w końcu ktoś wpada na pomysł, aby zadzwonić do jego miejsca pracy i okazuje się, że on mając urlop, przychodził codziennie do pracy. Przykład zdyscyplinowania. Komendant szkoły Janiszewski jadąc samochodem do domu po pracy, zabierał zawsze któregoś z oficerów wracającego do domu pieszo. Wyjeżdżając kiedyś z koszar widzi wychodzącego do domu Zbrożka, otwiera drzwi i woła: „siadajcie Zbrożek”. Zbrożek wsiadł, w mieście, przed blokiem oficerskim wysiadł z samochodu i pieszo powędrował najprzód z powrotem do koszar, a potem do Dzierlina, gdzie mieszkał, a był to kierunek przeciwny do kierunku, w którym został wywieziony. Nie wypadło jednak sprzeciwić się poleceniu komendanta.

Wieczorowe liceum dla dorosłych zorganizowane początkowo na terenie koszar, a potem w szkole podstawowej w mieście działało w okresie około dziesięciu lat. Początkowo dokształcano tylko wojskowych, potem również rodziny, a następnie przyjmowano wszystkich chętnych niezależnie od tego, gdzie pracował. Wiele pracy w organizację liceum poświęcił kpt. Lauferswajler, który w początkowym okresie był dyrektorem szkoły i równocześnie wykładowcą geografii. W późniejszym czasie funkcję dyrektorów

pełnili dyrektorzy dziennego liceum ogólnokształcącego, a nauczycielami byli nauczyciele liceum: Starowicz – język polski, Kodiaszewska - geografia, Michalski – chemia. Zajęcia z matematyki prowadzili oficerowie: por. Bączyk i kpt. Szwej. Ucząc matematyki przez kilka lat, poznałem wielu ludzi z Sieradza i okolic; już niewielu z nich żyje i tych spotykam niekiedy. Por. Bączyk był bardzo zdolnym oficerem. Pochodził z okolic Poznania. Podczas wojny nie mógł się uczyć, bo dla Polaków szkoły były niedostępne, ukończył więc tylko cztery klasy szkoły podstawowej i po wojnie zapisał się od razu do pierwszej klasy gimnazjum, przeskakując trzy klasy. Po pół roku nauki, osiągnął takie wyniki, że przeniesiono go do drugiej klasy, wstąpił do wojska i ukończył WAT. Był świetnym nauczycielem matematyki i fizyki. Jednocześnie był dobrym kompanem w towarzystwie. Pewnego razu idąc ulicą z kolegami natknął się na patrol milicji, który wyraźnie szukał zaczepki. Doszło do rękoczynów. Bączykowi spadła czapka wojskowa. Milicjant podniósł zdobyte trofeum. Na drugi dzień milicjant melduje dumnie komendantowi milicji kapitanowi C., że oto dwóch oficerów zaczepiło ich, ale patrol wyszedł z tego zwycięsko i oto teraz przynoszą zdobycz (czapkę) jednego z nich o nazwisku Bączyk. Biedny milicjant już widział co najmniej pochwałę za dzielną postawę, a biedak nie wiedział, że żonę komendanta uczy na kursach wieczorowych por. Bączyk. Zdziwił się więc bardzo, otrzymując rozkaz udania się do porucznika, oddania czapki i przeproszenia za zajście.

Bywały i takie przypadki, że ludzie po studiach uczęszczali na kursy maturalne, co wydaje się dzisiaj wręcz niemożliwe. A działało się to tak. Na studia w ZSSR przyjmowano bez matury. Kończący studia otrzymywał dyplom ukończenia wyższych studiów, który w powojennej Polsce był początkowo uznawany. W połowie lat pięćdziesiątych przeprowadzono nostryfikację dyplomów zagranicznych i żądano przy tym świadectw maturalnych. Przydarzyło się to i jednemu z oficerów sztabu.. Podczas egzaminów maturalnych zasiadałem w komisji egzaminacyjnej i do komisji dołączył płk X. Podczas przerwy w egzaminach opowiadał, w jaki sposób on zdawał egzaminy maturalne. Jakże zdziwienie wywołał

wśród nauczycieli, gdy po dwóch latach sam znalazł się na ławie szkolnej, przygotowując się do matury, której, jak się okazało, nie miał. Na jego nieszczęście nauczyciele pamiętali jeszcze jego opowieści sprzed dwóch lat.

Podział szkoły. W 1950 r. dokonano podziału Oficerskiej Szkoły Łączności na Oficerską Szkołę Łączności Przewodowej w Sieradzu i Oficerską Szkołę Łączności Radiowej w Zegrzu. W związku z tym do Zegrza zostało skierowanych szereg wykładowców, jak i znaczna ilość sprzętu oraz pomocy naukowych. Z cyklu radio skierowano do Zegrza ppłk Korszunowa, mjr Gosławskiego, kpt. Kiczkę, mjr Śmietankę i kpt. Garbackiego. Odszedł również mój kolega Jan Domagalik do organizowanej w Jeleniej Górze Szkoły Radiolokacji.

Szefem cyklu radiowego został mianowany kpt. Stanisław Zaskurski, a starszym wykładowcą elektrotechniki Zygmunt Czerwiński i starszym wykładowcą radiotechniki Zygmunt Szwej (1950 – 1955).

Szefa cyklu teletechniki Mireckiego zastąpił Jan Tomaszewski. Zmiany następowały bardzo szybko. Oficerowie odchodzili do tworzonych nowych jednostek, niektórzy do rezerwy. Również w szkole nastąpiły znaczne przetasowania.

Po zmianie dowództwa szkoły zaczęto wywierać nacisk, aby na każdym kroku pokazywać wyższość nauki i techniki radzieckiej. Było to wręcz niemożliwe, bo przecież posługiwaliśmy się często sprzętem amerykańskim, takim jak radiostacje SCR, odbiorniki V 100 czy samochody Studebaker, które były niezawodne w odróżnieniu od znanego ZIS 5, którym jeden jedzie, a pięciu pcha. Żądano również, aby pokazywać, że wszystko cokolwiek wynaleziono na świecie, zrobili Rosjanie. I tak radio wynalazł nie Markoni, a Popow, łuk Volty – Pietrow. Żartowano, że nawet prawo Pitagorasa odkrył niejaki Pietia Goras. Gdy pewnego razu miałem dyżur w cyklu, przybyli na obchód dyrektor nauk Afanasjew i zastępca ds. technicznych Osipow. Towarzysząc im przy przeglądzie sal natrafili na schemat łuku, oczywiście Pietrowa. Afanasjew pyta, co to takiego jest? Ja odpowiadam – łuk Pietrowa. A on. Czto? Kak? A Osipow odpowiada: No znajetie: Voltowaja duga, co znaczy

łuk Volty. Na drugi dzień, gdy opowiedziałem o całym zdarzeniu, był ubaw co nie miara. W tym czasie do cyklu przydzielono nowych wykładowców, a byli nimi: Buko, Józefik i Gruszka - absolwenci WAT.

W 1952 lub w 1953r. odbyły się również poważne ćwiczenia w eksploatacji linii tyczkowej z zastosowaniem telefonii wielokrotnej ME-8. Została zbudowana linia tyczkowa z okolic Warszawy aż do Wałcza. Linię budował batalion kablowy mjr Janiszewskiego oraz pododdziały szkoły, a eksploatacją linii zajęła się OSŁP z Sieradza. Na linii ustawiono stacje wzmacniakowe i końcowe ME-8, a kanały wykorzystywano dla zapewnienia łączności telefonicznej i telegraficznej. Linie tyczkowe były bardzo kapryśne. Na tyczkach długich około trzech metrów były podwieszane dwa gołe (nieizolowane) przewody miedziane. Jeśli padał deszcz lub pojawiała się poranna rosa, a przewody dotykały gałązek drzew, to występowała upływność między przewodami i urządzenia wzmacniające (wzmacniaki) wprost wariowały, uruchamiając silniczki regulujące wzmocnienie. Tyczki wbite w ziemię i mocowane różnymi odciągami przewracały się często. Bywało, że na łęgach krowy atakowane przez gzy, ocierając się o tyczki, wywracały je. Było kilka przypadków kradzieży linii: to Cyganie wycięli dwa kilometry linii, to znów chłop zabrał kilkanaście metrów linii, bo drut potrzebny był do sporządzenia specjalnego wiązania dla psa. Nie należy się dziwić, że tego rodzaju przypadki się zdarzały, bo wkrótce po wojnie braki materiałowe były tak duże, że nie można było przepuścić okazji zaopatrzenia się w drut, który mógł się przydać do różnych celów w domowym gospodarstwie. Łączność w tych warunkach była bardzo niepewna i wymagała wiele wysiłku, by zapewnić jej ciągłość. Przejeżdżając wzdłuż trasy linii, napotykałem na wiele różnych przypadków, których nie sposób wprost opisać. W okolicach Warszawy napotykałem wioski tak biedne i zacofane, jakich dotąd nie zdarzyło mi się spotkać, mimo, że sam pochodziłem z biednej wioski z kieleckiego.

Po powrocie do szkoły życie toczyło się utartym trybem. W 1952 r. zakończono budowę nowego bloku szkolnego. W bloku

znalazło miejsce około pięćdziesięciu sal wykładowych. Szkolenie odbywało się teraz w zupełnie innych, o wiele lepszych warunkach. Sale cyklu TT zostały połączone między sobą setkami kilometrów kabli połączeniowych; w salach ustawiono aparatownie ME-8, TFC, centrale telefoniczne, przełączalnie, aparaty telefoniczne i telegraficzne oraz wiele innych urządzeń, umożliwiających zorganizowanie w warunkach stacjonarnych całego węzła łączności. W salach radiowych ustawiono również radiostacje, które w razie potrzeby mogły również być włączone w pracujący system łączności. Możliwości te były wykorzystywane szereg razy dla przeprowadzania ćwiczeń szkieletowych sztabów różnych szczebli organizowanych przez Szefostwo Wojsk Łączności.

W ciągu całego okresu istnienia szkoły w Sieradzu odbywały się również kursy przeszkoleniowe kadry zawodowej ze wszystkich jednostek łączności na kursach KDOŁ (Kurs Doskonalenia Oficerów Łączności). Podczas kilkumiesięcznego kursu zapoznawano oficerów z nowym sprzętem łączności wchodzącym na uzbrojenie wojska. Prowadziłem na tych kursach zajęcia ze znajomości sprzętu radiowego. Na każdym kursie pojawiał się zawsze oficer czeski, zazwyczaj w stopniu kapitana. Pozostał mi do dziś w pamięci Czech kpt. Kaleta, postawny, bardzo miły i wesoły człowiek, który był znany nie tylko w szkole, ale również w Sieradzu na różnego rodzaju imprezach, na których zawsze był mile widziany.

OŚRODEK PRZESZKOLENIA OFICERÓW ŁĄCZNOŚCI

Pod koniec 1955 r. zaczęły krążyć pogłoski, że OSŁP zostanie rozwiązana, a w koszarach będzie zorganizowana oficerska szkoła milicji. Po pewnym czasie pogłoski się spełniły i nastąpiła likwidacja szkoły. W międzyczasie trwały na wyższych szczeblach dowodzenia targi, aby koszarę w Sieradzu pozostawić w dyspozycji Szefostwa Wojsk Łączności. Decyzja o likwidacji szkoły jednak zapadła. Cały sprzęt i większość kadry oficerskiej miała się znaleźć w Oficerskiej Szkole Łączności Radiowej w Zegrzu. Na dworcu kolejowym pojawił się eszelon, do którego ładowano sprzęt. W bloku wyszkolenia rozmontowano sale wykładowe do tego stopnia,

że wycięto z kanałów pod podłogami ogromne ilości igielitowych przewodów, uznając, że będą niepotrzebne nowym użytkownikom, a mogą się przydać w Zegrzu. Gdy załadowany sprzętem i ludźmi pociąg był gotowy do odjazdu, przyszła niespodziewanie decyzja odwołująca przeprowadzkę. Zapanowała wielka radość wśród kadry, pociąg rozładowano i sprzęt przetransportowano na dawne miejsce. Szkołę rozwiązano, a na jej miejsce utworzono Ośrodek Przeszkolenia Oficerów Łączności (OPOŁ). Przywracanie pierwotnego stanu bazy wyszkoleniowej trwało wiele tygodni. Nastąpiły również poważne zmiany w obsadzie kadrowej. Część oficerów odeszła do Zegrza, część do jednostek. Kpt. Zaskurski odszedł do Zegrza, a na szefa cyklu radiowego przybył z Zegrza mjr Błoński. Ja w dalszym ciągu pełniłem funkcję starszego wykładowcy sprzętu radiowego. Komendantem OPOŁ został płk Krynicki. Ośrodek zajmował się przeszkoleniem oficerów łączności ze wszystkich jednostek łączności. Szkolenie obejmowało w znacznej mierze zapoznanie z nowymi rodzajami sprzętu, jakie wchodziły na uzbrojenie wojska. Na przeszkolenie byli powoływani również oficerowie rezerwy. Powoływano na przeszkolenie techników pracujących w cywilnych placówkach łączności. Przez cały rok prowadziłem zajęcia po osiem godzin dziennie. Takiego nawału pracy nie zaznałem ani wcześniej, ani w późniejszym okresie służby wojskowej. W tym samym czasie przekwaterowano z Zegrza do koszar w Sieradzu kompanię radioliniową. Po roku Ośrodek Przeszkolenia Oficerów Łączności zakończył swoją działalność w Sieradzu. Kadra oficerska została rozproszona po wszystkich jednostkach łączności w kraju. Kilkunastu oficerów znalazło zatrudnienie w Szefostwie Wojsk Łączności. Ja postanowiłem studiować i poprosiłem o skierowanie mnie do Wojskowej Akademii Technicznej

STUDIA W WOJSKOWEJ AKADEMII TECHNICZNEJ (1957–1961)

Egzaminy. Aby być przyjętym na studia w WAT, trzeba było zdać egzaminy z: matematyki, fizyki, chemii i przejść rozmowę

kwalifikującą do rozpoczęcia studiów. Kandydaci na studia zgłaszali się rok wcześniej i przez cały rok byli przygotowywani do egzaminów na tzw. kursie przygotowawczym. Ja natomiast musiałem zdać egzaminy z marszu. Ratowało mnie tylko to, że wykładałem przez kilka lat matematykę i fizykę w szkole średniej, a dodatkowo miałem zaliczony rok studiów z matematyki na Uniwersytecie Łódzkim. Egzamin zdałem z wyróżnieniem i rozpocząłem pięcioletnie studia. Zamieszkałem w internacie, a żona z dwojgiem dzieci pozostała w Sieradzu. Co tydzień starałem się przyjeżdżać do domu. Podróże były straszne. Pociągi przepełnione. O miejscu siedzącym można było tylko pomarzyć. Oprócz tego wyjazdy były kosztowne, bo uposażenia były skromne, a musiały wystarczyć na prowadzenie dwóch domów.

Grupa. Wszyscy studiujący na Wydziale Radiolokacji i Łączności podzieleni byli na grupy w zależności od roku studiów. Do naszej grupy należeli: Abramowicz, Biedak, Garbaciński, Gosk, Jackowski, Kazimierzczak, Kosjanik, Lorek, Matraszek, Rożek, Sołtys, Szewczyk, Szwej, Tarchała, Urban, Wiącek, Wiśnicz. Chyba kilka nazwisk zapomniałem.

Studia. Mozolna praca wypełniła pięć pełnych lat studiów. W tym czasie trzeba było zdać egzaminy lub zaliczyć trzydzieści dziewięć przedmiotów. Corocznie odbywało się praktyki w zakładach cywilnych. Moje praktyki miały miejsce w zakładach produkujących sprzęt radowo telewizyjny w Warszawie i w Dzierżonowie, zakładach produkujących lampy radiowe oraz w zakładach mechanicznych. Zajęcia z matematyki prowadzili profesorowie politechniki Pogorzelski i Hempel, z elektrotechniki - Bażykowski i Kotowski, z radiotechniki - Puzewicz i Sacharewicz, z lamp radiowych - Grycan. Nie sposób wymienić wszystkich, którzy męczyli się z nami, a my z nimi, aby jak najwięcej wiedzy przelać do naszych głów. Spotkałem również dawnych znajomych ze szkoły oficerskiej w Sieradzu. Należeli do nich: Kochan, Dera, Kuriański, Kiczko, Piotrowski i Sieradzan. Wszyscy służyli mi pomocą, kiedy znalazłem się w wielkich opałach. Płk Kochan pełnił funkcję zastępcy komendanta Wydziału Łączności i podlegali mu studenci wszystkich pięciu roczników. Zostałem przez niego wyznaczony na

starszego grupy i funkcję tę pełniłem przez całe pięć lat. Z tej przyczyny musiałem wykonywać wiele dodatkowej pracy. Odpowiadałem za obecność całej grupy na zajęciach, za porządek przy przemarszach grupy z jednych zajęć na inne, pisałem opinie na każdego słuchacza i wykonywałem wiele innych czynności związanych z pełnieniem tej funkcji.

W październiku 1956 r. doszło do znanych wydarzeń w kraju. Gomułka wrócił z więzienia, Chruszczow przybył do Warszawy wygrażając Gomułce na lotnisku. W WAT nie było również spokoju. Zawiązał się komitet popierający Gomułkę i zachodzące zmiany. Komendant WAT gen. Owczynnikow i jego zastępca gen. Bednarz starali się nie dopuścić do spotkania słuchaczy WAT z delegacją fabryki samochodów z Żerania, zamykając salę konferencyjną. Groźba użycia czołgu do staranowania wejścia spowodowała jej otwarcie. Uchwalono rezolucję popierającą Gomułkę i domagającą się usunięcia ze stanowiska ministra obrony narodowej Konstantego Rokossowskiego. Rezolucję zawiozła do Gomułki specjalna delegacja. Zaproponowano, aby w jej skład wchodził również komendant Owczynnikow, ale bronił się rozpaczliwie, aby do tego nie doszło.

W październiku 1957 r. zamknięto Tygodnik „Po prostu”. Tygodnik ten był bardzo postępowy i piętnował wszelkie nieprawości występujące na szczeblach władzy i proponował zmiany w systemie rządzenia. Tygodnik był czytany szczególnie w kręgach studenckich. W Warszawie doszło do zaburzeń wśród studentów. Ja byłem również gorliwym czytelnikiem tego pisma i nie mogłem się pogodzić z tym faktem. Wraz z kolegą Jerzym Urbanem (niemającym nic wspólnego z Urbanem od „Nie”) zaprotestowaliśmy w ten sposób, że oddaliśmy legitymacje partyjne. Płk Serba, zastępca komendanta Wydziału Łączności wystąpił o skreślenie nas z rejestru studentów. W naszej obronie wystąpił płk Kochan, płk Dera oraz płk Sieradzan. Ich działania były na tyle przekonujące, że komendant wydziału płk Dulewicz nie wyraził zgody na nasze wydalenie. Jeszcze kilkakrotnie płk Serba starał się uprzykrzyć nam życie, ale mimo tego udało nam się ukończyć studia. 4. 10.1961 r. otrzymałem dyplom ukończenia studiów i tytuł

magistra inżyniera łączności w specjalności radiotechnika. Otrzymałem propozycję wykładowcy w OSŁ w Zegrzu, ale działania płk Serby okazały się tym razem skuteczne (okres odwilży minął).

RADIOLINIE

I znów w Sieradzu. Minęło pięć lat pobytu na studiach i oto dostałem przydział do batalionu radiolinii w Sieradzu. Ucieszyłem się z takiego obrotu sprawy, bo po pięciu latach rozłąki z rodziną znowu jesteśmy razem. Zanim powstał batalion radioliniowy kompania radiolinii była wyposażona w stacje radioliniowe produkcji niemieckiej RVG. Stacje musiały współpracować z urządzeniami zwielokrotniającymi ME-8. Posiadały 30 metrowe maszty teleskopowe, rozwijane za pomocą stalowych linek i bloczków mieszczących się wewnątrz rur teleskopowych. Zdarzało się dość często, że linki się płątały i anteny nie można było zwinąć lub rozwinąć.

Zwinięta antena wyglądem przypominała lufę armaty, toteż gdy przeszkoleni wojskowo Sieradzanie po raz pierwszy zobaczyli takie lufy na przyczepach, natychmiast uznali, że oto do koszar wprowadził się oddział artylerii. Radiolinie RVG nie zdały egzaminu i to nie tylko ze względu na anteny, ale i uciążliwość w eksploatacji.

Batalion posiadał już znacznie lepszy sprzęt - radiolinie R-400 i R-402. Nowy sprzęt został wdrożony do eksploatacji przez dowódcę batalionu pułkownika Mieńkowskiego. Pułkownik tłumaczył instrukcje, codziennie uruchamiał stację i sam zapoznawał się z zasadą pracy oraz szkolił grupę oficerów, którzy prowadzili szkolenie w kompaniach. W krótkim czasie batalion był na tyle wyszkolony, że mógł brać udział w ćwiczeniach. Płk Mieńkowski stanowił nie częsty przypadek skrzyżowania dowódcy i technika w jednej osobie. Bardzo cenił oficerów dobrze znających sprzęt i pracowników warsztatów, bo od tego zależało w dużej mierze zapewnienie trwałej łączności. Obsługa sprzętu była bardzo skomplikowana, a sprzęt oparty w dużej mierze na lampach

radiowych był zawodny i wymagał fachowej naprawy. Brak łączności wynikał przeważnie z dwóch przyczyn: uszkodzenia sprzętu lub niewłaściwej obsługi, związanej z nie doszkoleniem załóg stacji radioliniowych. Dlatego też szkolenie i warsztaty były oczkiem w głowie dowódcy.

Inżynier batalionu. Po ukończeniu WAT i zameldowaniu się u płk Mieńkowskiego zostałem wyznaczony na stanowisko inżyniera radiolinii batalionu. Na tym stanowisku pozostałem do końca służby wojskowej, ale kolejno w pułku, a następnie w brygadzie. Gdy w pierwszej rozmowie z pułkownikiem Mieńkowskim oznajmiłem mu, że praca dyplomowa w postaci projektu i pracującego modelu dotyczyła techniki impulsowej, bardzo się tym ucieszył, bo w tej dziedzinie nie było specjalistów w jednostce. Na bazie wspólnego zainteresowania techniką nawiązała się między nami bliska więź i do tej pory przy spotkaniach mile wspominamy minione czasy. Otrzymałem też poważne zadanie do wykonania, a mianowicie zaprojektowanie i wykonanie stanowisk warsztatowych do warsztatu naprawy sprzętu radioliniowego.

W przeciągu dwóch miesięcy studiowałem po 12 i więcej godzin dziennie schematy stacji, rozgryzałem zasady pracy poszczególnych zespołów i opanowywałem ich obsługę. Do pomocy otrzymałem trzech żołnierzy służby czynnej, którzy wykonywali zaprojektowane stanowiska warsztatowe. W następnej kolejności zostałem obarczony szkoleniem dowódców stacji w zakresie znajomości sprzętu oraz organizacji systemów łączności. W batalionie pracowało kilku oficerów znanych mi jeszcze z OSŁ: Stanisław Sadowski – szef sztabu, Tadeusz Wypych uczestnik bitwy pod Lenino – zastępca do spraw liniowych, Władysław Ciukaj – pomocnik szefa sztabu, Zbigniew Wilanowski – zastępca do spraw technicznych oraz Jerzy Strauch, Pietkiewicz, Tadeusz Łagunowski. Do młodszej generacji oficerów należeli: Medard Dyl, Zenon Jagóra, Wiesław Zasada, Ryszard Wolny, Marian Malec, Kilias, Kasprzyk, Jan i Antoni Nowakowie.

Ćwiczenia. Wszelka działalność jednostki sprowadzała się do przygotowania ludzi i sprzętu do wykonania zadania, czyli do zapewnienia łączności. Sprawdzianem sprawności były różnego

rodzaju ćwiczenia organizowane dość często. Przed ćwiczeniami dokonywano sprawdzenia sprawności sprzętu, przeprowadzano naprawę uszkodzonego. Na kierunku radioliniowym mogło pracować do 20 stacji radioliniowych oddalonych jedna od drugiej od 20 do 30 km. Można więc było stworzyć system łączności 12 lub 24 kanałowej na odległość do 500 km. Przy projektowaniu trasy należało sporządzać profile terenu między poszczególnymi stacjami. Była to uciążliwa praca na bardzo szczegółowych mapach. Specjalistą w tej dziedzinie był Wiesiu Zasada i Marian Malec. Do moich obowiązków należało sprawdzić profile, szczególnie budzące wątpliwości oraz dokonać podziału fal w taki sposób, aby stacje nie zakłócały się wzajemnie. Przed każdymi ćwiczeniami byłem wzywany do Szefostwa Wojsk Łączności, gdzie opracowywałem przydział fal dla wszystkich jednostek łączności biorących udział w ćwiczeniach. Zagadnienie było na tyle trudne, że fal było tylko 21, a stacji biorących udział w ćwiczeniach – nieraz i 50, zaś każda ze stacji potrzebowała czterech fal. Ćwiczeń było dużo. Jednego roku przebywałem na ćwiczeniach cztery miesiące. Kontrolując stacje radioliniowe przebywałem setki kilometrów i napotykałem wiele różnych przypadków, o czym może jeszcze napiszę.

Na ćwiczenia wyjeżdżało się przeważnie transportami kolejowymi. Załadowanie eszelonu przebiegało tak sprawnie, że nie trwało dłużej jak jedną godzinę. Na większe ćwiczenia wyjeżdżało nieraz pięć transportów.

Pułk. Po przekształceniu pułku w brygadę w 1968 roku odbyły się jesienią 69 r. największe ćwiczenia pod nazwą: „ODRA – NYSA 69”, a następnie „ZACHÓD”. W ćwiczeniach wzięło udział 50 stacji R-400 i około 20 stacji R-401. W ćwiczeniach była również organizowana łączność kablowa realizowana przez pododdziały naszej jednostki. Był to okres, kiedy wyszkolenie załóg osiągnęło najwyższy poziom. Używając radiotelefonów K-1 i stacji R-401 podłączonych do kierunków R-404, zapewniano łączność dla pododdziałów będących w ruchu, co w tym czasie stanowiło ewenement. Ćwiczenia odbywały się na terenie Polski i NRD z udziałem wojsk polskich, czeskich, niemieckich i rosyjskich. W

celach nawiązania łączności z Niemcami trzeba było szukać mówiących po niemiecku, bo Słowianie jakoś sobie dawali radę.

Jednostka brała udział wiele razy w zapewnieniu łączności dla potrzeb cywilnych podczas: powodzi, zawodów sportowych i różnego rodzaju imprez. Jednostka uczestniczyła również w zapewnianiu łączności o znaczeniu międzynarodowym. Planowałem na przykład system łączności i brałem udział w jego realizacji w Warszawie, podczas przyjazdu do Polski prezydenta USA Nixona 31 maja 1972 r.

Zakopane. W 1962 r. odbywały się w Zakopanem Narciarskie Mistrzostwa Świata (FIS). Ponieważ nie było dostatecznej ilości łączy dla korespondentów zagranicznych między Zakopanem a Krakowem, radiolinie z Sieradza zapewniły taką łączność. Zawody odbywały się w pełni okresu zimowego. Wjazd dziewięciu samochodów z 10-tonowym obciążeniem na Gubałówkę przy 1,5 metrowej pokrywie śnieżnej był nie lada wyczynem. Również wjazd kilkudziesięciu takich wozów na inne wzgórza między Krakowem a Zakopanem wywoływał podziw u mieszkańców podgórskich miejscowości. Żołnierze obsługujący stacje byli dumni, że oto przez urządzenia przez nich obsługiwane sprawozdawcy przekazują sprawozdania do Nowego Jorku, Paryża, Rzymu i wielu innych stolic świata. W Krakowie stacja radioliniowa była ustawiona na dziedzińcu Poczty Polskiej, a nadzór nad nią powierzono majorowi Strauchowi.

Na rejonie urzędu była instalowana belgijska radiolinia, która miała zapewnić połączenie między Krakowem a Zakopanem, ale opóźnienia w jej uruchomieniu spowodowało, że nasza jednostka musiała tego dokonać. Nadzór nad instalacją sprawował inżynier, pochodzący z południa Belgii i rozmawiający po francusku. Strauch, znany poliglota, nie omieszkiał skorzystać z okazji i gdy tylko nadarzyła się sposobność, ucinał sobie pogawędki z Belgiem. Oczywiście „oczy i uszy królewskie” czuwały i o wszystkim doniosły oficerowi kontrwywiadu kapitanowi X. Po powrocie do jednostki ów kapitan na odprawie oficerów napiętnował Straucha w niewybrednych słowach, że ten nie powiadomił odpowiednich służb o przebywaniu obcokrajowca na poczcie i mało tego, prowadził z

nim zażarte dysputy i nawet możliwe, że mógł dopuścić się zdrady tajemnic wielkiej wagi. Jeszcze długi czas Jurek był pod ostrzałem kontrwywiadu.

Brygada. W 1966 r. jednostka otrzymała nowe stacje radioliniowe R-404. Praca, jaką wykonał płk Mieńkowski, przypadła teraz mnie w udziale. Musiałem przetłumaczyć kilka instrukcji na język polski, zapoznać się obsługą i przeszkolić grupę oficerów, którzy będą szkolić dowódców stacji i ich pomocników. Prócz tego należało opracować technikę remontu, przeszkolić personel warsztatowy oraz wykonać nowe stanowiska remontowe. Dzielnie w tych pracach wspierali mnie nowi pracownicy cywilni warsztatów radioliniowych: Kazimierz Krakowiak, Zbigniew Niemiec, Andrzej Olczyk, Zbigniew Solarek i kierownik działu warsztatowego chor. Augustyn Bułka. W pracach brali również udział inżynierowie radiolinii w batalionach Marian Malec i Antoni Nowak. Szczególnie ceniałem sobie współpracę z Marianem Malcem. Dla mnie był zawsze wzorem oficera do naśladowania. Syn wdał się chyba w ojca i, idąc w jego ślady, jest już majorem w 15. Sieradzkiej Brygadzie Wsparcia Dowodzenia. Rok należał do bardzo pracowitych. Wiele pracy w utrzymanie w dobrym stanie sprzętu wkładali zastępcy dowódców kompanii do spraw technicznych tacy jak: Kilias, Laszkiewicz, Wolny. Przybywali również nowi oficerowie po ukończeniu WAT, tacy jak Domaradzki i Kaczmarek.

W 1969 roku rozpoczęto produkcję R-404 w Zakładach Radiowych w Gdańsku. Zakład potrzebował konsultanta w wielu sprawach, tym bardziej że nigdy nie zajmował się produkcją podobnego sprzętu, więc zatrudnił mnie na etacie konstruktora. Dojeżdżałem często do zakładu w celu uzgodnienia wielu problemów wynikających podczas produkcji.

Instytut Łączności w Miedzeszynie koło Warszawy brał również udział w usprawnieniach R-404 i z tej racji kilka razy grupa pracowników tego instytutu przebywała w jednostce, dokonując pewnych pomiarów i przeprowadzając potrzebne badania. Oczywiście z racji pełnionej funkcji spełniałem rolę gospodarza i udzielałem wyjaśnień dotyczących przeprowadzanych badań. Współpraca z Instytutem zaowocowała znacznym usprawnieniem

produkowanych na licencji stacji. A współpracę z cywilnymi instytucjami łączności zostałem odznaczony przez ministra łączności.

W 1962 r. dowódca jednostki Stanisław Sadowski oraz zastępca do spraw technicznych Jerzy Strauch przebywali na rocznym przeszkoleniu i funkcję dowódcy przejął Zbigniew Wilanowski, a funkcję zastępcy pełnił Zygmunt Szwej. Był to trudny rok. Jednostka otrzymała zadanie zmontowania na samochodach kilka aparatowni telefonii wielokrotnej. Było to poważne obciążenie, bo oprócz zadań szkoleniowych znaczna część potencjału ludzkiego i technicznego była zaangażowana w procesy produkcyjne.

Na trzy miesiące jednostka wyjechała również w tym czasie na obóz szkoleniowy do Beniaminowa. Główne zadanie tego szkolenia polegało na zakopywaniu kabla PKD na głębokości powyżej 0,5 m, co miało go chronić przed skutkami uderzeń atomowych. Kabel ten był zakopywany za pomocą specjalnych pługów. Zadanie to wykonywał z wielkim poświęceniem Tadeusz Łagunowski.

Jednostka gościła również w tym czasie dwoje kosmonautów radzieckich: Tiereszkową i Bykowskiego. W związku z tą wizytą jednostka gościła wielu przedstawicieli władzy i organizowała różnego rodzaju imprezy.

Dokształcanie. Ćwiczenia łączności wymagały często powiązania systemu wojskowego z systemem cywilnym. Współpraca ta nie zawsze wychodziła bądź to ze względu na niedopasowanie poziomów urządzeń wojskowych i cywilnych, bądź też na trudności porozumienia się obsług współpracujących ze sobą. W związku z zaistniałą sytuacją należało przeszkolić dowódców urządzeń wojskowych w zakresie znajomości cywilnych urządzeń łączności i takie szkolenia przeprowadzano. Ale jednocześnie trzeba było zapoznać cywilnych pracowników łączności ze sprzętem wojskowym. Prócz tego ze sprzętem wojskowym powinni być zapoznani wykładowcy politechnik i techników szkolących pracowników łączności. Corocznie więc powoływano wykładowców szkolących specjalistów łączności oraz inżynierów stacji wzmacniakowych i końcowych urządzeń transmisyjnych. W

każdym roku w takim przeszkoleni brało udział kilka grup rocznie, liczących od 20 do 30 osób. Byli wśród nich wykładowcy politechnik i techników z całej Polski. Nie nudzili się zbytnio, bo poznawali sprzęt nowocześniejszy, niż był stosowany w łączności cywilnej. Dodatkowa korzyść wynikała z tego, że byli to fachowcy w swoim zawodzie i oto nawiązywali kontakt z fachowcami w mundurach. Toczyły się nieraz dyskusje na temat współpracy, w wyniku których wypracowano wiele rozwiązań poprawiających współpracę. Dodatkowa korzyść była i ta, że wielu z kursantów, którzy z lekceważeniem traktowali wojskowych, a szczególnie oficerów („nie matura...”) przekonywało się, że im dorównują zakresem wiedzy, a wielu z nich nawet przewyższają. Jednym słowem obie strony były zadowolone. Niektórzy z pracowników cywilnej łączności nawiązywało bliższe kontakty osobiste z oficerami. Z kilkoma z nich korespondujemy do dzisiaj. Na takich kursach zostało przeszkolonych kilkaset osób.

Również personel warsztatowy był systematycznie doksztalczony w zakresie znajomości sprzętu będącego na wyposażeniu jednostki. Prócz tego mechanicy radiowi: Krakowiak, Niemiec i Solarek, którzy ukończyli szkołę zawodową, dojeżdżali do technikum łączności w Łodzi, uzyskując dyplomy techników. Pan Niemiec ukończył nawet wyższe studia techniczne.

Rozwój bazy technicznej. Sprzęt łączności, jaki był w dyspozycji jednostki nie był tak niezawodny, jak sprzęt używany dzisiaj. Niezawodność jego była nieco większa niż produkowanych wówczas odbiorników radiowych czy telewizyjnych. Oglądając telewizję kilka razy w ciągu wieczoru pojawiał się ptaszek, dziobiący linię telefoniczną, co oznaczało brak sygnału, czyli uszkodzenie nadajnika. A również odbiorniki telewizyjne trzeba było oddawać do remontu kilka razy w roku. Sprzęt wojskowy był skomplikowany i oparty w przeważającej mierze na lampach. Wystarczy powiedzieć, że tylko w jednej stacji radioliniowej R-404 pracowało przeszło 800 lamp radiowych. Sprzęt ulegał częstym uszkodzeniom i wymagał ciągłego remontu. Wcześniej należało jednak sprawdzić sprawność stacji. Sprawdzenie stacji było bardzo uciążliwe, gdyż trzeba było stację rozwinąć, uruchomić kilku

kilowatowe agregaty zasilające, włączyć całą aparaturę do pracy, a następnie sprawdzić sprawność każdego bloku. Sprawdzenie takie trwało nieraz dwa dni i wymagało wiele wysiłku oraz powodowało duże straty w postaci zużytej benzyny. Stan ten był nie do utrzymania. Przekonałem dowódcę płk. Sadowskiego, że trzeba utworzyć w warsztatach dział pomiarów i legalizacji przyrządów pomiarowych. Dział został utworzony. W okręgu przeszkolono w zakresie pomiarów pracowników cywilnych Olczyka i Niemca. Dział wyposażono w nowoczesne przyrządy pomiarowe. We własnym zakresie opracowaliśmy taką technologię sprawdzania sprzętu, że zamiast dwóch dni stacja była sprawdzana w ciągu dwóch godzin i z większą dokładnością niż dotychczas. Dział pomiarowy istnieje do dzisiejszego dnia.

Dużo różnych pomysłów wnosili racjonalizatorzy. Było ich wielu. Wyróżniano ich dyplomami, odznaczeniami, jak również niewielkimi kwotami pieniężnymi.

Szkoła pięciolatek. Pod koniec lat sześćdziesiątych dały o sobie znać negatywne zjawiska polegające na tym, że zwiększała się liczba młodzieży, a szczególnie chłopców, która nie podejmowała dalszej nauki ani pracy. Była to tak zwana „złota młodzież”, pochodząca najczęściej z nieźle sytuowanych rodzin, z którą najczęściej sami rodzice nie mogli sobie radzić. Tą młodzieżą zajęło się wojsko, tworząc popularnie zwane „szkoły pięciolatek”. Reguły były takie, że uczeń tej szkoły odbywał jednocześnie służbę wojskową, otrzymywał świadectwo ukończenia szkoły zawodowej i podpisywał zobowiązanie dalszej służby wojskowej przez pięć lat, otrzymując wynagrodzenie przysługujące na pełnionym stanowisku. W jednostce były szkolone dwie grupy po 30 osób w specjalnościach: mechanik samochodowy i operator (dowódca stacji) stacji telefonicznej. Dyrektorem tej szkoły w ramach pracy społecznej został mjr Stefan Bartuzel, inżynier łączności przewodowej brygady. Zajęcia prowadziły panie: Maria Mróz i Szymczak, Stefan Bartuzel oraz Zygmunt Szwej (to znaczy ja) zajęcia z elektrotechniki. Nie napotykałem trudności ani związanych z dyscypliną, ani z nauką. Była to więc normalna młodzież, która wymagała pewnego rygoru i zdyscyplinowania,

czego nie potrafili wypełnić ich rodzice. Po ukończeniu szkoły część z nich znalazła zatrudnienie w wojsku jako podoficerowie zawodowi, a część w różnych przedsiębiorstwach w mieście, a po ukończeniu dalszych szkół nawet na kierowniczych stanowiskach. Do dziś spotykam wielu z nich i niekiedy wspominamy dawne czasy.

Zarówno szkoła oficerska jak i jednostki radioliniowe wywarły znaczny wpływ na poziom wiedzy w zakresie łączności i to nie tylko w wojsku. Szkoła wyszkoliła około czterech tysięcy oficerów i podoficerów. Ja sam w czasie swojej służby wojskowej przeszkoliłem około 2500 osób. W sumie od 1945 roku w Sieradzu zostało przeszkolonych do dnia dzisiejszego około 30 tysięcy oficerów, podoficerów i żołnierzy służby czynnej w specjalnościach łączności i samochodowej. Znaczna część z nich uzyskał zawód, w którym po zwolnieniu z wojska pracowała.

Współpraca jednostki z instytucjami cywilnymi oraz z miejscową ludnością. Zarówno szkoła oficerska jak i w późniejszym okresie batalion, pułk a następnie brygada radioliniowa współpracowały z różnymi instytucjami użyteczności publicznej, wspierając je w różnoraki sposób. Szkoła zorganizowała z pomocą kadrową liceum wieczorowe kursy gimnazjalne i licealne. Kursy były dostępne dla wszystkich, którzy wykazywali chęć uczenia się. Na tego typu kursach zdobywali wykształcenie średnie ci oficerowie i podoficerowie, którzy z rozmaitych przyczyn nie mogli go zdobyć w trudnym okresie wojennym.

Szkoła „pięciolatek” zorganizowana przez brygadę uchroniła wielu młodych ludzi przed stoczeniem się na samo dno. Zostali dobrze przygotowani do zawodu, otrzymali pracę, a rodziny dziękowały dowódcy za skuteczną pracę nad ich wychowaniem i przygotowaniem do zawodu. W bloku wojskowym Szkoła urządziła pomieszczenia, w których były pracownie dla różnych kółek hobbystycznych, takich jak: radiotechniczne, modelarskie, fotograficzne, motoryzacyjne, muzyczne. W pracach w tych kółkach brały udział nie tylko dzieci wojskowych, ale przychodziły tam również dzieci z miasta. Wykonane modele brały udział w zawodach lub były pokazywane na organizowanych wystawach.

Kpt. Wróblewski prowadził koło modelarskie. Modele samolotów, czołgów, samochodów czy statków wykonane przez jego podopiecznych budziły zachwyt i brały udział w licznych pokazach, zawodach i wystawach. Prace w kołach cieszyły się dużym wzięciem.



Sieradz 1975 r. Uroczyste spotkanie z okazji 30-lecia służby wojskowej. W pierwszym rzędzie od lewej strony stoją: pplk Utecht, plk Stanisław Sadowski, pplk Zygmunt Szwej, mjr Brzęczek.

Podobne koła działały również na terenie miasta. Sam prowadziłem harcerskie koło nasłuchowców radiowych. Brak telewizji i internetu powodował, że młodzież chętnie wyżywała się działając w kołach zainteresowań. Niektórzy tak polubili zajęcia w kółkach, że ukończyli studia o tych kierunkach i kilkoro z nich pracuje jeszcze dzisiaj w ulubionych zawodach.

Pod opieką wojska zawsze było kilka szkół. Opieka ta polegała na tym, że jednostka pomagała szkołom w tych działaniach, których szkoła nie była w stanie wykonać bądź to ze względu na brak siły fachowej, bądź też ze względów finansowych.

Przeprowadzono na przykład radiofonizację liceum, więc dyrektor mógł nadawać komunikaty do wszystkich lub wybranych klas. Zaopatrywano również szkoły w różne pomoce naukowe, takie jak: przyrządy pomiarowe, oscyloskopy itp.

W czasie klęsk żywiołowych jednostka zapewniała zwykle łączność i transport. Wielokrotnie żołnierze, a nawet oficerowie i ich rodziny, brali udział w pracach żniwnych czy wykopkach.

Wraz z toczącymi się sprawami i problemami życia służbowego i osobistego upływały również lata mojej służby zawodowej w wojsku. Nieubłaganie nadszedł rok 1981, w którym pożegnałem wojsko i odszedłem do rezerwy, by na emeryturze poświęcać więcej czasu na realizację moich licznych zainteresowań.

Plk w st. spocz. Zygmunt Szwej

Sieradz, 17.01.2009 r.



Płk Zbigniew Wilanowski

MOJE PIERWSZE KROKI W WOJSKU

W chwili wybuchu drugiej wojny światowej miałem 15 lat. 16 września, po zbombardowaniu węzła kolejowego i miasta, Niemcy wkroczyli do Kutna. W czasie okupacji pracowałem w zakładzie ślusarskim. Dobrze opanowałem ten zawód. Otwieranie skomplikowanych zamków nie sprawiało mi większego kłopotu. Dość dobrze poznałem również język niemiecki.

Skończyła się wojna. Miałem 21 lat. Moje młodzińcze lata minęły i były bezpowrotnie stracone. Wkraczałem w dorosłe życie. Należało podjąć decyzję w sprawie mojej przyszłości. Częściowo pod wpływem kolegów zdecydowałem się na zawodową służbę wojskową. Zgłosiłem się do Wojskowej Komendy Rejonowej w Kutnie i wypełniłem dokumenty w sprawie przyjęcia do szkoły oficerskiej. Razem ze mną zgłosiło się jeszcze kilku kolegów z Kutna.

18 lipca 1945 roku wezwano nas ponownie do WKR. Po uaktualnieniu dokumentów zostaliśmy skierowani do punktu zbiorczego, który znajdował się w byłych koszarach 31. Pułku Strzelców Kaniowskich w Sieradzu. Sala przyjęć ochotników

znajdowała się pod pomieszczeniami kasyna. Było nas razem ośmiu kandydatów do szkoły oficerskiej.

Nazajutrz o godzinie szóstej rano, pod komendą podoficera z WKR, pomaszerowaliśmy na dworzec kolejowy w Sieradzu. Stąd pociągiem towarowym dojechaliśmy do Łodzi. Przesiedliśmy się tam na inny pociąg, również towarowy, jadący w kierunku Warszawy. Wysiedliśmy na Dworcu Zachodnim. Oczom naszym ukazała się Warszawa, a w zasadzie to, co po niej zostało. W koło roztaczały się gruzy. Obraz, który zobaczyliśmy bardziej przypominał świętokrzyskie gołoborze z rozrzuconymi ostańcami w postaci wyżej sterczących, wypalonych budynków, niż przedwojenną stolicę państwa polskiego. Przedzierając się przez to olbrzymie gruzowisko, dotarliśmy do Wisły. Wszystkie mosty były zniszczone. Na wschodni brzeg przepłynęliśmy wojskowym pontonem. Saperzy zorganizowali przeprawę przez Wisłę dla mieszkańców miasta oraz dla osób udających się na wschód lub zachód Polski. Wysiedliśmy z pontonu na Pradze, która w przeciwieństwie do lewobrzeżnej Warszawy była niewiele zniszczona. Tętniło tu życie. Na straganach handlowano, czym się tylko dało. W koło roznosiły się zmieszane zapachy różnorodnych gorących potraw. Rozgorączkowani ludzie załatwiali różne interesy i pędzili gdzieś dalej, jakby chcieli nadrobić minione pięć lat. Dotarliśmy do Dworca Wschodniego. Po godzinnym oczekiwaniu wsiedliśmy do pociągu, tym razem już osobowego i pojechaliśmy do Lublina. W Lublinie zmieniliśmy pociąg i wieczorem byliśmy w Zamościu.

Zgłosiliśmy się w biurze przepustek starych koszar wybudowanych w XIX wieku. Stacjonowały tu między innymi pododdziały radzieckiej kawalerii. Od listopada 1944 roku funkcjonowała tu również Oficerska Szkoła Łączności. Mieściła się w jednym dużym koszarowcu podzielonym na dwie części. W pierwszej części były kompanie podchorążych, które naukę rozpoczęły w Centralnej Szkole Podchorążych w Riazaniu. W drugiej części budynku kwaterowano kolejno kompanie tworzone z napływających ochotników. Ja znalazłem się w 8. kompanii podchorążych.

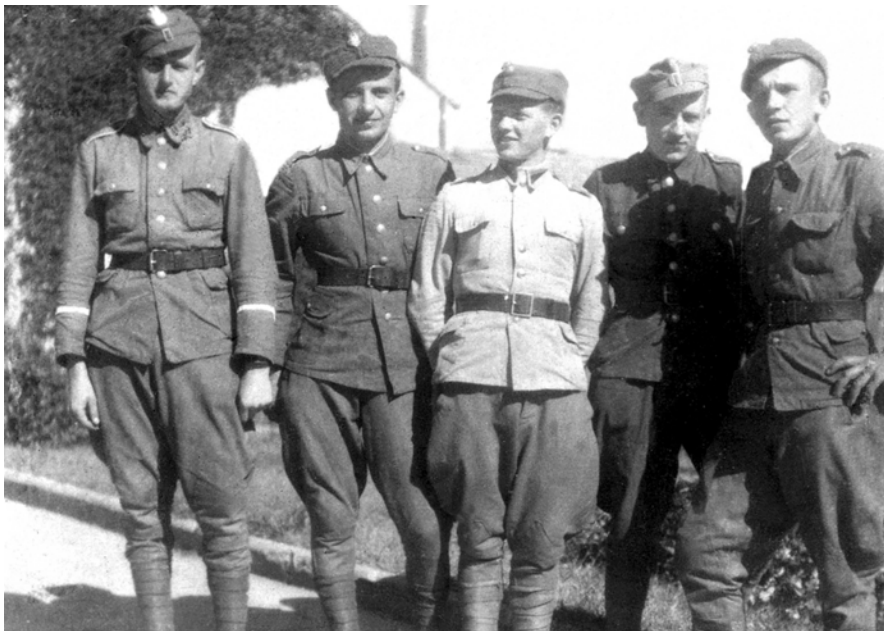
W następnych dniach rozpoczęliśmy szkolenie. Były to zajęcia z musztry i znajomości regulaminów. Chodziliśmy na nie w ubraniach cywilnych, gdyż magazyny mundurowe szkoły były na razie puste. Mundury mieliśmy dostać dopiero za dwa tygodnie. Czas wyczekiwania uległ niespodziewanie skróceniu. Stało się to z powodu mającej nastąpić promocji oficerskiej. Była to czwarta, a zarazem ostatnia promocja oficerów okresu wojennego. 16 sierpnia promocji dokonał szef wydziału szkół w Ministerstwie Obrony Narodowej gen. Brunon Olbrycht.

Po złożeniu przysięgi nasze szkolenie biegło pełną parą, przeplatane pełnieniem służb i wart. Z tego okresu pamiętam jeden zabawny epizod. Zostałem wyznaczony na dowódcę patrolu garnizonowego. Wieczorem podczas patrolowania Zamościa spotkaliśmy cywili z biało-czerwonymi opaskami na rękawach. Przedstawiliśmy się wzajemnie. Oni podali się za patrol MO. Ruszyliśmy każdy w swoją stronę. Za najbliższym rogiem zaczęliśmy maszerować w miejscu, udając, że się oddalamy. Słyszeliśmy kroki odchodzącego patrolu MO. Za chwilę wyrzeliśmy zza muru budynku, by zobaczyć, gdzie oni poszli. Zaskoczeni zobaczyliśmy ich patrol również tupiący w miejscu. Popatrzyliśmy na siebie nawzajem i rozeszliśmy się ze śmiechem, tym razem już naprawdę. Dzisiaj wygląda to groteskowo, ale wówczas należało być bardzo ostrożnym. Zamość co prawda niewiele był zniszczony, ale nie brakowało tam ludzi o różnych poglądach politycznych i bandyckich zamiarach posiadających broń.

Coraz częściej docierały do nas różne informacje o możliwości przeniesienia Oficerskiej Szkoły Łączności w inne miejsce, najprawdopodobniej do województwa łódzkiego. Po pewnym czasie informacje te potwierdziły się. Pierwszym rozpatrywanym miejscem była Łódź. Jednak komisja, którą wysłał komendant szkoły, stwierdziła, że warunki do rozmieszczenia szkoły w Łodzi są nie do przyjęcia. Ostatecznie zdecydowano, że Oficerska Szkoła Łączności zostanie przeniesiona do koszar po 31. Pułku Strzelców Kaniowskich w Sieradzu.

Stan osobowy szkoły, sprzęt, uzbrojenie i wyposażenie przewieziono do Sieradza dwoma transportami kolejowymi. Każdy z nich liczył po 50 wagonów. 16 października 1945 roku załadowaliśmy się na transport i ruszyliśmy w nowe miejsce. 21 października odbyło się powitanie szkoły przez mieszkańców oraz władze powiatowe i miejskie. Uroczystość ta odbyła się na sieradzkim rynku.

Po przeprowadzce do Sieradza kadra i podchorążowie przystąpili do porządkowania sal koszarowych i wykładowych. Sale wykładowe mieściły się na górnej kondygnacji budynku kasyna oraz w świetlicach pododdziałów.



Sieradz 1946 rok. Pierwszy z prawej strony podchorąży Zbigniew Wilanowski.

Koszary, w których znalazła się szkoła, nie były w pełni ogrodzone. Problem ten musiał być jak najszybciej rozwiązany. Obecnie istniejący mur z metalowymi elementami od strony ul. Wojska Polskiego postawiony został przez miasto. Resztę ogrodzenia wykonali podchorążowie.

Na terenie szkoły stały dwa budynki koszarowe, budynek sztabu, kasyno, łaźnia, magazyny i warsztat samochodowy. Ponadto znajdowały się jeszcze baraki postawione przez Niemców w czasie okupacji. Rozmieszczone były następująco: dwa stały za budynkiem sztabu, sześć znajdowało się w miejscu gdzie dzisiaj stoi blok szkolny, jeden w miejscu stołówki, dwa na terenie dzisiejszych garaży i jeden przed strzelnicą.

Prace związane z przystosowaniem koszar do potrzeb szkoły trwały od rana do wieczora. Pod koniec października 1945 roku rozpoczął się normalny proces szkolenia.

Nauka w Oficerskiej Szkole Łączności w Sieradzu trwała dwa lata i sześć miesięcy. Proces dydaktyczny realizowany był przez osiem cykli szkoleniowych:

- cykl nauk politycznych,
- cykl taktyki ogólnej,
- cykl taktyki łączności,
- cykl radiowy,
- cykl teletechniczny,
- cykl służby ruchu,
- cykl saperski,
- cykl ogólnowojskowy.

W początkowym okresie rozkład dnia przedstawiał się następująco: pobudka, zaprawa poranna, śniadanie, zajęcia szkoleniowe do godz. 13:00, obiad, od godz. 16:00 do godz. 21:00 prace związane z dalszym przystosowywaniem obiektów do potrzeb szkoły. Stołówka znajdowała się pod budynkiem kasyna. Codzienne zajęcia szkoleniowe poprzedzała zbiórka całego stanu osobowego. Po złożeniu meldunku komendantowi szkoły pododdziały defiladowały w rytm marsza granego przez etatową orkiestrę dętą szkoły i udawały się na zajęcia.

Do 1 stycznia 1946 roku komendantem Oficerskiej Szkoły Łączności w Sieradzu był płk Mikołaj Mackiewicz. Po nim obowiązki komendanta objął płk Michał Ratuszniak.



Sieradz 1946 rok. Szer. Podchorąży Misztalski (z lewej strony) i kpr. Podchorąży Zbigniew Wilanowski (z prawej strony) z dowódcą plutonu.

W marcu 1946 r. odbyła się uroczystość, która była wielkim wydarzeniem zarówno dla podchorążych, jak i dla mieszkańców Sieradza. Była to promocja na pierwszy stopień oficerski. Podchorążych promował Naczelny Dowódca Wojska Polskiego marszałek Michał Rola-Żymierski.

Na terenie szkoły trwały dalsze prace poprawiające warunki nauczania. W maju 1946 roku zakończona została budowa stadionu. Powstał on dzięki inicjatywie por. Mateusza Boryszewskiego. Na stadionie wybudowana została drewniana trybuna z desek rozbieranych baraków. Część materiałów z baraków przekazywana



Sieradz 1946 rok. Promocja oficerów na sieradzkim rynku; meldunek naczelnemu dowódcy WP marszałkowi Roli-Żymierskiemu składa mjr Pawenda.

była na wniosek burmistrza Sieradza rolnikom okolicznych wsi w celu odbudowy ich gospodarstw. Dwa baraki przeniesiono na ulicę Mickiewicza i przygotowano w nich mieszkania dla kadry

Podczas nauki w Oficerskiej Szkole Łączności w Sieradzu chętnie uczestniczyłem w budowie bazy szkoleniowej. W latach młodości nauczyłem się grać na akordeonie. Umiejętność tę wykorzystałem w murach szkoły, zakładając wraz z kolegami zespół muzyczny. Niejednokrotnie uświetniał on swoimi występami różne uroczystości jak również grał na zabawach dla naszych kolegów.

17 marzec 1947 roku był dla mnie dniem szczególnym. Na rynku w Sieradzu odbyła się promocja oficerska 8 kompanii. Promował nas marszałek Michał Rola-Żymierski. Na moim ramieniu zabłysła pierwsza oficerska gwiazdka. Po promocji zostaliśmy przydzieleni do okręgów wojskowych i rodzajów wojsk.



Członkowie zespołu muzycznego OSŁ w Sieradzu. Od lewej strony podchorążowie Misztalski i Zbigniew Wilanowski.

21 najlepszych absolwentów pozostawiono w Oficerskiej Szkole Łączności. Zostałem wyznaczony na wykładowcę w cyklu służby ruchu. Mój kolega z tej samej promocji Zygmunt Szwej został skierowany do cyklu radio.

Tak zakończył się mój pierwszy etap służby wojskowej.

W kolejnych latach pełniłem obowiązki służbowe na różnych stanowiskach. Obowiązki wykładowcy w cyklu służby ruchu pełniłem do 1949 roku. W latach od 1949 do 1951 byłem starszym wykładowcą w tym cyklu. W 1951 r. powierzono mi stanowisko kierownika cyklu służby ruchu. Pełniłem je do 1954 r.



Sieradz 17. 03. 1947r. Promocja; pierwszy z lewej strony stoi ppor. Zbigniew Wilanowski



Sieradz 1949 r. Kadra cyklu służby ruchu; na zdjęciu między innymi siedzą od lewej strony: por. Leonard Jasiński, por. Zbigniew Ciupa, por. Zbigniew Wilanowski, trzeci od lewej stoi por. Jerzy Czech.

Z dniem 1 stycznia 1956 roku rozwiązana została Oficerska Szkoła Łączności Przewodowej w Sieradzu. Do tego czasu pełniłem obowiązki pomocnika komendanta szkoły ds. technicznych a później szefa sztabu szkoły. W 56 Batalionie Radiolinii byłem szefem sztabu i następnie przez trzy lata pomocnikiem dowódcy batalionu ds. technicznych. Z chwilą utworzenia 15 Pułku Radioliniowo–Kablowego wyznaczony zostałem na szefa sztabu pułku. Obowiązki te pełniłem do 1968 roku. Powstała wówczas 15 Brygada Radioliniowo-Kablowa, w której pełniłem funkcję szefa sztabu. W 1980 roku rozstałem się z brygadą i przeszedłem na stanowisko szefa WIOC. W 1986 roku pożegnałem się z wojskiem i odszedłem do rezerwy.



Pożegnanie płk. Zbigniewa Wilanowskiego ze służbą wojskową

Płk w st. spocz. Zbigniew Wilanowski

Sieradz, 12. 03 2008 r.



Ppłk Tadeusz Łagunowski

MOJE WSPOMNIENIA

Urodziłem się 10 czerwca 1931 roku w powiatowym miasteczku Sierpc, województwo warszawskie. Rodzina składała się z sześciu osób. Ojciec z zawodu szewc pracował w zakładzie prywatnym i dodatkowo w domu, by zapewnić utrzymanie rodziny. Matka zajmowała się domem i wychowywaniem dzieci.

Do wybuchu wojny w roku 1939 ukończyłem pierwszą klasę szkoły powszechnej. Dalszą naukę przerwała okupacja niemiecka. Szkoły dla nas nie było. W tym czasie uczyłem się we własnym zakresie przy udziale rodziców. Bardzo często zmuszany byłem do wykonywania różnych prac fizycznych u okupanta. Po wyzwoleniu miasta w 1945 roku w przyspieszonym tempie kontynuowałem naukę w szkole powszechnej i zasadniczej szkole zawodowej. Znane w tym okresie powiedzenie „nie matura, lecz chęć szczerą, zrobi z ciebie oficera” zdecydowało, że postanowiłem kontynuować naukę w szkole oficerskiej.

Po załatwieniu wszystkich formalności we wrześniu 1949 r. wstąpiłem do Oficerskiej Szkoły Łączności w Sieradzu. Od tego czasu następuje druga część mojego życiorysu. W szkole oficerskiej osiągałem dobre wyniki w nauce, a w drugim i trzecim roku nauki pełniłem obowiązki na stanowisku pomocnika dowódcy plutonu.

Szkołę oficerską ukończyłem w roku 1952 z wynikiem bardzo dobrym – pierwszą kategorią. Wyróżniony zostałem nagrodą ministra obrony narodowej oraz możliwością wyboru jednostki wojskowej. Na moją prośbę zostałem skierowany do 7. Pułku Łączności w Bydgoszczy na stanowisko dowódcy plutonu w kompanii łączności. W maju pułk wyjechał na półroczne szkolenie poligonowe do Drawska Pomorskiego i wrócił do garnizonu w październiku. W tym miesiącu zostałem wezwany do Szefostwa Wojsk Łączności w Warszawie i po rozmowie, od której nie było odwołania, otrzymałem dokumenty do dalszej służby w Oficerskiej Szkole Łączności w Sieradzu na stanowisku dowódcy plutonu podchorążych, do czasu rozformowania szkoły.

Po rozwiązaniu szkoły oficerskiej w Sieradzu zostałem skierowany do 112. Kompanii Radioliniowej, której dowódcą był kpt. Olech. Kompania stacjonowała w Zegrzu Północnym na terenie Oficerskiej Szkoły Radiowej. Tu zapoznałem się ze sprzętem łączności będącym na wyposażeniu kompanii.

Pod koniec 1955 r. 112. Samodzielna Kompania Radiolinii została przeniesiona do Sieradza i rozlokowana w koszarach przy istniejącym tu Ośrodku Przeszkolenia Oficerów Łączności. Na bazie tej kompanii sformowany został 56. Batalion Radiolinii. Na dowódcę batalionu wyznaczony został płk Bernard Mieńkowski. W okresie formowania batalionu pełniłem obowiązki dowódcy plutonu, następnie dowódcy kompanii. Dodatkowo wykonywałem również szereg zadań stawianych przez dowódcę batalionu, z uwagi na brak pełnej obsady kadrowej. Uczestniczyłem we wszystkich ćwiczeniach batalionu.

1 maja 56. Batalion Radiolinii przeformowany został w 15. Pułk Radioliniowo-Kablowy. Równocześnie powstała szkoła podoficerska w składzie dwóch kompanii: szkolnej kompanii radiolinii i szkolnej kompanii eksploatacyjno-kablowej, której zostaje dowódcą. Przez okres sześciu lat szkoliłem elewów na podoficerów w zakresie łączności przewodowej dla potrzeb wojsk lądowych, marynarki wojennej oraz wojsk lotniczych. Początkowo okres szkolenia elewów trwał dziewięć miesięcy, w latach następnym skrócony został do sześciu miesięcy.

W roku 1968 przeniesiony zostałem na stanowisko szefa sztabu batalionu szkolnego, a w roku 1970 objąłem stanowisko pomocnika szefa sztabu brygady do spraw ewidencyjno-personalnych.

W czasie służby wojskowej w latach 1958-59 uczęszczałem do średniej wieczorowej szkoły ogólnokształcącej i uzyskałem świadectwo maturalne. Odbyłem również zaoczne przeszkolenie wojskowe na Kursie Doskonalenia Oficerów Łączności w Zegrzu. W roku 1959 zawarłem związek małżeński.

W roku 1974 na własną prośbę, po wyrażeniu zgody przez dowódcę brygady, zostałem przeniesiony do Wojskowej Komendy Uzupełnień w Sieradzu na stanowisko kierownika sekcji oficerskiej z zaszerogowaniem do etatu podpułkownika. W brygadzie posiadałem etat majora. Po dwóch latach przeniesiony zostałem z sekcji oficerskiej na stanowisko kierownika sekcji mobilizacyjnej – zastępcy komendanta WKU.

W ostatnim okresie mojej służby wojskowej przez okres jednego roku pełniłem obowiązki komendanta Wojskowej Komendy Uzupełnień w Sieradzu. Posiadam liczne odznaczenia państwowe i wojskowe: Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Srebrny Krzyż Zasługi, Złoty Medal „Siły Zbrojne w Służbie Ojczyzny”, Złoty Medal za Zasługi dla Obronności Kraju i wiele innych odznaczeń.

W roku 1989, po czterdziestu latach służby wojskowej, w tym 39 lat w garnizonie Sieradz, odszedłem na zasłużoną emeryturę wojskową.

Pplk w st. spocz. Tadeusz Łagunowski

Sieradz, 31.03.2008 r.



Płk WP Józef Kowalski
Kapral Armii Krajowej

MOJA DROGA DO WOJSKA POLSKIEGO

Urodziłem się dnia 07. 12 1922 r. w Bielinach Kapitulnych pow. Kielce. Wybuch II wojny światowej 1 września zastał mnie w Starachowicach, gdzie uczęszczałem do Zasadniczej Szkoły Zawodowej przy wytwórni broni. W napiętej sytuacji 1939 roku, gdy zaistniała groźba wybuchu wojny program nauczania został skrócony a zajęcia rozpoczęły się w wakacje. W szkole na wypadek wojny utworzono grupy różnego przeznaczenia. Ja zostałem przydzielony do grupy porządkowej. Zadaniem grupy było zabezpieczenie porządku na terenie szkoły jak również na skarpie drogi przed szkołą. Jeszcze przed wojną wykopaliśmy schronienia w postaci rowów zygzakowatych. Rowy przeznaczone były do chronienia ludzi. Z obiektu szkoły, jak również z ulicy przyległej do niej, z furmanek konnych po ich zatrzymaniu, należało wyprzęgnięte konie uwiązać do tylnych kół a furmana wraz z podróżującymi kierować do powyższych rowów. W trakcie wojny nie udało nam się jednak żadnej furmanki zatrzymać, gdyż w pośpiechu opuszczały miasto, natomiast przechodniów po ogłoszeniu alarmu kierowaliśmy

do w/w schronisk. Alarmy następowały stosunkowo często, pierwszego września do godziny trzynastej naliczyłem ich jedenaście i dalej przestałem liczyć. Nie wszystkie jednak alarmy zwiastowały nalot samolotów i bombardowanie.

W pierwszych dniach wojny na Starachowice nastąpił niespodziewany atak czołgów od wschodu. Zaatakowana była ulica Wanacja, która w tym czasie przypominała wioskę. Na polnej drodze stały drewniane domy, a po środku leżały sterty kamieni do jej utwardzenia. Ja przebywałem w jednym z tych domów i słuchałem huku strzelających dział, do czego zdążyłem już przywyknąć. Gdy ucichł warkot samolotów i słychać było jedynie odgłos broni maszynowej wyszedłem na drogę. Na skrzyżowaniu dróg, w odległości około 200 metrów ode mnie ujrzałem strzelający czołg i palący się obok drewniany budynek. Drogą, która na krótkim odcinku prowadziła pod górę, uciekali ludzie. Byli oni celem dla strzelającego czołgu. Uciekający kryli się za przyzmami kamieni i za węglami budynków. Ja również przyłączyłem się do uciekających. Niektórzy z biegnących posiadali walizki, które porzucali.. Po pokonaniu wzniesienia i utracie z pola widzenia strzelającego czołgu przyłączyłem się do biegnących mężczyzn, którzy krzyczeli: „na góry, po broń”. Po drodze spotkałem już biegnących z karabinami w kierunku skąd nastąpił atak. Przed fabryką usłyszałem, że broni na wartowni już nie ma. Ponieważ strzelanina ustała, udałem się wraz z innymi ciekawskimi zobaczyć miejsce bitwy. Po przybyciu na miejsce zobaczyłem spalony czołg niemiecki, a obok niego trupa niemieckiego czołgisty w czarnym umundurowaniu. Był to pierwszy trup nieprzyjaciela jaki widziałem w tej wojnie. Jak się dowiedziałem od zebranych przy czołgu ludzi atakowały cztery czołgi, z tego dwa wycofały się, a dwa zostały na polu walki. Niezależnie od spalonego czołgu pozostał drugi uszkodzony czołg, którym po szybkiej naprawie odjechał podchorąży Antoni Heda, późniejszy płk „Szary”, a od 2004 r. generał brygady. Odjechał on do jednostek Wojska Polskiego znajdujących się w pobliżu. Po tym wydarzeniu nastąpiło wysadzenie głównych magazynów fabryki broni, co wywołało bardzo duży pożar. Z miasta wycofała się obsługa dział przeciwlotniczych. Nad Starachowicami latały nisko

samoloty niemieckie nie robiąc żadnej krzywdy. Przechodząc przez rynek Wierzbnika (jest to część Starachowic) zauważyłem dwóch żołnierzy w mundurach koloru przypominającego mundury weteranów I wojny światowej, których widywałem defilujących na uroczystościach. Sądziłem, że są to polscy żołnierze. Po zbliżeniu się do nich usłyszałem niemiecką rozmowę i wówczas zdałem sobie sprawę, że są to żołnierze niemieccy. Wraz z nimi był człowiek pompujący koła motocykla. Okazał się on Żydem, którego Niemcy zmusili do pracy. Motocykliści stanowili patrol, za którym wkroczyły wojska niemieckie.

Po przeczekaniu kilku dni i przekonaniu się, że nauka w szkole nie będzie wznowiona oraz nie mając żadnej perspektywy pracy, wróciłem do rodzinnej wsi Bieliny. Tu w połowie września spotkałem Władysława Michalskiego „Miareczkę”, zawodowego podoficera W.P., który poinformował mnie, że tworzy się organizacja wojskowa, której celem będzie walka o wyzwolenie spod okupacji. Dowiedziałem się wówczas również o powstawaniu grupy bojowej, do której wyraziłem chęć przystąpienia. Organizacja ta nazywała się Służba Zwycięstwu Polsce. Następnie wspólnie z Władysławem Michalskim przystąpiliśmy do werbowania młodych zaufanych ludzi. Przystąpili do niej także Władysław Zawierucha, Jan Kałuża, Stanisław Kałuża, Jan Iwan i inni.

W dzień Trzech Króli, 6 stycznia 1940 roku złożyłem przysięgę. Do czasu aresztowań w Bielaniech byłem łącznikiem między Władysławem Michalskim, Władysławem Ołubcem pseudonim „Bartek”, który był dowódcą placówki „Błoto” oraz dowódcami grup (drużynowymi). Jednym z drużynowych był Stanisław Olkuski, późniejszy konfident żandarmerii niemieckiej. Jako łącznik posiadałem pseudonim „Zdrowy”. Przez okres pobytu w Bielaniech w czasie okupacji zajmowałem się również kolportowaniem prasy konspiracyjnej. W tamtym czasie zdobywaliśmy broń chowając ją po przydrożnych kapliczkach, pod daszkami murów kościelnych, na cmentarzach i w tym podobnych miejscach. Pewnego razu mój grupowy dowódca polecił mi udać się do Władysława Ołubca, naszego dowódcy, celem pobrania ćwiczebnego granatu obronnego. W czasie spotkania „Bartek”

poinformował mnie, że nie posiada granatu ćwiczebnego, natomiast wyda mi uzbrojony granat obronny. W tym celu udaliśmy się na miejscowy cmentarz. Ja pozostałem przed murowanym ogrodzeniem, natomiast Władek wszedł na teren cmentarza. W krótkim czasie przyniósł mi granat obronny z poleceniem oddania go Władysławowi Michalskiemu. Pouczył mnie bym mu przekazał, że po to by granat stał się ćwiczebnym należy wykręcić zapalnik, granat wrzucić do ognia celem całkowitego wypalenia się materiału wybuchowego. Do tak przygotowanego granatu ponownie wkręcić zapalnik, odbezpieczyć, wyciągnąć zawleczkę i rzucić. W takim przypadku zapalnik granatu wybuchnie i nie spowoduje rozerwania skorupy. Taki granat staje się całkowicie bezpieczny i może służyć do szkolenia. Przed odejściem nauczył mnie jak należy posługiwać się granatem. Pouczył mnie także jak go użyć w wypadku wpadnięcia w ręce żandarmerii. Powyższą informację przekazałem dowódcy grupy Władysławowi Michalskiemu, który jednak bał się wrzucić granat do ognia. Powziął decyzję o wydrapaniu materiału wybuchowego. Niestety nie udało mu się usunąć całego materiału wybuchowego z granatu. Następnego dnia wczesnym rankiem udaliśmy się za róg jego stodoły gdzie Władysław wkręcił zapalnik i rzucił granat. Wybuchł on z wielkim hukiem rozerwany na drobne odłamki. Za pół godziny przez wieś przejechał konny patrol żandarmerii i tak skończyło się wykonanie granatu ćwiczebnego.

Że względu na konfidenta Olkuskiego, nie chcąc mu się pokazywać na oczy i przypominać o swojej działalności, wiedząc, że sypie naszych ludzi, załatwiono mi schronienie w Kielcach na ul. Karczukowskiej w Sierocińcu Sióstr Urszulanek. Pełniłem tam rolę furmana wozu konnego, którym zaopatrywano w żywność i sprzęt ten sierociniec. Z siostrą Ludwiką tego sierocińca jeździliśmy po okolicznych majątkach skąd otrzymywaliśmy kwotę na potrzeby dzieci.

Punkt kontaktowy znajdował się w szpitalu, który był umieszczony w dawnym gimnazjum im. Stefana Żeromskiego u Stanisława Maciejewskiego ps. „Rys”. Był on portierem w szpitalu i zajmował pokój graniczący z drugą połową budynku, w którym znajdowała się siedziba żandarmerii niemieckiej. Pokój ten posiadał

specjalne pomieszczenie, w którym niejednokrotnie przebywali spaleni konspiratorzy. Po zlikwidowaniu Stanisława Olkuskiego Agenta gestapo, wróciłem do Bielin.

Po powstaniu Armii Krajowej zostałem wcielony do plutonu Antoniego Różyckiego ps. „Rydz” z Kakonina, a następnie awansowany do starszego strzelca i przydzielony do grupy szturmowej. Dowódcą placówki „Błoto” był w tym czasie Jan Kałuża, a zastępcą jego brat Paweł Kałuża z Czapłowa. Pod ich dowództwem, w lesie za Czapłowem, odbywałem ćwiczenia i szkolenia. W roku 1944 zostałem skierowany w Lasy Siekierczyńskie na kurs podoficerski minersko – saperski wraz z dowódcą grupy szturmowej Antonim Kotem, Władysławem Krzosem i innymi kursantami. W lasach tych odbyliśmy kilkudniowe szkolenie. Wykładowcami byli oficerowie ze sztabu dywizji. Kurs ten był ochraniały przez wydzielony oddział Mariana Obarę PS. „Szatan”, mojego kolegi z ławki szkolnej z Bielin. „Szatan”, w chwilach wolnych, dużo mi opowiadał o działalności oddziału, akcjach, likwidowaniu zdrajców oraz o sprawach osobistych. W oddziale tym spotkałem także Stanisława Iwana ps. „Paw” i Franciszka Winiarskiego ps. „Wiktor”. Po ukończeniu kursu awansowano mnie do stopnia kaprała oraz wyznaczono na zastępcę dowódcy grupy szturmowej. Zadaniem naszym było szkolenie pozostałych członków grupy. Wykonywaliśmy to z dużym poświęceniem i osobistym zaangażowaniem.

Po ukończeniu kursu otrzymaliśmy wraz z dowódcą grupy dużą ilość materiałów wybuchowych, które ukryliśmy w trzech magazynach (o te materiały mieliśmy po wyzwoleniu dużo kłopotów ze strony UB i Informacji Wojskowej). W magazynach zdeponowane zostały: plastik, gamony, granaty obronne, różne zapalniki m. in. czasowe i między skrzyniowe oraz lont prochowy i lont piorunujący. Były to materiały przeznaczone do szkolenia i na czas mobilizacji. Grupa nasza podlegała dowódcy plutonu ps. „Rydz”. Wykorzystywał on nas do przeprowadzania akcji w Bielinach, Kakoninie i innych wsiach gminy Bieliny. Byliśmy także wysyłani do Krajna jako pomoc tamtejszej organizacji. Pomagaliśmy tam członkom miejscowej organizacji. W tym czasie

ja już dowodziłem grupą, gdyż Antoni Kot został wywieziony na przymusowe roboty do Niemiec.



Rok 1944. Dowódca grupy szturmowej placówki „Błoto” kpr. Józef Kowalski ps. „Zdrowie”.

Zajmowaliśmy się również obstawianiem dróg prowadzących do miejsca zrzutu, zbieraniem materiałów sanitarnych, płaszczy nieprzemakalnych dla żołnierzy oddziału oraz prowadzeniem rozmów z osobami sympatyzującymi z Niemcami. Informacje o tych osobach otrzymywaliśmy z różnych źródeł. Najczęściej jednak od mojego brata Władysława Kowalskiego pseudonim „Ryś”, który pracując na poczcie w Bielinach przekazywał nam listy pisane do miejscowej żandarmerii. Były to przeważnie donosy na miejscową

ludność pisane w formie anonimu lub podpisane. Dotyczyły one nie sprzyjania Niemcom, przechowywania partyzantów, trudnienie się ubojem czy innych czynności zabronionych przez okupanta (jak np.: posiadania nie kolczykowanej trzody chlewnej). Ustalenie piszącego anonim nie przedstawiało większej trudności. Akcje takie prowadziliśmy wyłącznie na rozkaz „Rydza”. Poważniejsze akcje wykonywał oddział „Szatana”.

Po utworzeniu przyczółka Sandomierskiego przez Armię Czerwoną, nawiązałem z polecenia „Rydza” współpracę z dowódcą wywiadu ps. „Gondola” w Bielinach. Otrzymałem zadanie zbierania informacji o rozlokowaniu jednostek przyfrontowych, rozmieszczeniu i lokalizacji sztabów, magazynów, schronów na samochody i sprzęt, o rozmieszczeniu punktów obserwacyjnych, stanowisk artylerii i czołgów. Dane nanosiliśmy na otrzymane mapy. W czasie ofensywy styczniowej widziałem uciekających w popłochu żołnierzy wermachtu, kiedyś bohaterów, dziś wystraszonych i często zakrwawionych. Mogłem zrealizować pragnienie pomszczenia poległych i zamordowanych kolegów. Nie wiem, dlaczego tego nie uczyniłem. Może, dlatego, że rozmawiając z nimi, bezbronnymi (karabiny porzucali) powtarzającymi „Dojcie kaput” zaniechałem zemsty.

Po ofensywie oglądaliśmy tereny walk i widzieliśmy zbombardowane stanowiska ogniowe, punkty obserwacyjne i dowodzenia, bunkry, które narzucaliśmy na mapę. Sądziłem, że do zbombardowania mogły się przyczynić nasze dostarczone mapy. Nadmieniam, że w czasie poprzedzającym ofensywę wywiad nasz współpracował z wywiadem rosyjskim. Po wyzwoleniu wraz z większością kolegów ujawniłem się. „Rydz” postanowił działać dalej. Nasze dowództwo sugerowało nam, ażeby wstępować do wojska, zdobywać wiedzę w szkołach oficerskich, gdyż okupacja radziecka nie potrwa długo. W czasie ujawniania zgłosiłem się do Wojska Polskiego jako ochotnik. W marcu 1945 roku, pierwszym transportem z Kielc, odjechałem do Włodawy. Transport składał się w większości z chłopców z Kielc i z Bielin. Wraz ze mną odjechał Antoni Kałuża i Zygmunt Ziach. Wcieleni zostaliśmy do 23 pułku zapasowego artylerii. W krótkim czasie przeniesiono nas do pułku w

Tomaszowie Mazowieckim. W pułku ogłoszono rekrutację do Oficerskiej Szkoły. Zgłosiłem się do nie ujawniając swojej przynależności do AK. Po zdaniu egzaminu zostałem przyjęty do Oficerskiej Szkoły Artylerii w Chełmie Lubelskim przeniesionej później do Olsztyna. Tu również nie ujawniłem swej przynależności do AK. Oficerską Szkołę Artylerii ukończyłem w styczniu 1946 roku. Przed promocją wezwany zostałem do Informacji Wojskowej, gdzie w oparciu o wywiad środowiskowy udowodniono mi działalność w AK. W rezultacie nie zostałem dopuszczony do promocji na oficera, lecz skierowany do kompanii wartowniczej w Oficerskiej Szkole Artylerii w Toruniu w celu odbycia zasadniczej służby wojskowej. Po czym przywrócono mi stopień kaprała z AK. Jako kapral podchorąży zameldowałem się z grupą dziesięciu podchorążych niedopuszczonych do egzaminów w O.S.A. u gen. Huleja w Toruniu. W czasie dłuższej rozmowy z generałem udowodniłem, że przyczyną niedopuszczenia mnie do promocji była przynależność do AK, a nie niechęć do nauki, jak napisano w dokumentach. Gen. Hulej, wielki patriota, wyraził chęć przyjęcia nas do szkoły jako podchorążych, stwierdzając, że w dokumentach nie ma nic o przynależności do AK. W dniu 03.02.1946 roku zostałem przyjęty do baterii technicznej w O.S.A. Po ukończeniu szkoły i zdaniu egzaminów, przed promocją, znów zostałem wezwany przed specjalną komisję. Ponownie pytano mnie dlaczego nie przyznałem się do przynależności do AK i funkcji, jakie tam pełniłem. Oświadczyłem, że przyznałem się, po ukończeniu Szkoły Artylerii w Olsztynie, przed taką samą komisją jak obecna. Jednocześnie zameldowałem przewodniczącemu komisji, że służbę zasadniczą już ukończyłem i proszę o przeniesienie do rezerwy. Uzyskałem odpowiedź, że jestem potrzebny i muszę odpracować koszty, jakie poniesiono na moje wyszkolenie. W rezultacie dopuszczono mnie jednak do promocji, której dokonał marszałek Polski Michał Żymierski.



Wrzesień 1947 rok, Oficerska Szkoła Artylerii w Toruniu. Marszałek Polski Michał Żymierski mianuje na pierwszy stopień oficerski podchorążych z rocznika Józefa Kowalskiego.

Oficerską Szkołę Artylerii w Toruniu ukończyłem 07.09.1947 roku uzyskując lokatę 14/39, otrzymując stopień podporucznika służby uzbrojenia. Otrzymałem przydział służbowy do 2 Dywizjonu Artylerii Przeciwpancernej w Radomiu, 2 Dywizji Piechoty w Kielcach. Jak się okazało w dywizjonie faktycznie byłem potrzebny, gdyż kapitan radziecki miał wstrzymany wyjazd do ZSRR, bo nie miał komu przekazać obowiązków zbrojmistrza dywizjonu. Moje przybycie przyjął z wielkim zadowoleniem, ponieważ mógł bez przeszkód powrócić do rodziny w ZSRR. W 1948 r. zostałem wezwany na rozmowę do Ministerstwa Obrony Narodowej, gdzie poinformowano mnie, że zostałem wytypowany do Wojskowej Akademii Technicznej w Moskwie. Przez okres trzech dni, co rano obowiązkowo zgłaszałem się do oficera prowadzącego moją sprawę, odpowiadając czy zgadzam się na wyjazd. Za każdym razem odmawiałem z obawy, że może mnie spotkać los, jaki spotkał innych funkcyjnych żołnierzy A.K.W 1949 r. dywizjon wraz z 2

Pułkiem Artylerii Lekkiej i 2 Dywizją Piechoty został przeniesiony do Szczecina. Jednostki wojskowe 2 Dywizji Piechoty zostały przekształcone tam w 12 Zmechanizowaną Dywizję Piechoty. Pełniąc służbę w 2 Dywizjonie Artylerii Przeciwpancernej, poza pomijaniem mnie w awansach, nie byłem specjalnie represjonowany. Uważam, że przyczyną mogło być to, że dowódcą dywizjonu był oficer radziecki major gwardzista oraz, że w dywizjonie nie było komórki Informacji Wojskowej. Jej rolę pełnił oficer informacji 2 PAL. Szykany i represje nastąpiły dopiero wówczas, gdy w roku 1951 zostałem przeniesiony do Oficerskiej Szkoły Łączności Przewodowej w Sieradzu. Przyjechałem do Sieradza pociągiem. Na dworcu zapytałem dyżurnego kolei gdzie jest postój taksówek. Odpowiedział, że jest taksówka pana Proszowskiego, ale on jeździ na wcześniejsze zamówienia. Zapytałem, więc jak daleko jest do koszar OSŁP. Uzyskałem odpowiedź, że 2 km względnie 500m. Poprosiłem o wyjaśnienie i usłyszałem, że jeśli będę szedł ulicami odległość wyniesie 2 km, natomiast, jeśli przejdę się polami to będzie 500m. Wybrałem krótszą drogę, czego bardzo żałowałem. W OSŁP znalazłem się w późnych godzinach wieczornych. Zameldowałem swoje przybycie oficerowi dyżurnemu, który przekazał tą informację dowódcy. W rozmowie z oficerem dyżurnym zapytałem ile jest teatrów w Sieradzu. Odpowiedź brzmiała, że nie ma żadnego. Jest, co prawda budynek teatru, ale spektakle odbywają się w ramach gościnnych występów teatrów z Kalisza i Łodzi. Nazajutrz rano zameldowałem się u komendanta OSŁP płk Stefana Maksimkina, który po przejrzeniu dokumentów oświadczył, że obejmę stanowisko szefa uzbrojenia tej szkoły. Ja z kolei zameldowałem, że posiadam rodzinę, żonę i dziecko i w związku z tym czy dostanę mieszkanie. Otrzymałem odpowiedź, że mieszkania w najbliższym czasie nie otrzymam, gdyż są wszystkie przydzielone. Wobec powyższego poprosiłem o odesłanie mnie do dyspozycji Ministerstwa Obrony Narodowej. W tej sytuacji komendant poinformował mnie, że musi być jakieś wyjście i trzeba mi przydzielić mieszkanie, gdyż szkoła nie posiada szefa uzbrojenia, a funkcje tą pełni oficer łączności. Ponieważ w nowo wybudowanym bloku przy ulicy Sienkiewicza

mieszkało w jednym mieszkaniu kilku kawalerów, decyzją dowódcy kawalerowie zostali przeniesieni do pokoi gościnnych na terenie koszar, a ja po nich objąłem to mieszkanie.

W szkole, niezależnie od etatowej funkcji szefa uzbrojenia OSŁP pełniłem i inne funkcje, w tym oficera dochodzeniowego szkoły i awaryjnie wykładowcę wyszkolenia strzeleckiego dla podchorążych. Przez pewien okres pełniłem obowiązki dowódcy kursu oficerów rezerwy, jak również na polecenie komendanta szkoły biegłego sądowego z zakresu broni palnej. Pełniłem także awaryjne funkcje oficera inspekcyjnego szkoły oraz w miarę potrzeb prowadziłem defiladę baterii podchorążych OSŁP w Sieradzu.



OSŁP w Sieradzu. Kpt. Józef Kowalski prowadzi kompanię podchorążych podczas defilady.

Należałem również do drużyny szachowej szkoły, która zakwalifikowała się do zawodów okręgowych we Wrocławiu zajmując jedno z czołowych miejsc w okręgu. Komendant szkoły, oficer radziecki, często wzywał mnie słowami „zachodni k mnie” do swojej kancelarii w różnych sprawach. W przypadku pilnego zajęcia

służbowego jedynym możliwym odroczeniem natychmiastowego przyścia było zameldowanie, że nie jestem ogolony. Komendant w takim przypadku polecał udać się do fryzjera na terenie koszar i po ogoleniu zgłosić się do niego. Komendant często wzywał mnie, będąc w koszarach w godzinach popołudniowych, na partie szachów, które niejednokrotnie przedłużały się do późnych godzin wieczornych. Na telefon żony odpowiadał, że prowadzi odprawę. Oficerom pragnącym zdać służbę polecał czekać. Często w takim przypadku prosiłem o krótką przerwę celem wyjścia. Po wyjściu informowałem oficerów, że mogą wejść i zdać służbę.

Czasami komendant prosił mnie także o opinie w sprawach prawnych, obyczajowych itp. Oto jedna z nich.

Pewnego razu po przybyciu do gabinetu komendanta zastałem dziewczynę w średnim wieku. Komendant poinformował mnie, że jeden z oficerów, nawiasem mówiąc z naszej grupy szachowej, nie chce się z nią ożenić, mimo, że posiadają dziecko. Zapytał, czy jako komendant szkoły może mu nakazać żeby się ożenił. Oświadczyłem, że w żadnym przypadku nie może wydać takiego rozkazu. Wobec tego zapytał mnie jak ma postąpić w zaistniałej sytuacji. Poradziłem, żeby wezwał tego oficera i zapytał czy uznaje to dziecko za swoje. Dalsze pytanie brzmiało, co on może zrobić, gdy ten oficer nie uzna dziecka. Powiedziałem, że może go postraszyć wysłaniem do odludnego garnizonu w Bartoszycach. Wezwany oficer oświadczył, że przyznaje się do ojcostwa i dziecko prawnie uznaje za swoje, natomiast z matką dziecka nie zawrze związku małżeńskiego, gdyż znajomość z matką dziecka traktuje jako przelotną. W tej sytuacji wezwany został oficer z wydziału ogólnego, który sporządził odpowiedni dokument. Nazajutrz w rozkazie dziennym ukazało się stwierdzenia, że takiemu a, takiemu oficerowi przysługuje dodatek z powodu urodzenia się dziecka. Oficer niezwłocznie pobrał dodatek i wraz z kolegami cieszył się z urodzenia syna. Matce dziecka odmówił podzielenia się dodatkiem tłumacząc, że pieniędzy nie posiada. Po kilku dniach przeczytałem w rozkazie dziennym, że wyżej wymienionemu oficerowi znów przysługuje dodatek, tym razem z powodu śmierci syna w wysokości jednomiesięcznego uposażenia, tak jak przy urodzeniu dziecka. Płatnik spowodował

jednak, że oficer został zmuszony do podzielenia się dodatkiem z matką dziecka. Sprawa ta była szeroko komentowana wśród kadry.

Przez cały okres służby w Oficerskiej Szkole Łączności Przewodowej byłem wielokrotnie przesłuchiwany, początkowo przez Wydział Polityczny, a następnie przez Informację Wojskową szkoły. Przesłuchiwania te nie były przyjemne. Zawsze wzywany byłem telefonicznie. Przyjmował mnie kapitan Stankiewicz lub jego zastępca, wręczając mi papier kancelaryjny z poleceniem dokładnego opisanie mojej działalności w AK i przebiegu poszczególnych akcji. Po paru tygodniach zostałem wezwany przez Informację w charakterze świadka. W tym przypadku przesłuchanie było protokolowane na specjalnym druku. Przesłuchania te odbywały się w okresie, gdy komendantem szkoły był oficer radziecki płk Stefan Maksimkina. Podczas gry w szach ostrzegał mnie, że Informacja chce mnie aresztować, lecz on się na to nie zgodzi, ponieważ uważa, że jestem niewinny. Po objęciu stanowiska komendanta OSŁP przez mjr Bronisława Krynickiego w dniu 22.09.1954 roku, przesłuchania nasiliły się. Nadmieniam, że do każdego protokolowanego przesłuchania załączałem raport do Ministra Obrony Narodowej o przeniesienie mnie do rezerwy. Na żaden z powyższych raportów, a było ich jedenaście nie otrzymałem odpowiedzi. Ostatnie przesłuchanie w Informacji Wojskowej w Oficerskiej Szkole Łączności Przewodowej w Sieradzu było już przesłuchaniem mnie jako podejrzanego. Postawiono mi zarzut, że jako dowódca Grupy Szturmowej Placówki byłem odpowiedzialny za dwa magazyny uzbrojenia zapasów nienaruszalnych do czasu mobilizacji. Uzbrojenia tego nie zdałem, ani też nie ujawniłem ich lokalizacji. Odpowiedziałem, że uzbrojenia tego nie przyjmowałem, a przyjmował je mój poprzednik. Poprzednik po mianowaniu mnie na swojego zastępcę wskazał mi dwa zamaskowane wejścia do w/w magazynów uzbrojenia. Zlokalizowane one były w zboczu wzgórza stanowiącego pole uprawne. Magazyny te zostały opróżnione przez nieznanymi sprawców jeszcze przed moim ujawnieniem. Drugi zarzut całkowicie nieprawdziwy brzmiał, że dałem rozkaz strzelania do oddziału Armii Ludowej we wsi Porąbki. Oświadczyłem, że takiego rozkazu nie wydawałem. Moja grupa nie użyła broni, ani ja

nie dałem rozkazu strzelania. Oddział, który zatrzymałem i przepuściłem był oddziałem BCh dowodzonym przez Stanisława Michalskiego. Powiedziałem w czasie przesłuchania, że udowodnię, że broni użył wymieniony oddział. W czasie spotkania z dowódcą tego oddziału poprosiłem by napisał oświadczenie o faktycznym przebiegu zajścia, w którym winna być zawarta informacja, że to jego oddział użył broni strzelając na wiwat. Takie oświadczenie przy mnie napisał i potwierdził, że osobiście prześle je do odpowiednich wyższych władz we wsi Bieliny. W tym czasie jego brat Józef Ozga Michalski prosił o oświadczenia, że on je przekaze odpowiednim władzom. Oświadczenie widocznie dotarło, gdyż nie wzywano mnie więcej na przesłuchania. Ponieważ nie udało się mnie aresztować, postanowiono zwolnić mnie z wojska w ramach czystki zwanej redukcją armii. Do rezerwy przeniesiony zostałem w 1955 roku.

Pragnę wspomnieć, że niezwłocznie po przejściu do cywila utrzymywałem stały kontakt z wojskiem. W pierwszym okresie byłem członkiem Klubu Oficerów Rezerwy, który działał przy Wojskowej Komendzie Uzupełnień pod przewodnictwem kapitana Biernata. Po powstaniu Związku Byłych Żołnierzy Zawodowych i Oficerów Rezerwy Wojska Polskiego niezwłocznie wstąpiłem do tej organizacji. Nadmieniam, że w wyżej wymienionych organizacjach starałem się pracować aktywnie, za co otrzymałem szereg dyplomów oraz medal „XXV-lecie Związku Byłych Żołnierzy Zawodowych i Oficerów Rezerwy Wojska Polskiego”. Wszystkie te wyróżnienia są dla mnie cenne, ale najbardziej cenię sobie honorową odznakę 15 Sieradzkiej Brygady Wsparcia Dowodzenia.

Szerszy opis służby w Wojsku Polskim, w tym i w OSŁP opisuję w przygotowanej przeze mnie książce pt.: „Życie i Walka w Górach Świętokrzyskich w XX wieku”, w której niezależnie od moich wspomnień umieszczam wspomnienia innych żołnierzy Armii Krajowej.

Ppłk w st. spocz. Józef Kowalski

Sieradz 05.06.2007 r.

Od redakcji.

Pan Pułkownik Józef Kowalski odszedł od nas na wieczną wartę w dniu 07.10.2008 roku. Pozostał w mej pamięci człowiekiem niezwykle prawym i przyjacielskim w stosunku do wszystkich ludzi, z którymi się spotykał. Jego życie było niełatwe i burzliwe. Często doświadczało go bardzo mocno, nie szczędząc mu trosk i zmartwień. Mimo to był zawsze pogodny i otwarty do spraw i ludzi. Potrafił znaleźć się ponad ludzkimi podłościami. Posiadał wiele pozytywnych cech charakteru typowych dla większości żołnierzy AK. Redagując powyższe materiały nasuwały mi się pytania , na które niestety nie miał mi już kto odpowiedzieć. Pozostała tylko pustka i żal. Spoczywaj w spokoju Panie Pułkowniku!

Jan Kowalski

Ppłk Roman Kuszak



WSPOMNIENIA

Służbę wojskową rozpocząłem jesienią 1961 w Oficerskiej Szkole Łączności w miejscowości Zegrze koło Warszawy.. Pierwszy etap służby sprawiał mi problemy adaptacyjne, co było wynikiem tego, że przed służbą wojskową pracowałem i osiągnąłem już pewną pozycję w pracy. Rozpoczynając służbę wojskową znalazłem się w nowym środowisku ludzi z całej Polski, o różnych poglądach, przyzwyczajeniach i charakterach. Pochodzę z rodziny wielodzietnej. Było nas razem pięcioro, w tym czterech chłopaków. Ja byłem kolejnym po starszym bracie Tadeuszu tak, więc byłem przyzwyczajony do karności i życia w większym skupisku rodzinnym. Służba to jednak inny rodzaj przystosowania. Wymaga ona współpracy tych wszystkich młodych ludzi do wspólnego działania. Warunki służby były trudne. Sale żołnierskie stanowiły pomieszczenia na 24 ludzi bez przepierzeń, połączone długim holem aż do służby dyżurnej. Razem było nas ponad 120 żołnierzy. Kompania ta była oznaczona numerem 5 a dowodził nią niezwykle przystojny kapitan Sadowski Leonard i miał do pomocy jednego etatowego d-cę plutonu Wasilewskiego Bolesława.

Pozostałe plutony dowodzone były przez nieetatowych dowódców, podchorążych z ostatniego roku takich jak sierż. pchor. Kułak Bogdan, Bień Marian, Wiatr i innych, których nazwisk nie pamiętam.

SIERADZ i służba wojskowa została jakby wpisana na stałe do mojego życia już od 1962 roku gdzie trafiłem na praktykę jako podchorąży na stanowisko d-cy drużyny.

Praktykę odbywałem w Szkole Podoficerskiej

Komendantem Szkoły był - mjr Utecht Józef.

D-cą kompanii - kpt. Mróz Antoni

D-cą plutonu - por. Adamczuk Stanisław.

Praktyka była trudna, ale nie pozbawiona swoistego uroku wojskowego. Było to dobre spotkanie z rzeczywistością, najbardziej pamiętam z tego okresu zajęcia taktyczne, które w tym czasie odbywały się na tzw. łęgach, terenach znajdujących się pomiędzy podzamczem a rzeką Wartą. Dotarcie do tego placu ćwiczeń to pokonanie praktycznie całego miasta przez stary rynek i dalej w dół na łąki, w kierunku wschodnim do Warty. Odcinek ten pokonywano ze śpiewem, niosąc ze sobą, oprócz wyposażenia osobistego, skrzynie z amunicją i granatami, nosze sanitarne, apteczkę, tudzież inne elementy szkoleniowe. Powrót, pomimo zmęczenia, odbywał się ze śpiewem. Miejscowa ludność Sieradza lubiła wojsko i za ładny śpiew oklaskiwała przechodzących żołnierzy, co świadczyło o więzi, jaka łączyła tę ludność z wojskiem tutaj stacjonującym. Z innych oficerów, których pamiętam z tego okresu a służących w tej kompanii to por Kowal, ppor. Rawicki Aleksander-były prymus oficerskiej szkoły, który po skończeniu Wojskowej Akademii Technicznej pracował w tej uczelni pod kierunkiem generała Kaliskiego. Następane spotkanie z Sieradzem to dalsze szkolenie specjalistyczne w jednostce znajdującej się w tym mieście. To tutaj był najnowszy sprzęt na tamte czasy: radiolinie R-400 i R-402. To tutaj Oficerska Szkoła Łączności postanowiła przygotować fachowców z tej dziedziny kierując na dalsze szkolenie swoich podchorążych. Cały pluton o tej specjalizacji zaczął swoje szkolenie na bazie szkoleniowej 15 Pułku Radioliniowo Kablowego. Pod

kierunkiem mjr Szwecja Zygmunta rozpoczęło się żmudne szkolenie teoretyczne a następnie praktyczne. Trwało to od kwietnia do sierpnia 1964 roku. Wykładowcami oprócz wymienionego kierownika byli tacy oficerowie jak mjr Wośko Maksymilian, por Malec Marian, ppor. Korski Andrzej, ppor. Domański Zdzisław, ppor. Juraszko, a w praktycznym szkoleniu pozostała kadra. Na zdjęciu nr 1 przedstawiam skład plutonu radioliniowego szkolonego w 15 Pułku Radioliniowo Kablowym: patrząc od góry Zygmunt Mańkowski, Marek Węc, Andrzej Jastrzębski, Zygmunt Strugacz, Teodor Łabęda, Jan Soroczyński, Zbigniew Bancierz, Roman Kuszak, Gerard Gorlewicz, Bolesław Klimczak, Marek Sowiński, Edward Neubert, Kazimierz Sobczuk, Jan Mielczarek, Zbigniew Kuczuk, Jan Szpak, Henryk Kozłowski, Andrzej Kucia, Andrzej Kogus, Ryszard Mazur, Stanisław Cyga, Michał Kaczalski, Andrzej Glanc, J. Janas. Opiekunem tej grupy i dowódcą plutonu był kpt. Stanisław Skibiński. Był to dobry skład ludzi wzajemnie się szanujących i wspomagających.

Po teoretycznym przygotowaniu braliśmy udział we wszystkich zajęciach praktycznych i ćwiczeniach organizowanych na szczeblu MON. W miesiącu czerwcu był budowany kierunek radioliniowy od Warszawy do Gdyni Oksywie i dalej przez Wejherowo do Wicka Morskiego. Była to magistrala wybudowana na radioliniach R-400 i R-402, która była realnym przykładem, że takie kierunki składające się z około 20 stacji pracują i to całkiem niezle. Trzeba również zaznaczyć, że tylko 15 pułk z Sieradza umiał taki kierunek wybudować i utrzymać łączności przez dwa tygodnie. Był to na tamte czasy najnowszy sprzęt radioliniowy w Polsce. Po zakończeniu ćwiczeń i zakonserwowaniu sprzętu następowało przygotowanie do wyjazdu poligonowego całego pułku do Beniaminowa k/ Białobrzeg. Jest to teren znajdujący się w okolicach obecnego Zalewu Zegrzyńskiego. Obozowisko zostało rozwinięte w lesie i następował całodobowy cykl szkolenia poligonowego. Czas był tak wypełniony, że nie starczyło go już na rozmyślenia. Tam też zdawaliśmy egzaminy ze znajomości sprzętu radioliniowego R-400, R-402, R-405, R-403, central telefonicznych i telegraficznych

PLUTON-IV RADLIN.



Z. Szmalc



J. Węc



A. Jastrzebski



Z. Hruszcz



A. Kuciel



J. Joroczynski



Z. Baniarz



K. Kuziak



G. Grolowicz



D. Klimczak



M. Jowinski



E. Neubert



K. Sobczak



J. Mrozinski



Z. Kuziak



J. Szpak



H. Kozlowski



J. Kucia



A. Kogus



K. Kozur



H. Cyga



H. Kozalski



A. Glanc



J. Janas

Zdjęcie nr 1

„Dukat” oraz z współpracy z elementami węzłów łączności. Moim egzaminatorem był mjr Makowski Stanisław, który w tym czasie był przedstawicielem Szefostwa Wojsk Łączności a z którym miałem bardzo często kontakt w czasie dalszej służby wojskowej, aż do chwili obecnej. Był moim d-cą batalionu w Sieradzu, był d-cą brygady w Wałczu, jest Prezesem Światowego Związku Żołnierzy Łącznościowców – wyjątkowo sympatyczny człowiek i wspaniały organizator. Po egzaminach, na koniec sierpnia powróciliśmy do Zegrza by przygotować się do promocji, która odbyła się 13 września 1964 roku.

SŁUŻBA ZAWODOWA W SIERADZU.

Do Sieradza stawiliśmy się do służby zawodowej 15 października 1964 roku. Z tego samego pociągu wysiadł również ppor. Marian Jakubowski. Jednostkę znałem, więc Mariankowi objaśniłem jak ma się poruszać na początku. Do Sieradza zameldowało się nas 19 oficerów, gdyż takie było wtedy zapotrzebowanie. Pozwolę sobie wymienić ich nazwiska. Wymienię najpierw oficerów, którzy ukończyli specjalność radioliniową: Strugacz Zygmunt, Kuszak Roman, Klimczak Bolesław, Neubert Edward, Mielczarek Jan. Z innych specjalności przybyli: Franus Szymon, Grzybkowski Henryk, Krawiec Czesław, Jakubowski Marian, Szcześnik Marek, Domagała Mieczysław, Rojek Ryszard, Zmełty Rudolf, Majewski Stanisław, Śliwiński Andrzej, Brylikowski Stanisław, Dubiel Tadeusz, Więclawski Jerzy, Klejnowski Henryk.

Mnie przydzielono na stanowisko d-cy radiolinii R-400 w 5 krl dowodzonej w tym czasie przez kpt. Szewczyk Henryka. Kompania wchodziła w skład 1 batalion dowodzonego przez mjr Pietkiewicza Henryka, szefem sztabu był kpt. Jagóra Zenon. Kompaniami w batalionie dowodzili: por Jarosz Stanisław, kpt. Szewczyk Henryk, por Zbrojewski Wiesław, por Holak Eugeniusz. W skład 5 kompanii wchodziły 4 plutony; 3 plutony radiolinii R-400 i pluton kablowy posiadający 5 wozów kablowych po 4 km kabla na pojeździe. Pluton radioliniowy posiadał etatowo samochód osobowo-terenowy lub motocykl M2 do dyspozycji d-cy plutonu

oraz 3 radiolinie R-400 lub R-402 (te radiolinie były radioliniami przelotowymi, mogły odgałęzić tylko 3 kanały – mowa o R-402, pozostałe radiolinie były 12 kanałowe). Zastępcą do spraw technicznych d-cy kompanii był por Korski Andrzej.

D-cą 1 plutonu był por Brzozowski Czesław, d-cami radiolinii byli ppor. Płonka Daniel (po ukończeniu WAT-u pracował w Instytucie Łączności w Zegrzu), Śliwiński Andrzej (pracował kolejno w Wałczu a następnie w Tomaszowie Mazowieckim), Kuszak Roman (służbę wojskową realizował w Sieradzu).

D-cą 2 plutonu był por Lotzwik Leon (po skończeniu studiów prawniczych został radcą prawnym w jednostce, a następnie w WSZW w Sieradzu), d-cami radiolinii byli por. Wasilewski Zygmunt (później pracował w Zegrzu), por Bromboszcz Edward (wspaniały sportowiec gimnastyk, wcześniej podupadł na zdrowiu i przeniósł się do Krakowa).

D-cą 3 plutonu był por. Łopuszyński Jan. Po ukończeniu WAT-u został skierowany na radiowca w Wałczu. D-cami radiolinii byli ppor. Neubert Edward (kolejno zajmuje stanowiska instruktora młodzieżowego, zastępcę do spraw wychowawczych a następnie po ukończeniu studiów zostaje wykładowcą w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Zmechanizowanych w Wrocławiu), ppor. Szczeciński Bogdan (służbę wojskową realizował w Sieradzu).

D-cą 4 plutonu kablowego był ppor. Szcześnik Marek, wesoły warszawiak, który wkrótce przeniósł się do Warszawy, a obowiązki jego pełnił sierż. Grabowski Eugeniusz.

Szefem kompani był wymagający od siebie i podwładnych st. sierż. Gustaw Marian (to pierwsze jest nazwiskiem). Był to zespół bardzo zgrany i wesoły.

Zajęć nam nie brakowało. Praktycznie jedne ćwiczenia się kończyły i wyjeżdżaliśmy na następne, nie mówiąc o zajęciach doskonalących na terenie sieradzkiego, gdzie przegrupowaliśmy się po nawiązaniu łączności na nowe stanowisko i tak po3 i więcej razy. Były to zajęcia bardzo uciążliwe, ale przynoszące efekty szkoleniowe. Wszystkie te zajęcia nadzorowane były przez zastępcę ds. liniowych, frontowca ppłk Wypycha Tadeusza.

Wspominam jedno z pierwszych ćwiczeń, na których otrzymałem zadanie zabezpieczyć łączność radioliniową dla marynarki wojennej. Jednostka ta wyprowadziła sprzęt z Wejherowo na teren północno-wschodni, powyżej Bartoszc. Tam po odnalezieniu SD bardzo szybko zabezpieczyłem łączność radioliniową, za co osobiście podziękował mi kmdr Łaskarzewski, dowódca jednostki łączności z Wejherowa. Po kilku dniach jednostka przeniosła się systemem alarmowym w rejon Elbląga na tereny depresyjne. Noc była deszczowa, co utrudniało dotarcie do tego kompleksu leśnego o podłożu gliniastym. Wybrałem drogę do wyznaczonego miejsca nowego postoju od strony zachodniej, co okazało się moim sukcesem, gdyż większość kolumn sama się zablokowała na śliskiej nawierzchni. Gdy rano o godz. 05:00 kmdr Łaskarzewski zobaczył mnie na nowym miejscu jak zaczynam się rozwijać, a łączność miał już o 08:00 na wszystkich kanałach, to po zakończeniu ćwiczeń d-ca pułku płk Sadowski przyznał mi nagrodę w wysokości pensji.

Wiele jest miłych wspomnień z czasu tej służby, ale każde z nich było okupione wielkimi trudami życiowymi. Panowała taka zasada: „najpierw łączność a później jedzenie”. Tak postępowało 90% kadry, a wielu z innych jednostek łączności zastanawiało się jak oni to robią, że potrafią utrzymać takie długie kierunki radioliniowe. Odpowiedź jest jedna, chęci, ambicja, właściwe kierownictwo i nadzór techniczny ze strony takich osób jak ppłk Szwej Zygmunt,

Kpt. Korski Andrzej, mjr Nowak Jan i Antoni (byli to inżynierowie o tej specjalności), por Szczeciński Bogusław, który jako zastępca d-cy kompanii, a później inżynier batalionu, nie dawał spokoju, gdy nie był pewien, że wyeliminował jakieś niedociągnięcie. Znam jedno takie ćwiczenie, gdzie „BOGUŚ” zaliczył wszystkie maszty radioliniowe (wysokość masztu to 30 metrów) by sprawdzić i przekonać się, że wszystko zostało właściwie podłączone i nie popełniono żadnego błędu. Większość czynności wykonywał w nocy, gdy był najmniejszy ruch telekomunikacyjny. Tych ludziach się już nie pamięta, bo czas zaciera pamięć, ale to są wspaniali ludzie, do dzisiaj aktywni i

pracowici. To są ludzie, na których można liczyć do dnia dzisiejszego.

POCZĄTKI POWSTANIA 15 BRYGADY RADIOLINIOWO KABLOWEJ.

Powstanie Brygady to nie tylko zwiększenie stanu osobowego, ale zaopatrzenie w nowy sprzęt radioliniowy R-404, który różnił się od poprzedniego większą ilością kanałów (24 kanały). Sprzęt ten zaczął docierać już od początku roku 1968. Najpierw trzy stacje radioliniowe i tak sukcesywnie do 29 sztuk, które zabezpieczały etat jednego batalionu. Zmieniła się struktura organizacyjna, powstały dwa bataliony radioliniowe.

<u>1 bnl</u>	d-ca	Dyl Medard
	szef sztabu	Zasada Wiesław
	d-ca 4 krl	Domagała Mieczysław
	d-ca 5 krl	Korski Andrzej
	d-ca 6 krl	Domański Zdzisław
	d-ca 7 krl	Holak Eugeniusz

<u>2 bnl</u>	d-ca	Jagóra Zenon
	szef sztabu	Szewczyk Henryk
	d-ca 14 krl	Kułak Bogumił
	d-ca 15 krl	Lotzwick Leon
	d-ca 16 krl	Bromboszcz Edward
	d-ca 17 krl	Michalski Jerzy

Poza tymi „sztandarowymi” batalionami były trzy bataliony kablowe, w tym jeden skadrowany. O jego strukturze na pewno dokładnie opiszą koledzy, którzy w tym czasie w tych batalionach służyli. Dodatkowo były dwie kompanie zabezpieczenia: kompania techniczna, którą dowodził Czesław Krawiec i kompania zaopatrzenia dowodzona przez Szaflika. Szkołą podoficerską dowodził Utecht Józef.

Głównym specjalistą od rozpracowania nowego sprzętu był mjr Szwej Zygmunt, który opracował takie schematy ułatwiające zapoznanie się z tym sprzętem, że nawet producenci tego sprzętu

prosili o udostępnienie tej myśli by mogli z tego korzystać. Sieradz nie tylko jako jednostka wojskowa, ale i jako miasto został rozślawiony od dobrej strony. Ja także na zmianach etatu jednostki skorzystałem. Zostałem wyznaczony na stanowisko d-cy plutonu a wkrótce p.o. d-cę 5 krl (kpt. Korski Andrzej skierowany został na WKDO w Zegrzu a następnie rozpoczął studia inżynierskie). Skład dowództwa tej kompanii przedstawia zdjęcie nr 2.



Zdjęcie nr 2

Dowództwo 5krl z 1970 roku

D-ca kompanii	kpt. Korski Andrzej	– trzeci od lewa z dołu,
d-ca 1 pl.	por Malinowski Waldemar	– drugi od lewa z dołu,
d-ca 2 pl.	kpt. Kuszak Roman	– pierwszy od lewa,
d-ca 3 pl.	por Rubiś Andrzej	– czwarty od lewa z dołu,
mechanik samochodowy kompanii	sierż. Owczarek Stanisław	– pierwszy od lewa u góry,
szef kompanii	sierż. Konieczko Jacek	– obok

Brakuje technika kompanii słynnego kpt. Szczecińskiego Bogdana.

Na tym zdjęciu nie ma pełnego składu kompanii, brakuje d-ców obsługi radiolinii R-400. Przytoczę nazwiska tych, których pamiętam: ppor. Połczański Stefan, sierż. Walkowiak Waclaw, por Kaduk Lucjan, por Więcek Jan, ppor. Stańczak Jerzy, ppor. Mojski Leszek, ppor. Twardowski Tadeusz, chor. Borawski Kazimierz, chor. Świętochowski Piotr, chor. Budzisz Ryszard, mł. chor. Kuzior Adam, mł. chor. Kieltyka, sierż. Osetek Ryszard czy następcą wymienionego wcześniej technika kompani kpt. Tumielewicz Zbigniew.

Wszystkich tych ludzi przedstawia zdjęcie nr 3 z 1979 roku, z przekazania obowiązków d-cy kompanii kpt. Wierzbickiemu Czesławowi.



Zdjęcie nr 3

Wymieniłem wielu swoich podwładnych, bo naprawdę zasłużyli sobie na pochwałę. Byli ludźmi pracowitymi, budowali kierunki i osie radioliniowe, za co byliśmy często wyróżniani i

doceniani przez naszych przełożonych i nie tylko przełożonych, ale również kolegów z innych jednostek, którzy często stwierdzali, że jak, „Sieradz zabezpiecza im łączność, to będą się mogli wszędzie dodzwonić, nawet do swoich najbliższych rodzin”. Nie chwałę się, ale właśnie ta 5 krl, wpierv na R-400, a po 1968 roku na R – 404, uczestniczyła we wszystkich zajęciach i ćwiczeniach poligonowych. Pewnie, dlatego, że nie mieli przełożeni z nami nigdy żadnych problemów.

Zdjęcie nr 4 przedstawia tablo kadry i żołnierzy 5 krl odchodzących do rezerwy wiosną 1975 roku.



Zdjęcie nr 4

UROCZYSTE SPOTKANIE ABSOLWENTÓW OFICERSKIEJ
SZKOŁY ŁĄCZNOŚCI – promocja 1964.

Po 15 latach służby w sieradzkiej jednostce wojskowej w dniu
05.10.1979. Zdjęcie nr 5.



Zdjęcie nr 5

Dowódca batalionu, pułku i brygady w latach 1962 –1979

Płk rez. Sadowski Stanisław

Dowódca kompani podchorążych z Zegrza

Płk rez. Sadowski Leonard

Dowódca brygady pełniący obowiązki

Płk Osóbka Józef

Szef sztabu zastępca dowódcy brygady

Płk Wilanowski Zbigniew

Zastępca dowódcy brygady do spraw politycznych

Mjr Wanat

Szef służb technicznych zastępca dowódcy brygady

Ppłk Sztrauch Jerzy

Zastępca dowódcy brygady do spraw liniowych

Ppłk Utecht Józef

Kwaternistrz zastępca dowódcy brygady

Ppłk Pacek Władysław

Pozostali uczestnicy to absolwenci promocji 1964 (patrząc od lewej strony): mjr Klejnowski Henryk, mjr Grzybkowski Henryk, mjr Domagała Mieczysław, zastępca ds. lin, mjr Kuszak Roman, mjr Franus Szymon, mjr Jakubowski Marian, d-ca kompanii pchor., d-ca brygady płk rez. Sadowski Stanisław, kwaternistrz, zastępca ds. politycznych, mjr Dubiel Tadeusz, mjr Neubert Edward, dowódca brygady, mjr Majewski Stanisław, szef sztabu, mjr Więclawski Jerzy, mjr Brylikowski Stanisław, zastępca ds. technicznych, mjr Klimczak Bolesław. Była to kadra, która pełniła służbę zawodową w Sieradzu od 1964 roku.

KOLEJNE ETAPY SŁUŻBY W BRYGADZIE.

Kompanię 5 przekazałem w 1979 roku kpt. Wierzbickiemu Czesławowi. Zostałem wyznaczony na stanowisko szefa sztabu 2 brl gdzie d-cą był mój pierwszy d-ca kompanii w Sieradzu, zrównoważony mądry, tym razem już ppłk Szewczyk Henryk. Szefem służb technicznych był mjr Żołądkowski Jan, któremu podlegali inż. mjr Szczecinki Bogdan, por. Godziński Tadeusz – samochodziarz, st. chor. Landos Kazimierz- technik zasilania (agregaciarz), Polak Andrzej-technik radioliniowy. Zastępcą d-cy batalionu ds. politycznych był kpt. Szuba Edward, a oficerem sztabu kpt. Dąbrowski Jan.

Dowódcami kompanii kolejno byli kpt. Połczański Stefan (po przeniesieniu do Skierniewic obowiązki od niego przyjął kpt. Strużyk Tadeusz), kpt. Stręgiel Czesław (zastępuje go na tym stanowisku Bogus Krzysztof), kpt. Ropa Józef, mjr Grzybowski Bolesław.

Wkrótce nastąpiła zmiana na stanowisku d-cy batalionu. Na to stanowisko wyznaczony został absolwent Akademii Sztabu

Generalnego mjr Liwak Janusz, bardzo zrównoważony, mądry oficer. Po praktyce został oddelegowany na wyższe stanowisko służbowe w brygadzie, a następnie na stanowisko komendanta WKU w Sieradzu. Mnie wyznaczono na stanowisko d-cy 2 brl i na tym stanowisku pełniłem obowiązki od 1985- 1990 roku. W tym okresie Brygada została wyposażona w nowy sprzęt R-412. Ponieważ brak było oficjalnego etatu, a szkolenie musiało się odbywać, d-ca brygady płk Kubera Aleksander po naradzie podjął decyzję, że jedna kompania będzie się szkoliła w podwójnej specjalności: R-404 i R-412. D-cą tej kompani został młody, ale energiczny por. Laszczyk Ryszard. Dowodził on później samodzielną kompanią troposferyczną, a następnie batalionem łączności dalekosiężnej. Batalion przekazałem ppłk Chwastowskiemu Romanowi, a ten po praktyce rocznej przekazał dowodzenie kpt. Kamińskiemu Lechowi. Dalszą służbę pełniłem w sztabie brygady aż do jej zakończenia w grudniu 1991 roku.

Służba wojskowa w Sieradzu przyniosła mi wiele doświadczeń życiowych, zajmowałem kolejno wszystkie stanowiska: d-cy drużyny i pomocnika jako podchorąży w szkole podoficerskiej a następnie jako oficer d-cy stacji R-400, d-cy plutonu R-404, d-cy kompani R-404, szefa sztabu batalionu, d-cy batalionu, oficera sztabu brygady. Aktualnie udzielam się w Stowarzyszeniu Przyjaciół 15 Sieradzkiej Brygady Wsparcia Dowodzenia gdzie jestem członkiem zarządu. W Światowym Związku Polskich Żołnierzy Łącznościowców wraz z kolegą ppłk rez. Gajdzińskim Tadeuszem jesteśmy w składzie Zarządu Głównego Związku, któremu przewodniczy Prezes płk rez. Markowski Stanisław. Jestem także członkiem Związku Byłych Żołnierzy Zawodowych i Oficerów Rezerwy.

Przepraszam tych kolegów, których nie ująłem w swoich wspomnieniach. Jest to wynik zacierania się w pamięci odległych faktów i przeżyć. Apeluję do kolegów by opisywali historię tej jednostki, w której służyli. Z pozdrowieniami dla czytających.

Pplk w st. spocz. Kuszak Roman

Sieradz 12.01.2008 r.



Płk Władysław Pacek

WSPOMNIENIA PO LATACH MINIONYCH

Urodziłem się w dniu 01.01. 1929 r. w m. Świnna Poręba w gminie Mucharz, pow. Wadowice. Rodzice prowadzili gospodarstwo rolne o powierzchni 3 ha w tym 1 ha stanowiły nieużytki. Słaba górska gleba z trudem pozwalała na utrzymanie czteroosobowej rodziny. Gdy miałem pięć lat zmarł mój ojciec. Prowadzenie gospodarstwa spoczęło na barkach mojej matki, która nie mając innej pomocy, zmuszona była szukać jej wśród swoich dzieci. Sytuacja materialna naszej rodziny, szczególnie na przednówku, bywała bardzo trudna.

W ósmym roku życia rozpocząłem naukę w szkole podstawowej. Teraz moje życie młodzieńcze przebiegało pomiędzy wykonywaniem prac wskazanych przez matkę, uczestniczeniem w zajęciach w szkole oraz odrabianiem późnym wieczorem (przy lampie naftowej) w domu, zadanych w szkole prac do wykonania.

Nadszedł rok 1939. Już od wczesnej wiosny słyszałem w rozmowach dorosłych słowa budzące zaniepokojenie: Hitler, wojna. Nie w pełni je wówczas rozumiałem. W dniu 1-go września zajęcia

w szkole zostały odwołane. Na niebie pojawiły się pojedyncze, wysoko lecące samoloty z czarnymi krzyżami na skrzydłach, poza tym panowała złowieszcza cisza. Radio było na wsi przedmiotem niedostępnym, więc informacji żadnych nie było. Czyżby już wojna? Padały pytania. Była niedziela. W pewnej chwili od strony Wadowic dało się słyszeć narastający odgłos nadlatujących samolotów. Po pewnym czasie zauważyłem samoloty. Było ich dziewięć sztuk. Leciąły na niewielkiej wysokości, nad traktem kolejowo-szosowym prowadzącym w kierunku Suchej Beskidzkiej. W pewnej chwili, z kierunku Góry Jaroszowickiej, zaczęła strzelać do tych samolotów artyleria. Bezskutecznie. Samoloty wroga poleciały dalej. Następnego dnia, pracując w polu, zauważyłem grupę niemieckich żołnierzy. Stało się – pomyślałem – i pobiegłem z wiadomością do domu. W następstwie owych zdarzeń, tereny położone na zachód od owego traktu kolejowo-szosowego włączone zostały do III Rzeszy. Na płynącej obok traktu Rzece Skawa utworzona została wschodnia granica Rzeszy. Z terenów „włączonych” rozpoczęto wywozić na roboty do Niemiec tzw. wolną ludność (nie prowadzącą gospodarstwa i nie posiadającą stałej pracy). System ten trwał przez cały okres okupacji. W marcu 1944 roku dosięgnął on także mnie i moich kolegów. Zostałem przewieziony do miejscowości Bielsko-Biała i zatrudniony w fabryce zbrojeniowej Guster Josephy's Erben. Wraz początkiem stycznia 1945 roku, na ulicach spokojnego dotąd miasta życie zaczęło stawać się nerwowe. Z dnia na dzień pojawiała się coraz więcej wojska wraz z ciężkim uzbrojeniem. W zakładach pojedynczy robotnicy sugerowali opuszczenie fabryki, żeby zapobiec wywiezieniu załogi w głąb Rzeszy. Wraz z kolegami wróciłem do rodzinnej miejscowości tuż przed zbliżającym się frontem.

Pewnego ranka dało się słyszeć gwałtowną strzelaninę we wsi, eksplodowało też kilka większego kalibru pocisków, po czym nastąpił spokój. Pojawili się radzieccy żołnierze, napili się wody i poszli za wycofującymi się niemieckimi oddziałami. Działo się to 26 stycznia 1945 roku. Po kilku miesiącach zakończyła się wojna. Z przymusowych robót wracali mieszkańcy z okolicznych

miejsowości.. Potrzebna była praca, której niestety nie było. Z biegiem czasu na ulicach miasta pojawiają się ulotki mobilizujące do osiedlania się na terenach odzyskanych np.: „Kto na Zachód jedzie – zapobiega wszelkiej biedzie”. Hasła owych ulotek zaczęły pozytywnie skutkować. W 1947 roku wyjechałem do Wałbrzycha. Podjąłem tam pracę w Spółdzielni pracy „Metalowiec”. Pracowałem w niej do września 1949 roku.

W sierpniu 1949 r. podjąłem decyzję odbycia zasadniczej służby wojskowej. Zgłosiłem się do Komisji Poborowej w RKU w Wałbrzychu. Zaproponowano mi służbę w jednostce artylerii plot. Zgodziłem się. Po pewnym czasie otrzymałem kartę powołania z terminem stawienia się 04.10. 1949 r. w 86 Łużyckim Pułku Artylerii Plot w Poznaniu, i tak znalazłem się w szeregach Wojska Polskiego.

Po zakończeniu szkolenia podstawowego i złożeniu przysięgi wojskowej ogłoszono nabór na Kurs Podoficerów Administracji.. Zgłosiłem się do uczestniczenia w tym kursie. Kurs ukończyłem w kwietniu 1950 roku i otrzymałem stopień kaprała.. Nastąpił powrót do jednostki macierzystej. Dalsze szkolenie odbywałem na poligonie w Mrzeżynie jako pisarz w kancelarii żywnościowej pułku.

Po pewnym okresie ogłoszono w jednostce nabór chętnych do szkół oficerskich. Za namową kolegów pisarzy z innych służb zgłosiłem swój akces. Skierowano mnie do wybranej szkoły na egzaminy. We wrześniu 1950 r. otrzymałem skierowanie wraz z kolegą do Oficerskiej Szkoły Służb Kwatermistrzowskich w Poznaniu, którą ukończyłem w grupie Szefów Zaopatrzenia Żywnościowego w sierpniu 1951 roku w stopniu chorążego.

Po urlopie zameldowałem się w Sztapie ŚOW. Otrzymałem skierowanie do pełnienia służby w 5 Dywizji Pancerniej. Ze sztabu dywizji skierowany zostałem na stanowisko Szefa Zaopatrzenia Żywnościowego w 26 Pułku Czołgów i Artylerii Pancerniej w Garnizonie Gubin, dokąd z grupą oficerów dotarłem w porze nocnej. Następnego dnia przybyliśmy do Komorowa k /Gubina, gdzie pełnić mi przyszło zawodową służbę wojskową. Na odprawie u dowódcy pułku otrzymaliśmy informacje o stanie faktycznym jednostki oraz zadania do realizacji, po czym wraz z kwatermistrzem pułku

poszedłem zapoznać się ze stanem faktycznym gospodarki żywnościowej oraz czekającymi mnie najpilniejszymi zadaniami do wykonania. Służba, którą przyszło mi kierować nie istniała. Wszystko trzeba było rozpoczynać od początku i to jak najszybciej. Po kilku dniach dotarło do jednostki zaopatrzenie wraz z niezbędnymi drukami ewidencyjnymi. Zawarte zostały porozumienia z dostawcami cywilnymi zaopatrzenia bieżącego, przybyli żołnierze z innych jednostek pionu żywnościowego, rozpoczęła pracę kuchnia żołnierska. Mogłem trochę odetchnąć. Systematycznie zwiększał się stan osobowy pułku a wraz z nim zaopatrzenie w produkty, sprzęt i materiały. Niebawem okazało się, że w garnizonie Komorów jestem jedynym Szefem Zaopatrzenia Żywnościowego. Na moje barki spadło zaopatrzenie kilku pułków i samodzielnych batalionów. Obsługiwanie ich przekroczyło moje możliwości. Personel kancelarii żywnościowej nie był w stanie obsłużyć takiej ilości żywnionych. Nie nadążał z opracowywaniem i ewidencją materiałów. Prośby do dowódcy o pomoc pozostawały bez echa. Trzeba było samemu usiąść za biurkiem. Jeden pisarz nie był w stanie wykonać wszystkiego. Trzeba też było zorganizować, zgodnie z zarządzeniem przełożonych, gospodarkę hodowlaną, a następnie rolną gospodarkę przykoszarową. W kwietniu 1952 r. przybył na kontrolę służby żywnościowej oficer prokuratury – wyników nie poznałem. Po paru miesiącach otrzymuję wezwanie na rozmowę do sztabu ŚOW. Temat – kurs kwatermistrzowski. Zgodziłem się. Złożyłem o tym meldunek dowódcy pułku. Z zażenowaniem wysłuchałem decyzji dowódcy – „nie dopuści do tego, bo się pułk zawali”. Jednak przybył na moje stanowisko oficer, któremu przekazałem obowiązki służbowe. Termin rozpoczęcia kursu minął, a skierowania dowódca pułku nie wydał. W końcu listopada nastąpiła zmiana dowódcy pułku. Otrzymałem zadanie natychmiastowego udania się do Szkoły Służb Kwatermistrzowskich w Poznaniu.

Po ukończeniu kursu w 1953 roku otrzymałem przydział do Dywizjonu Artylerii Rakietowej w Komorowie na stanowisko kwatermistrza. Jednostka ta samodzielnej gospodarki nie prowadziła. Organizowałem i prowadziłem remont obiektów

koszarowych oraz rozbudowę bazę garażowej w garnizonie, a także utrzymanie obiektów niezbędnych jednostce na poligonie w Żaganiu.

W 1954 roku powierzono mi cz.p.o. kwatermistrza pułku zmechanizowanego. Jesienią 1954 r. przypadło mi zadanie przedyslokowania kwatermistrzostwa pułku z Komorowa do Gubina w miejsce rozformowanego tam pułku zmechanizowanego. W 1955 r. przeprowadziłem służby kwatermistrzowskie na poligon w m. Biedrusko k/Poznania. Po pewnym czasie wrócił etatowy kwatermistrz pułku z misji wojskowej w Wietnamie, któremu przekazałem faktyczny stan gospodarki.

Ze sztabu dywizji otrzymałem skierowanie na stanowisko kwatermistrza w batalionie rozpoznawczym dywizji. Od dowódcy batalionu, do którego zameldowałem się na poligonie, otrzymałem informację, że batalion w warunkach poligonowych gospodarki kwatermistrzowskiej nie prowadzi, ponieważ zgodnie z rozkazem dowódcy dywizji jest na ten czas na żywnościowym zaopatrzeniu innej jednostki. Natomiast w garnizonie Kostrzyn nad Odrą, gdzie stacjonuje, prowadzi samodzielnie gospodarkę kwatermistrzowską. Obowiązki służbowe miałem przyjąć po powrocie do garnizonu. Zajmowałem się więc aktualnymi sprawami gospodarczymi i szkoleniowymi. W trakcie obejmowania obowiązków służbowych w garnizonie zapoznałem się z istniejącymi, dość znacznymi szkodami w gospodarce żywnościowej i kwatermistrzowsko-budowlanej. Zajęcie się likwidacją owych szkód uniemożliwił mi fakt pilnej potrzeby opracowania planów mobilizacyjnych batalionu. Upoważnień do prac mobilizacyjnych nie posiadali szefowie służb kwatermistrzowskich – byli to podoficerowie. Jesienią 1956 r. skierowany zostałem na stanowisko kwatermistrza stacjonującego w tym garnizonie pułku zmechanizowanego, który wiosną 1957 r. przyszło mi rozformowywać. Po jego rozformowaniu skierowany zostałem z powrotem do pełnienia obowiązków kwatermistrza owego batalionu rozpoznawczego. Nastąpiła też zmiana na stanowisku dowódcy batalionu. Podjąłem czynności zmierzające do wyjaśnienia powstałych szkód. Przystąpiłem też do realizacji rozkazu dowódcy dywizji w sprawie urządzenia, zgodnie z

wymogami regulaminu, rejonu zakwaterowania pododdziałów batalionu. Przeprowadzona przez komisję kontrola wykonania owego rozkazu wypadła pomyślnie. Jesienią 1957 r. otrzymałem propozycję objęcia stanowiska kwatermistrza pułku w Komorowie k/Gubina. Ze względu na zaistniałe warunki rodzinne, na w/w propozycję nie wyraziłem zgody. Pozostałem na dotychczasowym stanowisku. Ostatecznie udało mi się zlikwidować istniejących szkody.

W pierwszych dniach stycznia 1960 roku skierowany zostałem do Wojskowego Ośrodka Szkolenia Ogólnego Nr 1 w Łodzi. Szkolenie to ukończyłem w styczniu 1961 r. Ze świadectwem dojrzałości zameldowałem się w kadrach ŚOW.

Skierowano mnie na stanowisko kwatermistrza do batalionu inżynieryjno-budowlanego w Garnizonie Skwierzyna. Po przybyciu do Skwierzyny dowiedziałem się, że batalion jeszcze nie istnieje. Był załączek batalionu składający się z części etatowej kadry zawodowej, natomiast żołnierzy służby zasadniczej jeszcze nie było. Z każdym dniem zwiększał się stan osobowy batalionu. Po kilku tygodniach prac organizacyjnych batalion rozpoczął realizację określonych prac remontowo-budowlanych, tak w miejscu formowania jednostki, jak i w wyznaczonych garnizonach na terenie ŚOW. Jesienią 1962 roku Szefostwo Służby Inż.-Bud. zdecydowało przeniesieniu batalionu do Krotoszyna. Dyslokacja jednostki przebiegała dość sprawnie, lecz problemem stało się zakwaterowanie rodzin kadry. Występował tu całkowity brak kwater. Trwała jednak intensywna praca wykończeniowa budynku mieszkalnego. Zasiedlony on został jeszcze w grudniu tego roku. Gdy nadeszła zima, na ścianach bloku pojawiła się gruba warstwa szronu, usunął go dopiero silny wiatr. Nadeszła wiosna. Rodziny kadry przystąpiły do zagospodarowania przydzielonej przez UM Krotoszyn ziemi, przeznaczonej na ogródki działkowe. Współpraca z Urzędem Miasta była dobra. Obiekty koszarowe, pamiętające okres schyłkowy XVIII wieku, nieremontowane od lat, wymagały gruntownego remontu. Nie było jednak planów ani środków finansowych. Aktualnie prowadziliśmy więc tylko tzw. „sposobem gospodarczym” naprawy zabezpieczające. Nadeszła śnieżna i bardzo

mroźna zima roku 1963/1964. Spowodowała ona znaczne szkody w instalacji wodno-kanalizacyjnej, które jak najszybciej, w trudnych warunkach musieliśmy usuwać. Na początku roku rozpoczęła się kontrola stanu gospodarki służb kwatermistrzowskich batalionu przez Komisję Oddziału Rewizji Śląskiego Okręgu Wojskowego. Wynik tej kontroli był pozytywny.

W czerwcu 1964 r. wezwany zostałem, wraz z dowódcą batalionu, do Szefostwa Służby Inż.-Bud., gdzie otrzymałem inną propozycję dalszej służby. W przerwie rozmowy dowódca zaproponował żebym pozostał na dotychczasowym stanowisku. Propozycję szefostwa odrzuciłem i razem z dowódcą wróciłem do Krotoszyna. Jednak po upływie paru tygodni przybył oficer w celu przejęcia moich obowiązków służbowych, po czym zostałem skierowany do dyspozycji kadr Głównego Kwatermistrzostwa Wojska Polskiego.

Pod koniec listopada 1964 roku otrzymałem w Głównym Kwatermistrzostwie WP skierowanie do Szefostwa Wojsk Łączności MON. W SWŁ MON otrzymałem propozycję podjęcia dalszej służby wojskowej w pułku łączności w Sieradzu – zgodziłem się. W pułku zameldowałem się w dniu 01.12. 1964 r. Powierzono mi pełnienie obowiązków zastępcy kwatermistrza pułku. Kwatermistrem pułku był wówczas mjr Ireneusz Josz. W czasie odprawy w kwatermistrzostwie zostałem zapoznany z szefami zaopatrzenia oraz z ogólną sytuacją mieszkaniową w garnizonie, w tym także z organizacją i podporządkowaniem pułku. Zakwaterowany zostałem w internacie mieszczącym się w rejonie obecnej Izby Chorych. Mieszkało tu kilkunastu oficerów, podchorążych oraz podoficerów zawodowych. Przystąpiłem, zgodnie z wytycznymi kwatermistrza, do opracowania planu zamierzeń gospodarczych oraz planu szkolenia na 1965 rok, a następnie do ich realizacji. W marcu 1965 r. oddany został nowy blok mieszkalny dla kadry przy ulicy Mickiewicza. Mieszkańcy internatu otrzymali przydzielony kwater służbowych. Fakt ten nie rozwiązał całkowicie problemu mieszkań w garnizonie, ale jednak nastąpiła w tym zakresie pewna poprawa. W latach następnych budowano i oddawano do użytku nowe bloki mieszkalne. Kadry

wciąż przybywało w związku z powstaniem na bazie pułku Brygady Radioliniowo-Kablowej. Potrzeby mieszkaniowe rosły.

Pilnym problemem do rozwiązania stała się budowa kuchni, stołówki żołnierskiej oraz Klubu Garnizonowego. Opracowane zostały przez służbę zakwaterowania i budownictwa ŚOW stosowne plany. Zanim zaczęto je realizować brygada została podporządkowana dowództwu POW. Opracowane w ŚOW plany stały się nieaktualne. Zabiegi w powyższych sprawach należało rozpocząć od nowa. Gdy w POW owe plany zostały opracowane oraz wprowadzano je do realizacji nastąpiła kolejna zmiana podporządkowania brygady. Tym razem z POW do ŚOW. Dotychczasowe zabiegi ponownie speliły na niczym.

Latem 1965 roku otrzymałem zadanie opracowania planów mobilizacyjnych pułku i jednostek formowanych, organizowania pracy służb i magazynów w tym zakresie, współorganizowania ze sztabem pułku szkolenia i treningów w zakresie uzupełniania stanów osobowych.

Brałem też czynny udział w zabezpieczeniu ćwiczeń terenowych organizowanych przez wyższych przełożonych, w inspekcjach i kontrolach jednostki. Udział w ćwiczeniach dostarczał wiele uwag i spostrzeżeń w zakresie warunków bytowych małych grup żołnierzy. Uwagi te służyły do opracowywania propozycji w sprawie przygotowywania zestawów środków spożywczych w postaci konserw, różnego rodzaju zup, oraz chleba, a także opracowania nowych wzorów namiotów tzw. „grzybków”. Propozycje te kierowane były do organów zaopatrywania. Miały one, jak się później okazało, znaczący wpływ na poprawę warunków bytowych „małych grup żołnierzy” podczas ćwiczeń w terenie. Każde ćwiczenie dostarczało nowych spostrzeżeń, uwag i propozycji do rozważenia i wykorzystania praktycznego.

Nie mogłem sobie pozwolić na dłuższe przerwy w pracy, w kancelarii specjalnej. Częste zmiany danych i wytyczne przełożonych wyższych szczebli dowodzenia wymagały ciągłej aktualizacji już opracowanych planów, a ponadto wpływały na plany opracowywane przez pozostałe służby jednostki. Ich korelacja musiała być systematyczna, o czym przekonali się pracownicy

kancelarii, i nie tylko, podczas jednej z kontroli z Pomorskiego Okręgu Wojskowego. Zdarzały się przypadki, iż szefowie służb kwatermistrzowskich odbywali szkolenia w Ośrodkach Szkoleniowych, wtedy ich opracowania i uaktualniania spadały na moje barki. W występujących krótkich przerwach w pracach biurowych w kancelarii specjalnej, zajmowałem się innymi sprawami w kwatermistrzostwie, takimi jak praca Przedszkola Garnizonowego czy też działalność gospodarki przykoszarowej.

Działalność przedszkola nie wymagała mojej interwencji, za wyjątkiem okresu bezpośrednio po przyjęciu nowych dzieci. Zdarzały się przypadki, iż kandydatów bywało więcej niż miejsc w przedszkolu. Możliwości opiekuńcze niektórych rodziców nie wymagały pobytu ich dziecka w przedszkolu. Czasami wydawane więc były decyzje odmowne. Jednak zdaniem takich rodziców:

- co...! Moje dziecko nie zostało przyjęte?! No to ja wam pokażę!

W przedszkolach na terenie Sieradza nigdy nie było wolnych miejsc, ponadto zaś przestrzegano tam rygorystycznie zgodności: ilość miejsc = ilość przyjęć. Pod naciskiem - niekiedy przełożonych – przyjmowano do naszego przedszkola większą ilość dzieci. Jednak po niedługim czasie okazywało się, że dziecko do przedszkola nie uczęszcza, bo w domu ma lepszą opiekę. Takie i podobne zdarzenia zdarzały się cyklicznie.

W początku lat 60-tych ubiegłego wieku prowadzenie gospodarki przykoszarowej w jednostkach wojskowych nie było obowiązkowe. Zależało to od dowódcy jednostki oraz od możliwości jej prowadzenia. W jednostce prowadzona była od pewnego już czasu gospodarka hodowlana związana ściśle z potrzebami jednostki. Na prowadzenie gospodarki rolnej nie było warunków zarówno na terenie koszar jak i na zewnątrz.

Wraz z rozwojem jednostki teren koszar stał się zbyt skąpy, a potrzebne były garaże i place ćwiczeń. To spowodowało, że problem ten wszedł w fazę realizacji długofalowej i wielopłaszczyznowej w latach 1965-70 oraz w latach następnych. Powiększony został teren koszar, a to z kolei pozwoliło na rozbudowę parku samochodowego, magazynu paliw płynnych, wybudowanie nowego budynku chlewni,

a także budowę nowej drogi tzw. „Południowej” o twardej nawierzchni. Wybudowane zostały także nowe stacje transformatorowe zasilania energetycznego. Przebudowano plac alarmowy, na którym wymieniono nawierzchnię i oświetlenie. Powstały też wolne tereny, które zostały stopniowo wykorzystane w celach produkcji rolniczej służącej poprawie stanu żywienia oraz do przebudowy kuchni żołnierskiej. Wraz z rozwijaniem się jednostki coraz ciasniejsze stawały się sale żołnierskie ze spiętowanymi do granic możliwości łózkami. W stosownym czasie podjęte zostały czynności w celu budowy dodatkowego bloku koszarowego. Budowę uwzględniono w planach jako pilną, lecz od planu do realizacji zwykle droga bywa długa, a niekiedy wyboista. Nie było też hali sportowej, a istniejąca jej namiastka nie zapewniała ani potrzeb ani nie spełniała wymagań. Wolny teren był, bowiem w związku z rozbudową parku samochodowego – pojazdy znalazły się w jednym miejscu.

Nadszedł rok 1974. Do rezerwy, a właściwie w stan spoczynku, po latach służby i walkach frontowych w czasie wojny odszedł kwatermistrz ppłk Ireneusz Josz – człowiek doświadczony, spokojny i zrównoważony. Teraz stanowisko to powierzone zostało dotychczas pełniącemu obowiązki szefa zaopatrzenia mundurowego. Energicznie przystąpił on do realizacji swoich zamierzeń. Skupił się najpierw na rozruszaniu gospodarki rolnej przez wykorzystanie pozostałej wolnej przestrzeni na terenie koszar, oraz intensyfikacji hodowli trzody chlewnej, na co pozwalały warunki uzyskiwane w gospodarce kuchennej i rolnej, a także na działalności pralni. Niebawem ujawnił się jego konfliktowy charakter. Wszędzie podejrzewał spisek i podstęp, co owocowało w różnego rodzaju zatargi. Nie mniej jednak rozpoczęta intensyfikacja działalności rolno-hodowlanej przyniosła efekty, które w latach następnych były rozwijane. Zwiększono hodowlę trzody w ramach możliwości żywieniowych. Powstało też swego rodzaju „ogrodnictwo” dostarczające pewnej ilości ogórków, pomidorów i innych warzyw do kuchni żołnierskiej i do kasyna celem urozmaicenia przyrządzanych posiłków dla żywionych stanów osobowych. Była to działalność niejako dodatkowa do zadań wynikających z realizacji

Planów Szkoleniowo-Gospodarczych na dany rok kalendarzowy, ale wymagające systematycznego kierowania i nadzoru. Powstawały nowe budynki mieszkalne dla kadry oraz rozpoczynano budowę kolejnych budynków w Garnizonie Sieradz.

Latem 1978 roku kwatermistrz brygady, za zgodą Kwatermistrza Zastępcy Dowódcy ŚOW, odchodzi do garnizonu Łódź w POW. Powierzono mi pełnienie obowiązków kwatermistrza w tutejszej jednostce wojskowej jako p.o. kwatermistrza. Problemy kwatermistrzostwa i garnizonu były mi dobrze znane. Podjąłem dalszą pracę nad ich rozwiązywaniem.

Do służby żywnościowej przybywa, w miejsce odchodzącego na zasłużony odpoczynek weterana wojny, nowy pomocnik szefa zaopatrzenia żywnościowego.

Wpływają zalecenia organów zaopatrujących dalszej intensyfikacji gospodarki przykoszarowej na rok 1979 i dalsze lata. Podczas jednej z narad w kwatermistrzostwie ustalamy wstępny zakres działań wynikających z zaleceń przełożonych, szczególnie w zakresie dalszej intensyfikacji gospodarki hodowlanej. Aktualne możliwości produkcji żywca pokrywają zabezpieczenie potrzeb mięsa wieprzowego na około 30 dni, a „zalecenia” nakazują do 45 dni. Zezwalają one też na możliwość dokonywania zakupów potrzebnych w tym celu pasz. Zagospodarowane zostały dalsze wolne pola na produkcję pasz zielonych. W ogrodnictwie natomiast postawiony został drugi namiot foliowy dla uprawy pomidorów. Hoduje się trzodę chlewną na wybiegach częściowo zadaszonych. Służby kwatermistrzowskie wraz z kompanią zaopatrzenia biorą czynny udział w szkoleniu bieżącym, zgodnie z programem szkolenia, jak też w ćwiczeniach taktycznych.

Latem 1979 roku następuje niespodziewana zmiana na stanowisku dowódcy jednostki. Odchodzi w stan spoczynku wieloletni dowódca płk inż. Stanisław Sadowski. Doświadczony i ceniony oficer. Bardzo mocno przyczynił się do rozwoju naszej jednostki i Garnizonu Sieradz. Wskutek jego działań zniknął w Sieradzu brak mieszkań dla kadry. Urealniły się plany poprawy warunków zakwaterowania żołnierzy, (o czym wspomniałem wyżej).

Do garnizonu przybył, na stanowisko dowódcy jednostki, płk Józef Osóbka równie doświadczony oficer-dowódca.

Dowódcy zmieniali się, a życie w jednostce toczyło się dalej. Pod koniec 1980 roku zaczęło następować stopniowe zachwianie na rynku zaopatrzeniowym także dla potrzeb wojska. Odtąd coraz częściej trzeba było sięgać do własnej przykoszarowej gospodarki, przede wszystkim po mięso. Okazało się bowiem, wbrew niektórym sceptykom, że hodowla trzody w takim stanie rozwoju była uzasadniona. Wykazał to w całej rozciągłości rok 1981. W pewnej rozmowie z dowódcą jednostki usłyszałem zdanie: „jak to jest, że za działalność gospodarki hodowlanej, co jakiś czas, niektórzy otrzymują gratyfikacje pieniężne, a za gotowość bojową wyszkolenie i stan techniczny sprzętu itp. – tylko uposażenie”.. Tak więc na odcinku gospodarczym nie można było w aktualnych warunkach poluzować.

Zaczęły napływać sygnały o pojawiających się trudnościach w zaopatrzeniu w opał z kopalń i koksowni. Organy zaopatrujące zalecały gromadzenie w tym celu drewna. Należało niezwłocznie wejść w kontakt z nadleśnictwami. Jednostka uzyskała zezwolenie (zgodę) na pozyskanie potrzebnej ilości drewna z terenu stanowiącego dno Zalewu Jeziorsko. Drewno to, zgodnie z decyzją dowódcy, odzyskiwane było przez wyznaczoną grupę żołnierzy. Tak więc posiadany zapas opału (węgiel, koks) oraz pozyskane drewno w pełni zabezpieczało potrzeby jednostki, w tym również potrzeby opałowe bloków mieszkalnych, ogrzewanych przez własne kotłownie centralnego ogrzewania.

Sytuacja na rynku zaopatrzenia stawała się z każdym dniem trudniejsza. Okoliczni gospodarze zaprzestali dostarczać ziemniaki do jednostki.. Ingerencje nie przynosiły pozytywnego skutku. Aby uzyskać pełne zaopatrzenie jednostki w ziemniaki trzeba było wejść w kontakt z najbliższą Spółdzielnią Produkcyjną i przy pomocy własnych sił fizycznych i transportowych uzyskane ziemniaki dostarczyć do magazynu jednostki. Praktycznie nie było to zadanie łatwe, gdyż operatorzy maszyn odmawiali zakładowi pracy wykonywania stawianych im zadań. Zdarzało się, że żołnierz służby zasadniczej siadał na ciągnik i wyorywał ziemniaki w polu.

Wprowadzony został stan wojenny. Zaopatrzone pododdziały w przysługujące im wg normy zaopatrzenie udały się na wyznaczone im kierunki do wykonania zadań. Przed kwatremistrzostwem, głównie przed służbą żywnościową i służbą MPS, stało główne zadanie nawiązania kontaktów z najbliższymi jednostkami wojskowymi w celu zaopatrzenia w artykuły spożywcze znajdujących się w ich pobliżu pododdziałów łączności sieradzkiej jednostki. Tak więc pod względem zaopatrzenia żywnościowego i medycznego większych problemów nie było. Zaopatrzenie w materiały pędne i smary dokonywane było przez własną służbę MPS z zasobów własnych oraz z Baz i Składow Wojskowych. Jednak nie obeszło się w tym zakresie bez problemów. Wysoki stan zaśnieżenia terenu oraz specyfika rozwijania radiolinii w najwyższej położonych i trudnodostępnych miejscach spowodowała, że cysterny paliwowe nie były w stanie dotrzeć tam z paliwem. W związku z powyższym czasami trzeba było korzystać z transportu lotniczego celem dostarczenia paliwa dla zapewnienia nieprzerwanej pracy sprzętu łączności.

Działanie w tamtych ekstremalnych warunkach było dobrą szkołą dla służb zaopatrzenia, szczególnie zaś dla służby MPS. Prowadzone bieżące kontrole pracy pododdziałów w zakresie zapewnienia warunków bytowych stanowi osobowemu oraz zbieranie z terenu informacji w sprawie zaopatrzenia pozwalało eliminować problemy codziennego życia i pracy działającym w terenie pododdziałom. Rażących niedociągnięć działania tyłów w terenie na rzecz zapewnienia pracy i warunków bytowych pododdziałom łączności nie było.

W garnizonie życie i działalność szkoleniowo-gospodarcza przebiegała dość spokojnie. Dało się obserwować stopniową poprawę w zaopatrzeniu i rytmie życia.

Nadszedł czas przechodzenia do rezerwy kolejnych żołnierzy zawodowych w związku z osiągnięciem wieku emerytalnego. Odejścia do rezerwy i związane z tym pożegnania miały różny charakter. Jedni pożegnania organizowali dla ścisłego grona kolegów. Inni organizowali je dla liczniejszego grona w Klubie Garnizonowym, a jeszcze innych żegnano z udziałem

pododdziałów na placu alarmowym. Każde jednak pożegnanie powodowało odczucie rozerwania się pewnego łańcucha w danej grupie osobowej, jaki zawiązał się podczas pełnienia służby wojskowej. Nadszedł czas, w którym i ja osobiście znalazłem się na tej drodze. Przebywając na kuracji w Sanatorium Wojskowym w Kudowie-Zdroju spotkałem pewnego dnia kwatermistrza zastępcę dowódcy ŚOW. Usłyszałem od niego informację o planowanym zwolnieniu do rezerwy. Nie rozumiałem jej w pełni, ze względu na hałas panujący w pomieszczeniu. Domyślałem się jednak znaczenia owej wypowiedzi. Po powrocie z sanatorium przystąpiłem do dalszej pracy. Latem 1982 roku wezwany zostałem do kwatermistrzostwa ŚOW. Podczas spotkania z udziałem innych kwatermistrzów jednostek wojskowych okręgu usłyszałem pełną informację, której nie rozumiałem podczas spotkania z kwatermistrem ŚOW w Kudowie. Parę tygodni później ponownie wezwano mnie do Śląskiego Okręgu Wojskowego. Tym razem zostałem oficjalnie poinformowany o zamiarach wobec mnie. Miałem przejść na poprzednio zajmowane stanowisko z zachowaniem dotychczasowego uposażenia lub odejść do rezerwy. Podjąłem decyzję o przejściu do rezerwy. Polecono mi wrócić do jednostki i podjąć czynności związane z przekazaniem obowiązków służbowych. Po powrocie do jednostki przedstawiłem dowódcy cel podróży służbowej oraz podjętą decyzję. W następnych dniach przystąpiłem do przekazywania obowiązków oficerowi kwatermistrzostwa wyznaczonemu przez dowódcę jednostki.

Pod koniec lipca 1982 roku zostałem, wraz z innymi oficerami kwatermistrzostwa okręgu, pożegnany w sztabie ŚOW we Wrocławiu.

W brygadzie zostałem pożegnany przez dowódcę i przez kolegów. Odbyło się również uroczyste pożegnanie na zbiórce brygady z udziałem pododdziałów i kadry. Odczytany został rozkaz personalny, po czym odbyła się defilada.



Sieradz, sierpień 1982 r. Dowódca brygady płk Józef Osóbka żegna odchodzącego do rezerwy ppłk Władysława Packa.



Sieradz, sierpień 1982 r. Pożegnanie odchodzącego do rezerwy ppłk Władysława Packa. Na zdjęciu w pierwszym rzędzie od lewej strony: mjr Szymon Franus, ppłk Władysław Pacek, ppłk , mjr Brzozowski; w drugim rzędzie: mjr Bolesław Klimczak, kpt. Jerzy Cieśla, mjr Janusz Liwak, chor. Jan Kielbasiak, mjr Tadeusz Gajdziński.

Z dniem 13 sierpnia 1982 roku odszedłem do rezerwy. Tak więc moja kariera wojskowa dobiegła końca.

Pplk w st. spocz. Władysław Pacek

Sieradz 27.03.2008 r.



Pplk mgr Jan Stanisław Jeż

PIERWSZY TYDZIEŃ W SIERADZU

13 października, w niedzielę, około północy z grupą kolegów, absolwentów Oficerskiej Szkoły Łączności w Zegrzu, ruszaliśmy pociągiem w kierunku Bydgoszczy. Poprzedniego dnia, w święto Wojska Polskiego, przed Grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie złożyliśmy uroczyste ślubowanie oficerskie, będące ostatnim aktem przed objęciem pierwszego w życiu stanowiska służbowego w wojsku. Z tego też powodu wspominam o tym wydarzeniu. Z uroczystości tej, oprócz defilady, właściwie niczego nie pamiętam. Utrwalił mi się natomiast jeden drobny, nic nieznaczący epizodzik z przygotowań do ślubowania, które odbywały się na pasach startowych warszawskiego lotniska. Zgrupowaniem dowodził ówczesny dowódca Warszawskiego Okręgu Wojskowego gen. bryg. Zygmunt Huszcza. Kiedy któregoś dnia generał ogłosił przerwę na odpoczynek, ponad dwutysięczny tłum młodej kadry oficerskiej legł na murawie. Wówczas jakiś śmiałek z zegrzyńskiego zgrupowania niespodziewanie wrzasnął: Prymus Zmechu! Na to wezwanie zerwał się wyprężony jak struna młody oficer z wrocławskiej kuźni generałów i odpowiedział:

Jestem! Wówczas wspomniany dowcipniś dodał: Widzisz tego zająca na pasie startowym?! Goń go! Wszyscy wybuchnęliśmy potężnym śmiechem, a wywołany oficer wtopił się w tłum.

Nad ranem dotarliśmy do Bydgoszczy. Pieszko ruszyliśmy w kierunku siedziby Dowództwa Pomorskiego Okręgu Wojskowego, mieszczącej się w kompleksie budynków przy ul. Dwernickiego 1, po przydział pracy. Oprócz nas snuły się również inne, lecz nieco mniejsze, grupy reprezentantów pozostałych szkół oficerskich. Objuczeni do granic możliwości, każdy z potężną, tekturową, zieloną walizą i olbrzymim, również zielonym worem, a więc z tym wszystkim, co dała nam Ojczyzna, niczym rozproszona karawana wielbłądów dotarliśmy wreszcie przed bramę sztabu. Zmęczony nie myślałem chyba wówczas o przydziale miejsca służby, ale o bezsensowności wyposażania nas w te wszystkie dobra już w szkołach oficerskich i wieloetapowego przemieszczania się z nimi. Po promocji do domu, potem do Warszawy na przygotowanie do oficerskiego ślubowania, następnie do siedziby dowództwa okręgu wojskowego lub rodzaju sił zbrojnych i wreszcie do miejsca służby. A w naszym wyposażeniu znajdowały się m.in. następujące przedmioty: mundur polowy z kurtką zimową, mundur wyjściowy, trzy płaszcze (sukienny, ortalionowy, gumowany), koszule, kilka kompletów bielizny osobistej, buty ze spinaczami, tenisówki, dwie czapki, szaliki, kilka par skarpet i rękawiczek, menażka, manierka, niezbędnik, mapnik, raportówka, a nawet skóra na zelówki i guma na fleki do butów. Sądziłem wówczas, być może niesłusznie, że młodych, dwugwiazdkowych obrońców Ojczyzny w to wszystko można byłoby wyposażyć już w stałym miejscu pracy.

Zaabsorbowany tymi myślami stanąłem wreszcie przed obliczem wysokiej, decydującej o mojej przyszłości, komisji. Rozmowa była krótka, oschła i sprowadzała się do trzech propozycji: garnizon Sieradz, Jednostka Wojskowa 1551 lub 15. Brygada Radioliniowo-Kablowa, co dla zorientowanych oznaczało to samo. Wybór, na który mi formalnie pozwolono, nie był więc trudny.

Dwudziestojednoosobową grupą, składającą się z siedemnastu radioliniowców i czterech specjalistów łączności dalekosiężnej,

zwanych powszechnie kablowcami, wsiedliśmy późnym wieczorem do pociągu, by o świcie, po przesiadkach w Karsznicach i Zduńskiej Woli, zameldować się w miejscu naszego przeznaczenia. Dla mnie, podobnie jak i dla większości moich kolegów, nie był to nieznany garnizon. Jako podchorążowie drugiego rocznika odbywaliśmy tutaj w lipcu 1967 roku praktyki dowódcze, a w maju następnego roku tak zwane szkolenie warsztatowe, podczas którego ppłk Zygmunt Szwej, ppłk Marcei Kamiński, mjr Antoni Nowak, mjr Grześkowiak, ppor. rez. Antoni Strugiński i chor. Kazimierz Landos oraz sierż. Stanisław Płachta odkrywali przed nami tajniki eksploatacji stacji radioliniowych, a por. Jan Brzózka i ppor. Lucjan Kaduk uczyli nas ich rozwijania. Kiedy przez okna pociągu dostrzeżliśmy wysoki maszt antenowy, to wiedzieliśmy, że od dworca kolejowego dzieli nas już niecały kilometr. Uchylając okna pociągu, spodziewałem się mocnego uderzenia fetoru emitowanego przez miejscową gorzelnię, czego doświadczyłem podczas poprzednich pobytów w Sieradzu. Po wyjściu z pociągu zapach okazał się jednak mniej dokuczliwy niż przedtem. Więc kiedy ruszyliśmy przez pola na skróty w kierunku koszar, to uświadomiłem sobie, że również sierż. Kowal, dowódca patrolu WSW, z racji posiadanych przez nas oficerskich stopni też nie będzie tak dokuczliwy jak poprzednio. A wcześniej to dał się on nam we znaki niesamowicie. Chyba czuł jakąś awersję do podchorążych, bo czepiał się wprost wszystkiego. Nie żądał okazywania przepustek, gdyż wiedział, że wszyscy mamy rozkazy wyjazdu, ale za to wymagał od nas przeróżnych legitymacji; a to do znaczków KMW, a to do odznak MOSFiz kolejnych stopni, a to do odznak „Wzorowego Żołnierza” lub innych. Kiedy rozpoznaliśmy jego rzeczywiste intencje, solidarnie oświadczaliśmy, że tych dokumentów przy sobie nie mamy, a on konsekwentnie spisywał nas i wysyłał meldunki. W rezultacie przysłano z Zegrza naszego dowódcę batalionu ppłk Józefa Śmielaka, by uzdrowił sytuację, choć w rzeczywistości należało chyba uzdrowić upodobania dowódcy patrolu.

Ze świadomością, że te dwie przeszkody nie są już groźne, przekroczyliśmy bramę koszar, a tu skrupulatnie zajęli się nami kpt.

Tadeusz Łagunowski i por. Marian Bień ze sztabu brygady. Zaprowadzili nas do internatu mieszczącego się w koszarach bezpośrednio nad kasynem, gdzie w przydzielonych pokojach złożyliśmy bagaże, potem na śniadanie. Zwracam uwagę na lokalizację tych dwóch instytucji, gdyż miało to duże znaczenie w naszej dalszej służbie. Korzystne, bo wszędzie było blisko, a przy tak licznej obsadzie etatowej w pododdziałach czas służbowy niektórzy mogli spędzać w internatowym łóżku. Złe, bowiem mogliśmy być angażowani do różnych zadań niemal przez całą dobę, a i z ułożeniem życia prywatnego mogły być problemy, choć z czasem jakoś sobie z tym radziliśmy.

Po śniadaniu zostaliśmy zaprowadzeni do sali obrad sztabu i tam czekaliśmy na przyście dowództwa oraz przydział do pododdziałów. Wreszcie kpt. Tadeusz Łagunowski, kadrowiec brygady, podał komendę do powstania, a w drzwiach pojawił się dowódca płk Stanisław Sadowski, za nim szef sztabu ppłk Zbigniew Wilanowski, zastępca ds. politycznych ppłk dr Ryszard Loch, zastępca ds. technicznych ppłk Jerzy Strauch oraz zastępca ds. liniowych ppłk Tadeusz Wypych. Kwatermistrza mjr Ireneusza Josza nie było. Rozpoczęły się wystąpienia dowódcy i jego zastępców. Coś tam mówili o czekających nas odpowiedzialnych zadaniach, o kierunkach i osiach radioliniowych, o stacjach węzłowych i przelotowych oraz o magistralach przewodowych. Z licznych wystąpień zapamiętałem jedynie, co mocno podkreślił dowódca, że sprzęt przejmemy dopiero po jego mistrzowskim opanowaniu, gwarantującym efektywne wykonanie zadań bojowych, co nastąpi nie szybciej niż po dwóch miesiącach oraz to, że od 30 lipca jednostka nie jest już pułkiem, ale brygadą, więc i zadania będą bardziej odpowiedzialne i nobilitujące. A dotyczyć to miało wszystkich żołnierzy, a młodych oficerów, rozpoczynających zawodową służbę wojskową, w szczególności. Z tego jednak, co wówczas i nieco później zauważyłem, ten awans organizacyjny ograniczał się wyłącznie do podwyższenia o jeden stopień etatów dowództwa i sztabu jednostki. Tak to wówczas odbierałem, gdyż rzeczywista struktura organizacyjna jednostki nie zmieniła się do końca mojej służby w Sieradzu. Być może nie wiedziałem

wszystkiego, a na pewno nie znałem planów mobilizacyjnych brygady, które mogły uzasadniać ten awans. Z wypowiedzi zapamiętałem jeszcze stwierdzenia ppłk Locha, że każdy z nas otrzyma opiekuna, swoistego anioła stróża i przewodnika w służbie, który będzie nam towarzyszył niemal na każdym kroku, by skutecznie wprowadzić nas w arkana służby zawodowej. Być może tak się też i stało, ale mój przewodnik musiał działać w sposób wyjątkowo dyskretny i zakamuflowany, gdyż jego, ani nawet jego cienia, nigdy nie udało mi się dostrzec.

Po tych wystąpieniach kpt. Łagunowski otworzył tajemniczą teczkę, wyjął z niej jeszcze bardziej tajemnicze dokumenty i odczytał przydziały. O ile mnie pamięć nie myli i któregoś z kolegów nie pominąłem, wyglądały one następująco:

1. Batalion Radiolinii: Stefan Bobruk, Zbigniew Kucharski, Stanisław Krzysiak, Andrzej Matyński, Leszek Mojski, Czesław Płonka, Stefan Pupeć (Połczański), Józef Ropa, Jerzy Stańczak;

2. Batalion Radiolinii: Jan Jeż (16. krl), Dariusz Kielich (14. krl), Ireneusz Kukieła (17. krl), Andrzej Leśniewski (14. krl), Mieczysław Mieszkuniec (14. krl), Wiesław Szadkowski (15. krl), Krzysztof Szajner (15. krl);

1. Batalion Łączności Dalekosiężnej: Tadeusz Gajdziński, Tadeusz Miedziak;

2. Batalion Łączności Dalekosiężnej: Wojciech Grochulski, Edward Szuba;

Szkoła Podoficerska i Młodszych Specjalistów: Zbigniew Tumielewicz.

Przydziały jak przydziały, przecież za wiele nie wiedzieliśmy o tych pododdziałach, ale zastanawiałem się wówczas, dlaczego przykładowo ja, jedyny w naszej grupie absolwent liceum pedagogicznego, a więc wykwalifikowany nauczyciel, nie trafiłem do szkoły podoficerskiej oraz dlaczego aż trzech specjalistów radiolinii R-404 otrzymało przydział na dowódców stacji R-400, a dwóch fachowców radiolinii R-400 zostało dowódcami stacji R-404. Jednak po kilku dniach, kiedy już trochę ochłonąłem i nabrałem odwagi, podzieliłem się swoimi wątpliwościami z przypadkowo spotkanym oficerem politycznym, choć byłem świadomy, że nic nie

da się już odwrócić, gdyż biurokratyczno-kadrowa machina już dawno została uruchomiona i zrobiła swoje. Ale zapytałem właśnie jego, gdyż i w Zegrzu, i podczas spotkania z dowództwem brygady wpajano nam, że do tych oficerów można zwracać się z wszystkimi wątpliwościami i problemami w każdej sprawie, w dowolnym czasie, nawet z pominięciem drogi służbowej. Skorzystałem więc z formalnie przysługującego mi prawa. W odpowiedzi usłyszałem, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, gdyż dowódca brygady wie, co robi, a „wy tylko czepiacie się i szukacie przysłowiowej dziury w całym”. Obejrzałem się za siebie, bowiem pomyślałem, że być może zatrzymał się przy nas któryś z moich kolegów. Zwracanie się przez „wy” zawsze mnie raziło, choć w szkole oficerskiej to właściwie tę formę niemal zaakceptowałem, gdyż przez całe trzy lata byłem zawsze tylko tą jedną trzydziestą plutonu. Myślałem natomiast, że podporucznik jest już samodzielną i autonomiczną jednostką osobową. A kiedy stwierdziłem, że koło nas nie ma nikogo, postanowiłem ustosunkować się do postawionych mi zarzutów, lecz mój rozmówca już odszedł.

Potem rozprawdzeni zostaliśmy do swoich batalionów. W 2. Batalionie Radiolinii spotkali się z nami: dowódca ppłk Zenon Jagura, zca ds. politycznych mjr Zdzisław Librowski, zca ds. technicznych mjr Antoni Nowak, szef sztabu kpt. Henryk Szewczyk, inżynier radiolinii kpt. Marian Malec, pomocnik szefa sztabu por. Edmund Bromboszcz, szef służby samochodowej ppor. Jerzy Witczak, instruktor polityczny ppor. Jerzy Bąk i technik zasilania chor. Kazimierz Landos. Tutaj odbyła się krótka rozmowa, przedstawienie wszystkich osób funkcyjnych, przypomnienie postawionych wcześniej zadań i szefowie kompanii zaprowadzili nas do macierzystych pododdziałów.

Dowódca 16. Kompanii Radiolinii por. Zbigniew Andrzejewski zrobił w świetlicy odprawę kadry, co zresztą robił bardzo często i to z dużą lubością, a zawsze najdłuższą trwającą ich częścią było właśnie czekanie na dowódcę kompanii. Przedstawił mnie oraz wszystkich żołnierzy zawodowych kompanii. Obsada etatowa kadry zawodowej kompanii wyglądała wówczas następująco: dowódca kompanii por. Zbigniew Andrzejewski,

pomocnik dowódcy kompanii ds. technicznych kpt. Jan Żołądkowski, dowódca 1. plutonu por. Czesław Krawiec, dowódca stacji ppor. Jan Jeż, dowódca stacji ppor. Jerzy Cieśla, dowódca stacji ppor. Józef Strączyński, dowódca 2. plutonu (dowódca stacji) por. Jan Moczulak, dowódca stacji Bolesław Dworzecki, dowódca stacji sierż. Henryk Pinkosz, dowódca 3. plutonu (dowódca stacji) por. Zbigniew Jaworski, dowódca stacji ppor. Jerzy Michalski, dowódca stacji ppor. Edward Karchut, szef kompanii st. sierż. Janusz Mucha (Muchowski) oraz technik samochodowy st. sierż. Stanisław Łęzak.

Potem dowódca kompanii w obecności dowódcy plutonu por. Czesława Krawca poinformował mnie, że od rana następnego dnia wraz z załogą, której jeszcze nie poznałem, przystępujemy do przyjmowania stacji radioliniowej, gdyż jej dotychczasowy użytkownik por. Tadeusz Mrozowski został już przeniesiony do kompanii technicznej i z niecierpliwością mnie oczekuje. Przekazanie miało odbywać się równolegle ze szkoleniem organizowanym przez sekcję techniczną batalionu oraz pomocników dowódców kompanii ds. technicznych. Ponadto dowiedziałem się, że przekazanie musi odbyć się w ciągu wtorku, środy i czwartku, gdyż od piątku 18 października wraz z przyjętą stacją i załogą wchodzę w system gotowości bojowej brygady. Postawione zadanie było bardzo poważne, więc ja podobnie starałem się je potraktować i w związku z tym chciałem zadać pytanie, ale por. Andrzejewski uprzedził mnie i powiedział, że zapowiedzianą przez dowódcę brygady dwumiesięczną karencją nie należy się przejmować, bo to tylko teoria i jak najszybciej trzeba o tym zapomnieć.

Tak zakończył się mój pierwszy dzień pracy na pierwszym w wojsku etatowym stanowisku służbowym. Potem obiad w miejscowym kasynie, gdzie na grupę nowo przybyłych podporuczników oczekiwał major Maksymilian Waśko o bladej, jakby przypudrowanej twarzy, z ogromną tęczką, zupełnie nieprzystającą do jego filigranowej postury. Był to chyba najmniejszy wzrostem oficer, jakiego kiedykolwiek w życiu spotkałem. Jego misja polegała na namawianiu nas, byśmy wstąpili

do wojskowego koła PTTK i wielu dla świętego spokoju, w tym również ja, mu uległo.

W pokoju internatowym, do którego udałem się po obiedzie, by rozpakować bagaże i wreszcie odpocząć po męczącym dniu pełnym wrażeń, spotkałem współlokatorów. Oprócz Andrzeja Leśniewskiego i mnie mieszkali w nim por. Jan Brzózka z 6. kompanii, który podczas majowego szkolenia uczył nas rozwijania stacji radioliniowej oraz ppor. Marek Nijak z o rok wcześniejszego wypustu, którego poznałem jeszcze w Zegrzu. W jego kompanii było wówczas czterech moich licealnych kolegów ze starszej klasy, których często odwiedzałem. A ponadto Marka, ze względu na jego specyficzny sposób bycia, znali chyba wszyscy. Po rozpakowaniu oraz wstępnym ułożeniu w szafie swojego dobytku miałem zamiar rzucić się na łóżko, lecz od kilku kolegów usłyszałem propozycję wyjścia na rozpoznanie miasta. Wówczas zmęczenie jakoś cudownie minęło. Szybko przebraliśmy się w cywilne ubrania, na które, po odpięciu naramienników, nałożyliśmy ortalionowe, zielone płaszcze, by udawać cywili. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że jesteśmy rozpoznawalni, gdyż co roku około połowy października do Sieradza zjeżdżała grupa oficerów porównywalna wielkością z naszą, o czym doskonale wiedzieli mieszkańcy miasta, a z racji szeleszczących płaszczy ortalionowych nazywali nas szeleszczącą młodą gwardią.

Przed wyjściem Jurek Michalski i Marek Nijak, późniejsi moi bliscy koledzy, ostrzegli nas, byśmy przypadkiem nie wstępowali do „Zamkowej”, a tym bardziej do „Sieradzanki”, bo to najgorsze oraz najniebezpieczniejsze speluny w mieście, wprost mordownie. Zalecali natomiast, byśmy raczej zajrzeli do kawiarni „Agawa” lub do restauracji w parku nad rzeką, powszechnie zwanej „Panderozą”, gdyż tam jest czysto, przyjemnie, a czasem można poznać jakieś dziewczyny. Zaznaczyli równocześnie, że jeśli chodzi o dziewczyny, a tym bardziej o ewentualne kandydatki na żony, to lepiej pojechać do Zduńskiej Woli, Kalisza lub Łodzi, a nawet do Warty. Zaznaczyli równocześnie, że wiedzą, co mówią, gdyż są w brygadzie uznawani za ekspertów w tej dziedzinie. Podziękowaliśmy im grzecznie za rady, choć były one dla nas

zbędne, gdyż w zdecydowanej większości nie byliśmy tutaj nowicjuszami.

W okolicach rynku okazało się, że z podobnymi zamiarami do miasta wyszli niemal wszyscy, o czym świadczyły wyłaniające się z zapadającego zmroku kolejne grupki szarozielonych postaci. Pospacerowaliśmy więc trochę po zaułkach miasta i pieszo wróciliśmy do koszar, by duchowo i fizycznie przygotować się do czekających nas jutro ważnych zadań.

Następnego ranka z pełnym niepokojem oraz zaciekawieniem trafiłem do swojego pododdziału. Dowódca kompanii wraz z dowódcą plutonu por. Czesławem Krawcem przedstawili mi moją załogę. W jej skład oprócz mnie wchodził: pomocnik dowódcy stacji kpr. Zbigniew Pyjor, starszy operator st. szer. Antoni Troszczyński, elektromechanik st. szer. Ludomir Korzeniowski, operator szer. Grzegorz Piątek, kierowca wozu aparaturowego szer. Waldemar Sapożnikow, kierowca wozu antenowego szer. rez. Tadeusz Szymajda, kierowca wozu zasilania szer. Tadeusz Mieszek. Obydwaj dowódcy poinformowali mnie, że jest to wysoko wykwalifikowana oraz zdyscyplinowana załoga, o czym świadczyć miał między innymi fakt, że na ośmiu żołnierzy aż trzech to członkowie partii (ja, mój pomocnik i kierowca wozu zasilania), co stanowiło ponad trzydzieści siedem procent upartyjnienia i było najwyższym wskaźnikiem w brygadzie. Popatrzyłem na swoich żołnierzy i od razu rozpoznałem, że jeden z nich, elektromechanik, był w grupie żołnierzy, która poprzedniego dnia miauczała w naszym kierunku, kiedy po spotkaniu w batalionie prowadzeni byliśmy do przydzielonych kompanii. Przypadek ten nie miał dla mnie większego znaczenia, gdyż żołnierze zrobili to, będąc w dużej grupie, a st. szer. Ludomir Korzeniowski był potem chyba moim najbardziej zdyscyplinowanym i odpowiedzialnym żołnierzem oraz świetnym kucharzem, co dla załogi często wyjeżdżającej na ćwiczenia było bardzo ważną umiejętnością.

Przekazywanie i przyjmowanie sprzętu miał nadzorować mój dowódca plutonu. I rzeczywiście razem z nim, por. Mrozowskim oraz całą załogą udaliśmy się do parku samochodowego, gdzie dowódca pokazał mi moje pojazdy. Równocześnie oznajmił, że będę

miał samochody szczególne, gdyż jako jedyne w brygadzie mają przed numerem rejestracyjnym litery UB, podczas gdy wszystkie pozostałe mają litery UH. I tak rzeczywiście było. Mój dowódca szybko się jednak gdzieś ulotnił, co – jak się później okazało – było jego szczególną specjalnością. Natomiast doraźnie pojawiał się kpt. Żołądkowski, a w drugim dniu również st. sierż. Łęczak.

Stacja radioliniowa R-404, mająca wewnętrzny numer ewidencyjny 19, a więc pierwszy w 16. Kompanii Radiolinii, posiadała numer fabryczny 060069567, mówiący między innymi o tym, że wyprodukowana została w maju 1967 roku. Zamontowana była na trzech samochodach typu ZiŁ 157, o numerach rejestracyjnych: aparatura UB 6225, wóz antenowy UB 6226 i wóz zasilania UB 6227. Stacja była urządzeniem prawie nowym i mało wyeksploatowanym, o czym świadczyło choćby to, że części zamienne radiotelefonu K-1, czyli popularnego kanarka, nadal znajdowały się w zielonej, drewnianej skrzyneczce. W pozostałych stacjach kompanii, a może nawet batalionu, skrzynki te, po wyłożeniu styropianowym wkładem, były podręcznymi barkami. Ich dotychczasowe zawartości były przeniesione do szufladowego segmentu na części zamienne, zwanego z rosyjskiego zipem. Z czasem, by nie naruszać jednolitości, też to uczyniłem.

Przyjęcie stacji wraz z kompletem map topograficznych, wykonanych w skali, o ile dobrze pamiętam, 1:10000 i pokrywających cały obszar kraju, zakończyłem w ciągu niespełna dwóch dni. Moi żołnierze zdążyli mnie też poinformować, że jeden blok synchronizacji nieustannie odmawia posłuszeństwa, a po naprawie w brygadowych warsztatach technicznych robi to samo najpóźniej w drugim dniu eksploatacji, natomiast samochód z aparaturą ma nieustannie przepały paliwa, choć o tym drugim zjawisku powiedzieli mi pod nieobecność jego kierowcy. Tak szybkie przekazanie sprzętu i dokumentacji było nie tyle moją zasługą, co por. Tadeusza Mrozowskiego, który w dowód wdzięczności za sprawną pracę obiecywał mi swoją dozą przyjaźni i pomocy w razie potrzeby. Jeszcze przed godziną piętnastą, czyli przed rozpoczęciem codziennej, długotrwałej odprawy, zdążyliśmy zameldować dowódcy kompanii i jego pomocnikowi

wykonanie zadania oraz podpisać odpowiednie dokumenty. Wręczenie referentki z numerem 19 zamykało formalny proces przyjęcia stacji, czyniło odpowiedzialnym za jej dalszą eksploatację oraz włączało w system gotowości bojowej brygady. Mnie natomiast w tych nowych obowiązkach najbardziej niepokoiło dodatkowe przyjęcie beczkowozu na wodę o pojemności chyba 1000 litrów, zresztą jedyne w kompanii, a może nawet w batalionie. W czasie ponad dwuletniego dowodzenia załogą stacji oraz wielokrotnych wyjazdów, skorzystałem z niego tylko raz podczas ćwiczeń „Wiosna 69”, gdyż wtedy miałem możliwość użycia obcego samochodu i pojechania po wodę do mleczarni w Człopie. Zawsze natomiast musiałem zabierać go na wszystkie zajęcia w terenie, co stwarzało dodatkowe kłopoty, a ponadto w parku samochodowym beczkowóz ten stał na wolnym powietrzu obok garażu, co wzbudzało zbędne zainteresowanie osób postronnych.

Od czwartku do soboty mogłem już bez żadnych przeszkód uczestniczyć w szkoleniu z obsługi i eksploatacji sprzętu, a kpt. Żołądkowski, który chyba mnie polubił i to z wzajemnością, pomagał mi nadrobić zaległości z dwóch dni zajęć. Już w trzecim dniu pracy w Sieradzu byłem kontrolnym kompanii. Funkcja ta, w tym czasie jeszcze mało znana w Wojsku Polskim, a o dwuzmianowej pracy wtedy jeszcze nie mówiono i chyba nawet nie myślano, była specjalnością sieradzkiej brygady. Jej istotą było to, że każdego dnia po południu zostawał w pododdziale jeden żołnierz zawodowy i prowadził szkolenie, ewentualnie nadzorował zajęcia prowadzone przez pomocników dowódców plutonów lub innych funkcyjnych. Szedł też z kompanią na kolację, nadzorował czyszczenie broni, organizował apel wieczorny, sprawdzał przebieg wieczornej toalety, a swoje zadania w tym dniu kończył po ogłoszeniu capstrzyku. W razie potrzeby wracał profilaktycznie po kilkunastu lub kilkadziesiąt minutach, by sprawdzić, czy żołnierze najstarsi służbą, czyli niemal wszechmocna rezerwa, nie naruszają tak zwanych stosunków międzyludzkich. Kontrolny w pełni swoje obowiązki kończył po sprawdzeniu zaprawy porannej, potem szedł do kasyna na śniadanie, a następnie przystępował do wykonywania codziennej pracy. Kontrolnych kompanii, których czasami było po

dwóch, kontrolowali kontrolni z dowództwa batalionu, a tych z kolei kontrolni z dowództwa brygady. O tym sieradzkim systemie nadzoru krążyły, o ile wiem nie tylko w Sieradzu, najprzeróżniejsze dowcipy, opowieści i niemal legendy. Czasami żartowaliśmy, że całe szczęście, iż nasza jednostka nie wchodzi w struktury którejś z dywizji, bo wówczas byłby kolejny szczebel kontrolnych.

Swoje pierwsze kontrolowanie, a był to czwartek 17 września, wykorzystałem na rozmowy z podwładnymi. Chciałem o nich wiedzieć jak najwięcej, a szczególnie o ich problemach, co chyba mi się udało. Wiedziałem na przykład, że kapralowi Pyjorowi nie powiodło się w szkole chorążych i z tego powodu miał ukrywane kompleksy. Że szer. Grzegorz Piątek, absolwent Państwowej Szkoły Technicznej w Łodzi, którego idolką była Maryla Rodowicz, ma w Łodzi narzeczoną i w najbliższych miesiącach zamierzają się pobrać. Wiedziałem też, że kierowca wozu antenowego szer. rez. Tadeusz Szymajda, odbywający długoterminowe ćwiczenia, jest na stałe kierowcą polewaczki w łódzkim przedsiębiorstwie oczyszczania i najpóźniej w najbliższą sobotę musi dotrzeć do swego pracodawcy, by załatwić formalności związane z jego pójściem do wojska. Dowiedziałem się ponadto, że elektromechanik st. szer. Ludomir Korzeniowski mieszka aż na Lubelszczyźnie i nie jest zainteresowany przepustkami jednorazowymi, natomiast satysfakcjonowałyby go kilkudniowe urlopy.

Popołudniami, jeżeli oczywiście były wolne, z Jurkiem Michalskim i Markiem Nijakiem spacerowaliśmy po mieście, wstępując czasami do „Agawy” lub „Panderozy”, ewentualnie do kina, którego, niestety, już nie ma. Wieczorami w gronie mieszkańców internatowego pokoju dyskutowaliśmy o codziennych sprawach i podczas jednej z pierwszych takich rozmów Marek Nijak zaproponował przyjęcie reguły „twoje – moje”. Jej urzeczywistnienie miało polegać na tym, że ten, kto pierwszy wróci z pracy, może bez żadnych ograniczeń korzystać z odzieży, koszul i obuwia swoich kolegów. Tę regułę Marek próbował stosować już wcześniej bez naszej akceptacji. Ponadto reguła ta nie bardzo mogła działać w stronę przeciwną, gdyż Marek zawsze wracał z pracy najwcześniej, a ponadto nie przywiązywał większej wagi do zakupu

tego typu artykułów, gdyż większość swoich dochodów przeznaczal na rozrywki oraz eksploatację solidnie już wysłużonej syrenki. Ta forma współistnienia z czasem stawała się dla nas uciążliwa.

W niedzielę 20 października byłem również kontrolnym. Do pododdziału dotarłem przed siódmą, by sprawdzić ogłoszenie pobudki, a następnie poprowadzić kompanię na śniadanie. Około południa odwiedził mnie dowódca kompanii. Nie wiedziałem, czy chciał mnie skontrolować, czy też porozmawiać o dotychczasowym przebiegu służby. Przyszedł w ubiorze dżinsowym, czym mi mocno zaimponował, a tym bardziej, że przełożeni wyższego szczebla, a przede wszystkim ppłk dr Ryszard Loch, krytycznie oceniali przebywanie w tego typu odzieży na terenie koszar. Szczególnie rażyły ich moje jaskrawożółte, sztruksowe spodnie oraz różowo-fioletowa koszula. Po kilkunastu minutach rozmowy poprosiłem przełożonego o zezwolenie na półgodzinne wyjście do internatu i na obiad, na co wyraził zgodę. Po drodze zauważyłem, że w klubie jest czynna biblioteka. Wstąpiłem, by coś wypożyczyć na niedzielne popołudnie. Kierowniczką biblioteki Halina Urbaniak, wysoka i postawna dziewczyna, chyba równa ze mną, a może nawet przewyższająca mnie wzrostem, siedziała przy biurku, a naprzeciw niej por. Jan Milczarek, powszechnie znany jako Jachu, prawdopodobnie kontrolny z 4. krl. Poznałem go w poprzednim roku podczas praktyki w tejże kompanii, dowodzonej wówczas przez por. Mieczysława Domagałę. Na biurku leżała dopiero co wydana książka Bohdana Tomaszewskiego „Romantyczne mecze”, o której czytałem coś w prasie. Poprosiłem o jej wypożyczenie, lecz pani Halina odmówiła, uzasadniając swoją decyzję niezarejestrowaniem i nieopracowaniem książki. Wyszedłem niepokieszony, a przez kilka kolejnych tygodni lub miesięcy jakoś mimowolnie omijałem bibliotekę.

Po obiedzie, kiedy żołnierze zajęci byli oglądaniem w telewizji jakiegoś meczu, usiadłem w pokoju kadry pododdziału i rozmyślałem o dotychczasowym przebiegu mojej służby. Ocenilem, że trafiłem zupełnie przyzwoicie, a dowodzenie załogą mogło być dobrą praktyką i odskocznią do kolejnych stanowisk. A i kadra kompanii w większości była sympatyczna i koleżeńska. Uznałem

jednocześnie, a szczególnie po obserwacji pracy mojego bezpośredniego przełożonego, że najlepszą fuchą w kompaniach radioliniowych brygady było stanowisko dowódcy pierwszego plutonu. Nie miał on na stanie stacji radioliniowej, a jedynie skrzynkę dowódcy plutonu z kilkoma prostymi pomocami szkoleniowymi, choć z czasem, kiedy dowódcami stacji byli chorążowie, prawdopodobnie wszyscy dowódcy plutonów nie mieli przydzielonych stacji. Dowódca plutonu miał jedynie obowiązek prowadzenia zajęć politycznych i wychowania fizycznego, lecz mój dowódca, skądinąd bardzo przyzwoity człowiek, darzył swoich podwładnych ogromnym zaufaniem i systematycznie pozwalał im wykazywać się fachowością również i w tych dziedzinach. A więc bycie dowódcą pierwszego plutonu to żyć, nie umierać. Natomiast dla mnie taka nieustanna beczynność byłaby chyba nie do zniesienia.

Do internatu wracałem przed północą, gdyż czekałem na powrót z urlopów i przepustek ostatnich żołnierzy. Wchodząc cichutko do pokoju, by przypadkiem nie obudzić śpiących kolegów, pomyślałem, że właśnie minął pierwszy tydzień mojej zawodowej służby.

Ppłk w st. spocz Jan Stanisław Jeż

Wrocław 02.01.2008 r.

NOTA BIOGRAFICZNA

Ppłk rez. Jan Stanisław Jeż, magister historii, urodzony 6 maja 1946 roku w Somiance na Mazowszu. Absolwent Liceum Pedagogicznego w Pułtusku (1965 r.), Oficerskiej Szkoły Łączności w Zegrzu (1968 r.), Wojskowej Akademii Politycznej w Warszawie (1977 r.), studiów podyplomowych w WAP z zakresu pedagogiki działalności kulturalno-oświatowej (1984 r.), studiów

podypłomowych w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego - Akademii Rolniczej w Warszawie z zakresu ochrony i kształtowania środowiska (1990 r.).

W latach 1968-1973 pełnił zawodową służbę w 15. Brygadzie Radioliniowo-Kablowej w Sieradzu na stanowiskach dowódcy stacji radioliniowej 16. krl (1968-1970), instruktora politycznego 2. Batalionu Radiolinii (1970-1972) i kierownika klubu garnizonowego (1973). W latach 1977-1997 pracował w Dowództwie Śląskiego Okręgu Wojskowego jako starszy instruktor Oddziału Kultury i Oświaty oraz starszy oficer Wydziału Kultury i Oświaty. W 1997 roku przeniesiony do rezerwy na własną prośbę. Po przejściu do rezerwy powrócił do pierwotnie wyuczonego zawodu i przez prawie siedem lat był nauczycielem w jednej z wrocławskich szkół ponadgimnazjalnych.

Odznaczony m.in.: Złotym Krzyżem Zasługi, Złotym Medalem „Za Zasługi dla Obronności Kraju”, Złotym Medalem „Siły Zbrojne w Służbie Ojczyzny”, Medalem Komisji Edukacji Narodowej oraz wyróżniony odznakami: Zasłużony Działacz Kultury, Zasłużony dla Śląskiego Okręgu Wojskowego, Zasłużony dla Wrocławia i Województwa Wrocławskiego, Zasłużony dla Kultury w Wojsku Polskim, Zasłużony dla Ochrony Przyrody.

Od 1985 roku jest członkiem Grupy Literackiej ŚOW „Dysonans”, kierując jej pracami w latach 1994-2004. Autor pięciu niewielkich książek i współautor kilkudziesięciu almanachów literackich oraz autor ponad czterystu publikacji prasowych z dziedziny kultury i krytyki literackiej, wyróżniony przez jedną z redakcji Złotym Piórem. Redaktor lub współredaktor kilkunastu książek. Autor indywidualnych i współautor zbiorowych wystaw malarstwa i rzeźby. Laureat wielu ogólnopolskich, regionalnych, resortowych i środowiskowych konkursów literackich.

Płk dypl. Karol Kociałkowski



SIERADZKIE WSPOMNIENIA OFICERA I SPORTOWCA

Żołnierski los po ukończeniu Oficerskiej Szkoły Łączności w Zegrzu Płn./k Warszawy wyznaczył mi drogę – jak się później okazało – nie łatwą i z pewnością nieusłaną różami. Wydaje mi się, że ze wszech miar była - z mojego punktu widzenia – jednak atrakcyjna, gdyż wypełniona była ciekawymi, choć niełatwymi dla mnie najpierw propozycjami, a następnie decyzjami kadrowymi, przedstawianymi przez kolejnych moich przełożonych reprezentujących pion łączności i ogólnowojskowy (czytaj: w grupie administracyjnej – w pionie kadrowym). Będę próbował tę tezę dowieść i myślę, że przekonam mojego czytelnika do tej tezy, w dalszej części moich – jak je nazwałem - sieradzkich wspomnień, obejmujących nie tylko kilkuletni pobyt w Sieradzu, ale i czas nieco wcześniejszy przed Sieradzem oraz trochę późniejszy, to jest bezpośrednio po wyjeździe z Sieradza ponownie do Warszawy. A więc droga ta – mówiąc skrótowo – wiodła naprawdę od małego powiatowego miasteczka Choszczna, leżącego około 40 kilometrów na południe od Szczecina, poprzez dzienne studia akademickie w rembertowskiej uczelni (ASG), dalej do nadmorskiego

wojewódzkiego miasta Koszalina, by po szesnastu miesiącach osiedlić się w stolicy ziemi kujawsko – pomorskiej Bydgoszczy, a stamtąd po trzech latach, ubyc do stolicy Rzeczypospolitej Warszawy, by po krótkim tam pobycie i wykonaniu zadań służbowych w Departamencie Kadr Ministerstwa Obrony Narodowej, siedemnastego listopada wrócić ponownie do „linii” i zameldować się w 15 Brygadzie Radioliniowo – Kablowej, mającej swój żołnierski rodowód w stolicy ówczesnego województwa w Sieradzu.



OSL Zegrze 01.09.1993 r. Gen. dyw. Wojciech Jaruzelski promuje na pierwszy stopień oficerski podchorążych z kompanii autora.

Przychodząc do tej jednostki wojskowej wiedziałem, że zaliczana była do wiodących jednostek rodzajów wojsk szczebla operacyjnego. Moja żołnierska droga wiodła więc do garnizonu sieradzkiego – jak napisałem – poprzez garnizony, w których stacjonowało wiele związków taktycznych i samodzielnych oddziałów, zaliczanych do różnych rodzajów sił zbrojnych i rodzajów wojsk. Najogólniej mówiąc, w wymienionych przeze mnie

wcześniej garnizonach, stacjonujące tam jednostki ogólnowojskowe realizowały zadania taktyczne i taktyczno – operacyjne, a jednostki łączności zapewniały wykonywanie zadań związanych z zabezpieczeniem dowodzenia i łączności dla tych dowództw i sztabów.

Bezpośrednio przed przyjazdem do Sieradza odbyłem – jak już wspomniałem – ponad półtoraroczną praktykę podstawową w garnizonie stołecznym w Departamencie Kadr Ministerstwa Obrony Narodowej w oddziale, którym kierował pułkownik magister Wacław Roztocki (późniejszy zastępca szefa tego departamentu), na stanowisku związanym z rozdziałem absolwentów naszej uczelni i dalej, prowadzeniem oficerów łączności, pozostających w kompetencji Ministra Obrony Narodowej. W tym okresie byli to oficerowie łącznościowcy zajmujący stanowiska, od szczebla dowódcy pułku (równorzędnego) wzwyż.

Epizodyczny pobyt w Departamencie Kadr, to jak gdyby, używając języka wojskowego „przerwa operacyjna” na mojej liniowej drodze żołnierskiej po jednostkach wojskowych, jako oficera łącznościowca. Zapisał się mój pobyt w tej instytucji jednak w sposób szczególny, bo dane mi było w tym krótkim czasie, uzyskać znaczące doświadczenia oraz wzbogacić je nie tylko nowymi wiadomościami z zakresu działalności dowódczo – sztabowej szczebla operacyjnego, ale i wiadomościami, związanymi z procedowaniem aktów prawnych oraz realizowaniem zadań, wynikających z polityki kadrowej kreowanej przez ówczesne Kierownictwo Ministerstwa Obrony Narodowej.

I tak się składa, że powinienem jeszcze wspomnieć, o innym osobistym sukcesie, ściśle powiązanim z moimi życiowymi zainteresowaniami sportowymi. Otóż w okresie bezpośrednio poprzedzającym mój przyjazd do Sieradza, coś niezwykłego – jak sądzę – wydarzyło się w mojej społecznej działalności sportowej. Wyliczyłem sobie, że od ponad piętnastu lat wykonując zadania w wojsku, spełniałem się równocześnie w działalności społecznej jako członek Wydziału Gier i Dyscypliny Polskiego Związku Koszykówki. Natomiast w weekendy prowadziłem drugoligowe żeńskie i męskie zawody koszykówki jako sędzia na boisku, a także

i jako sędzia funkcyjny przy stoliku sędziowskim. W efekcie tej działalności tuż przed przyjazdem do Sieradza udało mi się pozytywnie zaliczyć egzaminy: teoretyczny i praktyczny i tym samym, podwyższyć kwalifikacje sędziowskie. Skutkowało to uzyskaniem „patentu sędziego klasy związkowej”. Zostałem także w tym czasie nominowany na zastępcę przewodniczącego Wydziału Gier i Dyscypliny Polskiego Związku Koszykówki. Wspominam świadomie i tylko w tym miejscu o swoich epizodach sportowych, dlatego, bo były one wtedy i są również i dzisiaj, kiedy pojawiło się na mojej głowie trochę szronu – moim drugim życiem i nieodłączną życiową pasją.



*Final Mistrzostwa Polski Kadetów
Częstochowa 7-11 lipiec 1980 rok.*

Z tego też względu mam z okresu warszawskiego, oprócz koleżeńskich, również bardzo miłe sportowe wspomnienia. Niezależnie od dotychczasowych dokonań na niwie sportowej, los tak był wtedy dla mnie niespodziewanie łaskawy, jakby chciał mi podziękować za moją dotychczasową działalność społeczną na boiskach i w halach sportowych. Oto w czerwcu 1980 roku, wspólnie z pułkownikiem Brunonem Majewskim, znanym przecież łącznościowcem – pracownikiem tego samego, co ja oddziału, również działaczem sportowym, tyle, że w boksie młodzieżowym – zostaliśmy nominowani przez nasze związki sportowe do uczestnictwa w dniach 07 - 11 lipca, w finale Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży w Częstochowie, jako sędziowie sportowi. Rzeczywiście był to finał Mistrzostw Polski Kadetów w kilkunastu dyscyplinach sportowych. Mój kolega Brunon z podchorążackiej ławy szkolnej (razem skończyliśmy zegrzyńską uczelnię w 1963 roku) sędziował na tej spartakiadzie walki bokserskie, a ja na boisku zawody koszykówki.

Dwa tygodnie przed zakończeniem pracy na stanowisku służbowym w Departamencie Kadr MON zostałem poproszony na rozmowę służbową do gabinetu Szefa Departamentu. Ówczesny szef instytucji generał dywizji doktor Zygmunt Zieliński w gronie swoich podwładnych i współpracowników uchodził za człowieka pryncypialnego i wymagającego. Nie był też skory – jak mówiono – do chwalenia ad hoc swoich podwładnych, za ich na wysokim poziomie merytorycznym wykonaną pracę i wystawiania im wysokich ocen.

W trakcie tej rozmowy, która przebiegała w nadzwyczaj serdecznej i miłej atmosferze (było to dla mnie miłe zaskoczenie), generał między innymi mnie zapytał:

- jak oceniam przebieg praktyki podstawowej oraz,
- czy pobyt w departamencie coś mi dał z punktu widzenia dalszej służby wojskowej w dowództwie brygady w Sieradzu, do której niebawem się udaję?

Zaskoczenia oczywiście nie było. Odpowiadając generałowi stwierdziłem, że taka forma podwyższania kwalifikacji na drodze rozwojowej oficera powinna być kontynuowana, bo poszerza horyzonty myślowe oficerów oraz wymaga od nich samodzielnego myślenia i podejmowania, a także rozwiązywania niełatwych problemów dotyczących żołnierskiego życia. Natomiast w tym konkretnym moim przypadku, w szczególności przygotowuje do umiejętności kreowania zasad obowiązujących w działalności kadrowej na kolejnych szczeblach dowodzenia w Siłach Zbrojnych. Praktyka taka, jako jedna z form podwyższania kwalifikacji powinna otwierać wreszcie drogę dla oficerów po jej odbyciu, do rozważenia możliwości wyznaczenia ich na samodzielne równorzędne lub wyższe stanowiska służbowe w sztabach szczebla taktycznego, a może i operacyjnego.

Z jednej z ciekawostek, które powtarzane były w departamencie przez kolegów i współpracowników zapamiętałem to, że byłem pierwszym oficerem, którego szef tej instytucji – generał, przyjął na rozmowę służbową przed zakończeniem jego praktyki podstawowej. Dlaczego tak właśnie się wtedy stało nie wiem ja i nie

wie chyba nikt. Do dnia dzisiejszego – myślę – pozostaje to zdarzenie słodką tajemnicą prowadzącego tę rozmowę.

Spełniły się więc utrzymywane w skrytości ducha, moje przewidywania i marzenia, co dalszej mojej kariery wojskowej. Każdy żołnierz przecież o tym marzy. I takim oto sposobem, przy odrobinie żołnierskiego szczęścia i po nieźle zakończonej praktyce w departamencie, wyznaczony zostałem rozkazem personalnym Ministra Obrony Narodowej, na stanowisko służbowe zastępcy dowódcy brygady do spraw liniowych w Sieradzu. Wcześniej zawsze myślałem, że docelowym moim stanowiskiem w czynnej służbie wojskowej będzie stanowisko szefa łączności pułku i o tym tylko marzyłem. A tu naraz stało się inaczej. Miłą niespodziankę przygotował mi żołnierski los i dlatego nie powinienem wtedy nic mówić, a z pokorą to odpowiedzialne stanowisko przyjąć. No i przyjąłem.

Niech mi wolno będzie zauważyć, że z takim oto żołnierskim doświadczeniem zawodowym oraz skromnym „dorobkiem” w działalności społecznej w polskim sporcie, w tym przede wszystkim jako ligowy sędzia koszykówki, rozpocząłem siedemnastego listopada 1980 roku w Sieradzu kolejny - i jak później doświadczyłem – trudny etap w mojej zawodowej służbie wojskowej. Były wtedy wzloty i upadki, ale na szczęście te upadki nie były aż tak groźne i dotkliwe, bo nie odbiły się ujemnie na zdrowiu moim i moich najbliższych. Myślę, że opatrność Boska wtedy nade mną jednak trochę czuwała. Tak ten okres właśnie oceniam. Wielkim osobistym przeżyciem i dramatem dla mnie i moich najbliższych, było wprowadzenie stanu wojennego - trzynastego grudnia 1980 roku. Tę pamiętną noc i zdarzenia w niej zachodzące nie zapomnę nigdy. Te trudne i długie godziny spędziłem wtedy częściowo wspólnie z najbliższą rodziną, i częściowo z kolegami i współpracownikami na terenie brygady. Zadania wtedy realizowane były trudne i w wielu przypadkach dla mnie jako oficera polskiej armii z ludzkiego punktu widzenia niewdzięczne i skomplikowane. To, co się w tej historycznej nocy działo, było straszne i trudne do przeżycia. Miałem wtedy z sobą konflikt moralny. Czy powinienem w ogóle jako Polak i

równocześnie żołnierz, w tym przedsięwzięciu uczestniczyć?. Zdawałem sobie jednak sprawę, że jestem żołnierzem zawodowym i tak jak moi koledzy powinienem swoje zadanie wykonać jak najlepiej, z nadzieją na lepsze jutro dla Polski i Polaków. Nawet dzisiaj – jak widać - tamte wydarzenia wydają się bardzo trudne, co do jednoznacznej ich oceny. Zdania i punkty widzenia uczonych i historyków są niejednoznaczne, a niekiedy wzajemnie się nawet wykluczają. Czas biegnie szybko i po drodze goi rany, ale kres rozliczeń uważam, że jeszcze się nie zakończył. Pozostaje więc teraz czas dla historyków, którzy na podstawie dostępnych dokumentów – mam nadzieję – sprawiedliwie ocenią te koszarne godziny historycznej grudniowej nocy dla Polski i Świata.

Całe szczęście, że stan wojenny trwał krótko, bo tylko 586 dni i dwudziestego drugiego lipca 1983 roku został zniesiony. Nastąpił długo oczekiwany przez mieszkańców miast i wsi naszego kraju powrót do stanu normalności, tak w codziennej działalności jak i w życiu prywatnym i rodzinnym. Kłopoty zaczęły się inne. Zaczęło wszystko w sklepach brakować. Z dnia na dzień w oczach pustoszały półki i regały sklepowe. Mocno szwankował stan zaopatrzenia w artykuły pierwszej potrzeby i artykuły niezbędne dla gospodarstw domowych. Jednak życie rodzinne nie poddawało się tym trudnościom. Stawało się spokojniejsze i pozytywnie przekładało się na pracę zawodową.

A teraz może na krótko zatrzymam się przy: okresie bezpośrednio poprzedzającym wprowadzenie stanu wojennego, pamiętnej nocy z dwunastego na trzynastego grudnia 1981 roku oraz na pierwszych miesiącach po jego wprowadzeniu. Zechcę z tego okresu przywołać kilka wątków, szczegółów i faktów świadczących o bolesnych skutkach, jakie ze sobą ta sytuacja wniosła, w szeregi żołnierzy Wojska Polskiego oraz w miejskie i wiejskie środowiska polskiego społeczeństwa.

Okres poprzedzający wprowadzenie stanu wojennego, a więc cały rok 1981, to czas wytężonej i mozolnej pracy i służby, często przekraczający ośmiogodzinny dzień pracy, wliczając w to również soboty i niedziele. Stan osobowy brygady musiał być przygotowany do udziału w szeregu ćwiczeniach i treningach sztabowych, tak w

garnizonie jak i w ustalonych rejonach na obszarze kraju. Zamierzenia te były tak planowane, że w kolejnych miesiącach jedno się kończyło w jednym miejscu, a następne już rozpoczynały się w kolejnym. Wariantów do praktycznego ćwiczenia było wiele. Nie zawsze wiedzieliśmy do końca, jakemu celowi mają one służyć. Mimo tych wątpliwości cały ten rok żołnierze i pracownicy wojska nabierali doświadczenia i doskonalili swoje rzemiosło wojskowe. Poprawiana i uzupełniana była dokumentacja operacyjno – szkoleniowa i sztabowa na wypadek – jak wtedy uzasadniano – „zadań specjalnych i klęsk żywiołowych”.

Pamiętam przygotowania dowództwa, sztabu i pododdziałów brygady do sojuszniczych manewrów „Sojuz – 81”, które przeprowadzone zostały na przełomie stycznia i lutego 1981 roku przy zachodniej granicy naszego kraju, przez kierownictwo Ministerstwa Obrony Narodowej z udziałem najwyższych władz państwowych i partyjnych. W ćwiczeniu tym uczestniczyły także wytypowane jednostki z Narodowej Armii Ludowej Niemieckiej Republiki Demokratycznej i Czechosłowackiej Armii Ludowej.

Manewry te dla dowództwa i sztabu brygady były kolejnym sprawdzianem mobilności jej pododdziałów i zdolności do ich przegrupowania całością sił a duże odległości. Przy moim udziale opracowany został plan przegrupowania pododdziałów brygady na wzór planu przegrupowania jednostek 8 dywizji zmechanizowanej, który w 1976 roku, ja jako szef łączności tej dywizji opracowałem do ćwiczenia dywizyjnego „Edredon 76”, przeprowadzonego przez dowódcę Pomorskiego Okręgu Wojskowego generała dywizji Wojciecha Barańskiego (zmarł w kwietniu 2006 roku). Plan ten zapewnił w 1976 roku dowodzenie i łączność dowódcy dywizji na okres rzeczywistego przegrupowania pułków z macierzystych garnizonów: Trzebiatowa, Kołobrzegu, Koszalina i Słupska na poligon drawski, do wskazanych dla nich rejonów ześrodkowania.

Opracowany przez mnie plan przegrupowania pododdziałów brygady na manewry „Sojuz 81”, na wzór wyżej wspomnianego sprawił, że pododdziały brygady, poprzez utrzymanie łączności w ruchu i przy ścisłej współpracy z milicją sprawnie i w nakazanym

terminie przegrupowały się do wyznaczonego rejonu ześrodkowania odległego od sieradzkiego garnizonu o ponad 230 kilometrów.

Bezpośrednio po pomyślnie zakończonym tym ćwiczeniu, dowódca brygady otrzymał zadanie do kolejnego przegrupowania pododdziałów i rozwinięcia operacyjnych stacji radioliniowych R-404 z kolei na rubieży centralnej i wschodniej. W końcu lutego dowództwo i sztab brygady po opracowaniu planu przegrupowania, przystąpiło do wykonania tego zadania. Po przegrupowaniu i rozwinięciu stacji radioliniowych realizowano otrzymane zadanie. Przedsięwzięciem tym kierował osobiście Szef Wojsk Łączności MON generał brygady Leon Kołatkowski. Polegało ono najogólniej mówiąc na uruchomieniu systemu dalekosiężnej łączności radioliniowej w relacjach Warszawa – Wrocław oraz Warszawa – Bydgoszcz – Poznań. Było to pierwsze z takim rozmachem ćwiczenie zgrywające dalekosiężny system łączności radioliniowej. Zadanie to uważano również jako sojusznicze przedsięwzięcie Układu Warszawskiego. Po prawie siedemdziesięciu dniach, na początku kwietnia ćwiczenie to zostało zakończone i pododdziały brygady całością sił przegrupowały się na kołach do garnizonu. Na tym nie koniec zadań brygadowych w terenie. Przywołując z pamięci kolejne przedsięwzięcia, przypominam sobie, że następne zadania zwane dalej operacyjnymi, pododdziały brygady realizowały w kolejnych rejonach, ale w miesiącach letnich. Polegały one na praktycznym wariantowym sprawdzeniu możliwości i sposobów dowiązania się z połowego systemu łączności jawnej i utajnionej do garnizonowych węzłów łączności w obszarze: Sieradz, Poznań, Bydgoszcz, i Warszawa.

Przyjazd do brygady długo zapowiadał i ciągle odwlekał, nasz okręgowy przełożony, Szef Sztabu Śląskiego Okręgu Wojskowego generał brygady Jan Kuriata. I wreszcie przyjechał do nas po raz pierwszy, piątego lipca 1981 roku. Po rejonie brygady oprowadził gościa pułkownik Józef Osóbka. Generał szczególnie interesował się przebiegiem szkolenia podchorążych, w Szkole Podchorążych Rezerwy. Zwiedził ich rejon zakwaterowania i rozmawiał z podchorążymi. Jak zawsze w szkole panował porządek. Było to zasługą kadry szkoły, a przede wszystkim komendanta majora

Szymona Franusa oraz jego zastępcy kapitana Krzysztofa Jackiewicza. Dziękuję Wam Panowie za współpracę i osiągnięte wysokie wyniki, jakie szkoła uzyskiwała przez lata pod Waszym kierownictwem.

Ważnymi przedsięwzięciami w każdym roku kalendarzowym w brygadzie, były dwukrotne wcielenia poborowych w tym podchorążych rezerwy do pododdziałów brygady oraz przygotowanie i prowadzenie przeglądów kadrowych przez dowódców kolejnych szczebli dowodzenia w brygadzie. Natomiast w ostatnim kwartale każdego roku przygotowanie przeglądu kadrowego kierowniczej kadry brygady, prowadzonego przez Szefa Wojsk Łączności okręgu – jako przełożonego brygady, pod nadzorem specjalistycznym Szefa Oddziału Kadr okręgu. Przedsięwzięcia te, to niezwykle istotne brygadowe zamierzenia organizacyjno – personalno – mobilizacyjne z punktu widzenia sprawnego funkcjonowania brygady. Przy wcielaniu konieczny był zawsze wcześniejszy jego kontakt z właściwymi wojskowymi komendami uzupełnień, by w miarę w pełni zaspokoić wymagane potrzeby ilościowo – jakościowe brygady, dotyczące żołnierzy służby zasadniczej, a po ich wcieleniu, ciągły nad nimi nadzór w pododdziałach. Natomiast na przeglądy kadrowe przygotowywał dla dowódcy propozycje prognoz, zmian na stanowiskach, w tym podwyższanie kwalifikacji kadry zawodowej brygady. Prawdopodobnie z racji poprzedniej mojej warszawskiej funkcji, dowódca powierzył mi nadzór (ale tylko fachowy) nad komórką personalną i przedsięwzięciami przez nią realizowanymi. Muszę z satysfakcją przyznać, że w brygadzie był wtedy znakomity fachowiec i specjalista w tej „branży” major Zdzisław Wardęcki. Mój więc udział w tych przedsięwzięciach, aczkolwiek musiał być, to był jednak – moim zdaniem - znikomy. Dyskusja ze Zdzisławem na sprawy kadrowe, to wielka dla mnie przyjemność i satysfakcja, bo słuchałem zawsze przedstawiane przez niego cenne uwagi, konkretne wnioski i sugestie. Sumaryczne więc propozycje naszego kadrowca były zawsze przemyślane, logiczne i naprawdę trafne. Tak o nim wyrażali się również koledzy po fachu z okręgu i nawet z Warszawy. Dziękuję ci Zdzisławie za współpracę i mocne wsparcie

dla dowódcy, w prowadzeniu działalności kadrowej na szczeblu brygady. Wykonałeś przez lata kawał dobrej roboty kadrowej w brygadzie. Dzięki ci za to po koleżeńsku i żołniersku. Niech mi wolno będzie życzyć Tobie, dobrego zdrowia oraz wszelkiej pomyślności osobistej i rodzinnej.

Po okresie urlopowym, zgodnie z rocznym planem szkolenia brygady, rozpoczęły się przygotowania do przeprowadzenia w okolicach Sieradza w trzeciej dekadzie września, taktycznego zgrywającego ćwiczenia batalionowego, dla batalionów wcielenia jesiennego. Uczestniczyły w nim: drugi batalion radiolinii, drugi batalion łączności dalekosiężnej oraz pododdziały zabezpieczenia. Ćwiczenie rozpoczęło się 21 września wprowadzeniem wyższych stanów gotowości bojowej dla pododdziałów biorących udział w ćwiczeniu. Ćwiczący dowódcy stacji w kolejnych etapach ćwiczenia sprawnie rozwijali stacje radioliniowe i aparaturowie łączności dalekosiężnej i uruchamiali wymaganą rozpiętość kanałów łączności radioliniową i dalekosiężną łączność przewodową. We wszystkich etapach ćwiczenia załogi stacji niepokoił „przeciwnik” działający zgodnie z zatwierdzonym planem pozoracji. Wymuszał on od ćwiczących konieczność organizowania ochrony i obrony stacji oraz umiejętność stosowania środków ochrony przed bronią masowego rażenia. Po trzech dobach intensywnych ćwiczeń i kilku przegrupowaniach stanowisk dowodzenia do nowych rejonów w tym i w nocy, ćwiczące bataliony i pododdziały wykonujące zadania pozoracji zrealizowały ostatni etap ćwiczenia - powrót do garnizonu. Na omówieniu ćwiczenia w garnizonie, dowódca brygady pułkownik Osóbka wysoko ocenił ćwiczące pododdziały podkreślając ich profesjonalizm oraz wykazany trud i zaangażowanie w toku ćwiczenia. Na zakończenie omówienia dowódca brygady na mój wniosek, jako kierownika tego ćwiczenia zatwierdził ocenę dobrą dla pododdziałów biorących w nim udział.

W między czasie po otrzymaniu mieszkania służbowego przy ulicy Targowej numer 14, sprowadziłem rodzinę do garnizonu i już było mi trochę lżej na duchu, choć zadań służbowych nie ubywało, a z dnia na dzień ich przybywało. Bardzo trudny był dla mnie ten rok, również z innych powodów. Wyjazdy służbowe – a było ich sporo –

w dni wole przeplatane były wyjazdami sędziowskimi do różnych często oddalonych miejscowości od Sieradza i statutowymi wyjazdami do Warszawy na planowe posiedzenia Wydziału Gier i Dyscypliny Polskiego Związku Koszykówki, w pracach którego systematycznie i aktywnie uczestniczyłem sprawiły, że w rodzinnym domu byłem naprawdę gościem. Już teraz przyznaję, że na wojaże sportowe garnizon opuszczałem, z żołnierskim wyczuciem i łaskawością losu, ale samowolnie, bez zgody przełożonego. Mimo wielkiej życzliwości i sympatii, jaką darzył mnie dowódca pułkownik Osóbka, na wszystkie takie prywatne wyjazdy z pewnością – jak wtedy oceniałem – nie uzyskałbym od niego za każdym razem takiego zezwolenia, bo zwyczajnie ze względów służbowych nie wolno mu było na to pozwolić.

I teraz mała dygresja. Ponad pół wieku już minęło od tej pamiętnej, historycznej nocy grudniowej – i myślę, – że to, co było wtedy wielką tajemnicą o stanie wojennym, a dla wielu, dokumenty z tego okresu niedostępne i opatrzone jeszcze klauzulą z dwoma zerami z przodu, to dzisiaj w wolnej Rzeczypospolitej już ponad wszelką wątpliwość tajemnicą już nie jest. Niech mi, więc wolno będzie od tej pamiętnej historycznej nocy, kontynuować dalszy ciąg moich żołnierskich wspomnień, przywołując z pamięci tamte fakty i wydarzenia.

Nadszedł więc mroźny wieczór 12 grudnia 1981 roku. Była to wolna sobota. W resorcie Obrony Narodowej w tym czasie wolną sobotę mieliśmy co drugą. Dla mnie ta „feralna” sobota była dniem pracującym i dlatego do godzin popołudniowych nadzorowałem w jednostce rutynowe zadania szkoleniowe. Szczątkowe informacje, szczególnie o sytuacji w kraju docierały do brygady, ale w godzinach popołudniowych nic z nich jeszcze złego nie wynikało i nie wskazywało na to, że najbliższa noc może być brzemienne w skutkach i na trwałe przejdzie do historii naszej Rzeczypospolitej. Jak każdego dnia z pracy wróciłem do domu późnym popołudniem i jak to zwykle w soboty w Sieradzu bywało mieliśmy razem z małżonką wybrać się do znajomych. Oczywiście nic z tych planów nie wyszło, bo już około godziny 17.00 oficer dyżurny brygady powiadomił mnie, że zgodnie z decyzją dowódcy pułkownika

Osóbki o godzinie 18.00 mam przybyć do jednostki. Po przybyciu dowiedziałem się od dowódcy, że przełożeni wprowadzili dla brygady stan podwyższonej gotowości bojowej. Oznaczało to nic innego, jak zatrzymanie wytypowanej kadry w jednostce, do czasu wprowadzenia kolejnych sygnałów podwyższających lub obniżających ten stan. Po kolacji skonsumowanej w jednostce, około godziny 19.00 zaczęły docierać do brygady mrozące krew w żyłach bieżące informacje, o sytuacji w kraju. Stawała się ta sytuacja coraz trudniejsza. Razem z tymi informacjami otrzymywaliśmy zadania, które w poprzednich miesiącach zostały brygadzie przydzielone do wykonania na odpowiedni sygnał przekazany przez nadrzędną dyżurną służbę operacyjną.

Od tego momentu – jak pamiętam – a było to około godziny 20.00 – sytuacja stawała się coraz bardziej tożsama, z eskalacją wydarzeń, które stały się przyczynkiem, do selektywnego uruchamiania systemu zadań specjalnych dla brygady o północy. Liczba napływających zadań narasta z każdą godziną, a im bliżej północy tym było ich więcej. Przygotowywane były w brygadzie zespoły żołnierzy zawodowych do wykonania na określony sygnał zadań na terenie miasta i miejscowości pobliskich, związanych z ochroną i obroną obiektów użyteczności publicznej, przedsiębiorstw państwowych oraz wojskowych osiedli mieszkaniowych.

Szczególne zadania tej pamiętnej nocy wykonywała też kadra zawodowa w urzędach pocztowo – telekomunikacyjnych, nadzorując wprowadzoną o północy ciszę w eterze, w systemie łączności miejskiej i wojskowej garnizonowej. Wojskowa łączność garnizonowa przywrócona została po kilku dniach, ale z zastosowaniem całodobowej kontroli tego systemu. Moje zadanie tej historycznej nocy było wyjątkowe i niezwykle trudne. Jako zastępca dowódcy do spraw liniowych odpowiedzialny byłem, za przygotowanie i wyprowadzenie rzutu kołowego sprzętu specjalnego i zabezpieczenia na ustalone punkty pracy w obszarze województw: od północno – wschodnich do północno – zachodnich. Zadanie to polegało najogólniej mówiąc, na wybudowaniu dalekosiężnych osi radioliniowych w relacjach:

Warszawa – Bydgoszcz – Powidz - Poznań, Warszawa – Wrocław i Warszawa – Siedlce.

O godzinie 1.15 dnia 13 grudnia 1981 roku wprowadzony został stan pełnej gotowości bojowej dla rzutu kołowego sprzętu specjalnego i grupy zabezpieczenia kwatermistrzowskiego. Dowódcom stacji radioliniowych postawiłem zadanie, by w czasie do dwudziestu godzin od momentu osiągnięcia wyznaczonego punktu pracy rozwinęli stacje i weszli w czynny system łączności zgodnie z otrzymanymi dokumentami eksploatacyjnymi.

Czynny System łączności został uruchomiony terminowo, w godzinach popołudniowych 14 grudnia 1981 roku. W tym ustalonym czasie rozwinięta została w rejonie Siedlec, limitująca ten termin czasem przegrupowania, ostatnia z zaplanowanych stacji radioliniowych w tym systemie łączności. Łącznie wraz ze stacjami zapasowymi, do rozwinięcia systemu dalekosiężnej łączności radioliniowej na obszarze kraju, wykorzystano 59 stacji radioliniowych, w tym: 44 stacje R-404, 9 stacji R-409 i 6 stacji R-405. Stacje zapasowe były rozmieszczone tylko na stacjach początkowych i końcowych, osi radioliniowych.

Do ochrony pracujących stacji rozmieszczonych poza rejonami zamkniętymi (rejonami dyslokacji jednostek wojskowych), zaangażowanych zostało 324 żołnierzy służby zasadniczej i rezerwy z jednostek i instytucji wojskowych stacjonujących w pobliżu rejonów rozwinięcia stacji.

Do wykonania tego zadania specjalnego, o którym wspominam wydzielonych z brygady zostało łącznie 579 żołnierzy i pracowników wojska, w tym między innymi 40 oficerów, 45 chorążych, 31 podoficerów zawodowych i 31 podchorążych rezerwy, a także 222 różne pojazdy mechaniczne.

Kiedy stacje radioliniowe stopniowo docierały na swoje punkty pracy, zgodnie z przyjętym harmonogramem ujętym w planie przegrupowania, ja monitorując cały czas to przegrupowanie, około piątej nad ranem, wyruszyłem z Sieradza samochodem osobowo – terenowym UAZ uzbrojony w broń krótką i maszynową oraz z pięcioma obronnymi granatami bojowymi F – 1 po trasie: Łask, Piotrków Trybunalski, Warszawę do Rembertowa,

na stanowisko kierowania czynnym systemem łączności dla potrzeb kierownictwa władz państwowych i kierownictwa Ministerstwa Obrony Narodowej.

Tej nocy temperatura spadła prawie do 10 stopni poniżej zera. Warunki przegrupowania były trudne, a miejscami bardzo trudne, ze względu na oblodzenie dróg pierwszej i drugiej kategorii zimowego utrzymania. Obyło się jednak w okresie przegrupowania bez wypadku, kolizji i uszkodzeń. W kolejnych grudniowych dniach mróz był jeszcze silniejszy, w nocy temperatura spadała do 13 i więcej stopni poniżej zera. W wyniku obfitych opadów śniegu przez kilka następujących dni, utworzyły się kilkumetrowe zasy, które z kolei spowodowały, że pracujące stacje radioliniowe na punktach pracy w szczerym polu, zostały całkowicie odcięte od „reszty świata”. Dla dostarczania żołnierzom w rejony pracujących stacji wszelkiego rodzaju zaopatrzenia, w tym głównie żywności, trzeba było przez okres około trzech tygodni używać śmigłowców.

Tuż przed świętami Bożego Narodzenia mróz stał się jeszcze ostrzejszy, bo temperatura w dzień dochodziła prawie do 15 stopni poniżej zera, a niekiedy w nocy spadała nawet do 20 stopni poniżej zera, przy tym wiał silny i porywisty północny wiatr, a opady śniegu nie ustawały. Ja, w tak trudnych warunkach, będąc przez ponad dwie Bożonarodzeniowe świąteczne doby bez przerwy w drodze, odwiedziłem załogi wszystkich stacji radioliniowych w obszarze: Warszawa – Włocławek Bydgoszcz – Inowrocław – Powidz – Poznań, zwracając szczególną uwagę na stan zabezpieczenia podstawowych warunków do życia. Mimo skrajnie niekorzystnych warunków atmosferycznych były one dobre.

W obszarze przeze mnie patrolowanym i sprawdzanym, rozwinięte były dwie ważne pod względem operacyjnym – jak oceniano wtedy - osie radioliniowe przy wykorzystaniu operacyjnych stacji radioliniowych R-404: numer dwanaście Warszawa, Włocławek, Bydgoszcz z odgałęzieniem do Płocka i numer trzynaście Bydgoszcz, Inowrocław Powidz, Poznań. W większości stacje radioliniowe z tych osi rozwinięte były w tak zwanym „szczerym polu”, do których dotarcie drogami lądowymi w tym czasie, ze względu na ciągłe opady śniegu było bardzo

utrudnione, a do niektórych stacji nawet niemożliwe. Dojazd nawet samochodem terenowym wyposażonym w sprawny przedni i tylny napęd był utrudniony, a niekiedy wręcz niemożliwy. Musiałem często ponad 200 metrów maszerować wąską ścieżką, w śnieżnym miejscami prawie metrowym wąwozie.

Była także rozwinięta oś radioliniowa R-404 numer jedenaście Warszawa, Skierniewice, Konstancynów, Sieradz, Wilczyn k/Wrocławia, z odgałęzieniami z Łasku do Piotrkowa Trybunalskiego i z Marianowi do Kalisza. Pętlę między osiami radioliniowymi dwanaście i trzynaście, a jedenaście zamykało pięć rozwiniętych stacji radioliniowych R-404 z Wilczyna przez Leszno do Poznania. Rozwinięty był także kierunek numer czternaście, z Warszawy do Siedlec, w składzie trzech stacji radioliniowych R-404.

Święta Bożego Narodzenia, po raz pierwszy w życiu spędziłem poza domem rodzinnym. Aby zadośćuczynić prośbom żołnierzy i podziękować im za ogromny wysiłek i trud w realizacji tego zadania, za zgodą dowódcą brygady pułkownika Józefa Osóbki, zorganizowałem dla ćwiczących trzy grupowe wyjazdy świąteczno - noworoczne do swoich najbliższych. Wszyscy żołnierze i pracownicy wojska byli bardzo wdzięczni i zadowoleni z wyjazdu do swoich bliskich do Sieradza i po powrocie w miarę wypoczęci, przystąpili do wykonywania swoich obowiązków.

Co mi istotnego i ciekawego w pamięci jeszcze zostało z tamtego okresu? Otóż nie zapomnę nigdy zaobserwowane przeze mnie wówczas: warunki panujące na drogach (wieloma odcinkami ich nieprzejezdność, oblodzenie, silny mróz, porywisty północny wiatr, bez przerwy padający dniami i nocami śnieg, a także nieprzewidziane różne niebezpieczeństwa czyhające na żołnierzy - wartowników), ochrona mostów, wiaduktów i tuneli przez żołnierzy, a także bardzo pozytywne, a może i nawet wręcz rodzicielskie zachowania miejscowej ludności na widok przemarzniętych niekiedy żołnierzy, były czasami zdarzeniami zapierającymi oddech w piersiach, a także i niekiedy widokami wstrząsającymi.

Z tego historycznego już okresu, zapamiętałem taki oto jeden z wielu obrazków. Jest ranek 25 grudnia 1981 roku –pierwszy dzień

Bożego Narodzenia. Jestem – jak wspominałem - w drodze samochodem osobowo – terenowym od wczesnych godzin rannych. Dojechałem do jednego z wiaduktów kolejowych na trasie Warszawa – Kutno i po zatrzymaniu samochodu wyszedłem na mroźne powietrze i zacząłem żołnierską pogawędkę z dwoma żołnierzami grzejącymi się przy koksowniku. Ochraniali właśnie ten wiadukt. Temperatura przekroczyła wtedy chyba 10 stopni poniżej zera. Przechodzą w tym momencie nieopodal wiaduktu dwie odświętnie ubrane starsze kobiety. Prawdopodobnie wracały po mszy świętej z pobliskiego kościoła. Panie podeszły bliżej do nas. Jedna prawie z przerażeniem głośno zwraca się jakby z poleceniem, a może z prośbą, w moją stronę;- pozwól Pan oddać, Panie oficerze na trochę tych chłopaków, ja ich wezmę do swojego domu, żeby moich synów –jak powiedziała - umyć, ogrzać i nakarmić. Druga stojąca obok niej wtóruje koleżance i też lamentując, głośno woła w moim kierunku, tak jakby zwracała się też do mnie:

- a ja bym w ogóle Was żołnierze zwolniła i kazała wracać do domu, tylko Pan oficer pewnie mi na to nie pozwoli. Po chwili jednak dodała – znam tę sytuację i rozumiem, że tak to na razie musi być. Nic na to nie poradzimy. Ale również i wiem, tam na Was chłopacy, czekają zatroskani i pełni niepokoju rodzice i rodzeństwo. Co na to Pan oficer?

Trudna w tym momencie stała się moja rola. Starąłem się, więc spokojnie tym paniom wytłumaczyć sytuację, w jakiej znaleźli się ci i inni żołnierze wykonujący podobne w tym okresie zadania. Myślałem wtedy, że niepokój tych kobiet nie uda mi się zażegnać. A jednak okazało się po paru chwilach, że mój spokój opanowanie i perswazja pomogły i kobiety żołnierzy ukochały, ucałowały i serdecznie się z nami pożegnały i poszły dalej drogą – pewnie do swoich mieszkań do pobliskiej wioski oddalonej od naszego miejsca – myślę - około dwóch kilometrów. Takich i podobnych zdarzeń miałem wówczas na drogach mojej wędrówki znacznie więcej, bo – wydawało mi się, - że ludność cywilna szczególnie na wsiach, sądząc po ich emocjonalnym zachowaniu, do końca nie wszystko wiedziała, i nie zdawała sobie sprawy z tego, co w tej naszej

Rzeczypospolitej stało się kilkanaście dni wcześniej - nocą 13 grudnia.

Często byłem naocznym obserwatorem, jak zatroskane i zapłakane mamy i babcie biegały i głośno wypowiadały się, że muszą pomagać i podtrzymywać na duchu „swoich synów”, bo tak zwracały się do żołnierzy. Przynosiły im gorące napoje i posiłki, mimo, że tego akurat, w danym momencie tak naprawdę im nie brakowało. Te żywe często szokujące obrazy widziane moimi oczyma na drogach, mostach i wiaduktach, na trwałe zapisały się w mojej pamięci, jako bardzo trudne, bolesne, a zarazem niesłychanie skomplikowane i niepowtarzalne sytuacje z okresu stanu wojennego.

Z „wojny” wróciłem szczęśliwie ze sprzętem łączności i podległymi mi żołnierzami i pracownikami wojska 9 stycznia 1982 roku. Następne tygodnie i miesiące, to mozolna praca kadry i pracowników wojska, przy usuwaniu usterek technicznych w sprzęcie, (a jak pamiętam było ich sporo), a dowództwo brygady nadzorowało przedsięwzięcia, związane – mówiąc po wojskowemu - z odtwarzaniem zdolności bojowej pododdziałów brygady.

W okresie trwania stanu wojennego, przyszło mi również kierować „grupami operacyjnymi” w składzie, których uczestniczyła wytypowana kadra brygady. Zadania dla tych grup były często ważniejsze od bieżących zadań szkoleniowych brygady. Sytuacja ogólna na terenie województwa sieradzkiego była w tym czasie bardzo trudna, by nie określić ją nawet jako tragiczną. I właśnie w tak skomplikowanych warunkach poznać było można wysoką dojrzałość obywatelską kadry zawodowej, która wykonując te zadania, zdała trudny egzamin w niesieniu pomocy mieszkańcom miast i wsi województwa sieradzkiego. Przyczyniła się tym samym do likwidacji wszelkiego rodzaju wynaturzeń, łagodziła napięte stosunki między ludźmi, a sąsiadami w szczególności oraz przeciwdziałała łamaniu prawa przez partyjnych dygnitarzy szczebla gminno-miejskiego. Skutecznie także reagowała w administrowanym terenie na bałagan i nieporządek we wszystkich sferach życia społecznego. Zadania te kadra zawodowa brygady wykonała z honorem i żołnierską godnością.

Pamiętam również niedogodności wynikające z wprowadzenia w tym okresie „godziny milicyjnej” trwającej każdego dnia od 22.00 do 6.00 rano dnia następnego. Po jej wprowadzeniu obowiązywał bezwzględny zakaz opuszczania swojego miejsca zamieszkania i poruszania się po mieście bez specjalnego okresowego imiennego zezwolenia.

Po dwóch miesiącach od wprowadzenia stanu wojennego ruszyły sportowe rozgrywki we wszystkich dyscyplinach sportu, w tym i w koszykówce. W międzyczasie dopełniłem również stosownych formalności związanych ze sportowym przemeldowaniem, by ze względu na aktualne miejsce zamieszkania stać się rzeczywistym członkiem Łódzkiego Okręgowego Związku koszykówki.

Pierwszy w tym okresie mój sędziowski wyjazd miał miejsce w dniu 6 lutego 1982 roku do Leszna, na zawody o mistrzostwo drugiej ligi męskiej. Kolejnymi miastami, które odwiedziłem w celach sportowych w tym okresie to Koszalin, Katowice, Gdańsk, Brzeg i Rybnik. Do każdego z tych miast musiałem mieć zezwolenie na pobyt, w postaci oddzielnego pisemnego imiennego okresowego zezwolenia.

W okresie trwania stanu wojennego urlop wypoczynkowy wykorzystałem w czerwcu 1982 roku. W ramach tego urlopu, byłem z małżonką na wczasach nagrodowych w Soczi, którymi wyróżnił mnie Minister Obrony Narodowej. Soczi, to miasto z licznymi muzeami i jedno z największych uzdrowisk i kąpielisk w daw. ZSRR. Położone w Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republice Radzieckiej, w Kraju Krasnodarskim, u podnóża gór Kaukazu. Rozciąga się wzdłuż wybrzeża Morza Czarnego na długości około 140 kilometrów. Liczyło wtedy około 255 tysięcy mieszkańców. Turystów i wczasowiczów przebywało tam zawsze w okresie letnim około 100 tysięcy. Odpoczywaliśmy w ośrodku wypoczynkowym - sanatorium Ministerstwa Obrony ZSRR. Były to piękne i ciekawe dni pod każdym względem, pełne niezapomnianych wrażeń i przeżyć związanych ze zwiedzaniem bogatych w tropikalną roślinność, ale i niebezpiecznych terenów u podnóża gór Kaukazu i miejsc historycznych Gruzji i Abchazji.

W rozmowach z miejscową ludnością cywilną mieszkającą w ziemiankach u podnóża Kaukazu, bardzo porażające było to, że informacje docierające do nich z kolchoźników to jest z odbiorników bez możliwości ich sterowania, o wprowadzonym u nas stanie wojennym były błędne, powiedziałbym nawet wręcz fałszywe. Mówili, że bardzo nam współczują, bo cierpimy, ponieważ jesteśmy, na co dzień prześladowani i dręczeni. Musiałem to jednak prostować i jednoznacznie dementować nie wdając się w szerszą z nimi dyskusję i polemikę, bo byli bardzo dociekliwi.

W drodze powrotnej z Soczi zatrzymaliśmy się na cztery dni w Moskwie i tam byliśmy w Mauzoleum Lenina na Placu Czerwonym oraz zwiedziliśmy między innymi Muzeum Armii Radzieckiej, Galerię Trietiakowską, Panoramę Bitwy pod Borodino, a także zjedliśmy obiad w przepięknej restauracji o nazwie „siedmoje niebo” na 47 piętrze wieży telewizyjnej „Ostankino”. Jako niesamowite przeżycie z pobytu na tej wieży pamiętam, jak w czasie spożywania obiadu, a trwał on około 60 minut, mieliśmy możliwość obejrzenia z lotu ptaka pięknej panoramy Moskwy, bo segment wieży, w którym mieściła się restauracja, w tym czasie obrócił się wokół własnej osi o 360⁰.

Była to pierwsza i jedyna – jak oceniam – w moim życiu eskapada do pięknych i ciekawych miejsc i rejonów na Krymie, nie za własne pieniądze, bo na własny rachunek nigdy do niej by nie doszło ze względu na wysokie koszty, które wtedy przerastały i pewnie dzisiaj też przerastałyby znacznie moje możliwości finansowe. Wrażenia stamtąd wystarczyłyby na napisanie książki.

Po powrocie z zagranicznych czasów wziąłem się dziarsko do pracy i zacząłem przygotowywać się do kolejnego ważnego przedsięwzięcia szkoleniowego. Czekala nas w pierwszej dekadzie listopada doroczna odprawa szkoleniowa dla kierowniczej kadry wojsk łączności prowadzona przez Szefa Wojsk Łączności generała brygady Leona Kołatkowskiego. Do tej odprawy czasu mało, a pracy bardzo dużo. W ciągu tych kilku miesięcy przygotowana została nowa gabinetowa baza szkoleniowa w bloku szkolnym. W salach wykładowych zamontowano sprzęt łączności w tym między innymi szkolne stacje radioliniowe R-404 i R-405.



Jedna z wielu uroczystości ze Sztandarem, które prowadziłem w sieradzkiej brygadzie

Masztf antenowy stojący przy bloku szkolnym musiał być skrócony, by na jego szczycie zamontować anteny radiolinii R-404 i R-405. Rzecz na owe czasy niemożliwa do wykonania, a jednak została wykonana i to gratisowo przez sieradzką firmę cywilną, przy wykorzystaniu dźwigu (nie pamiętam nazwy tej firmy), w ramach – jak mówiono mi wtedy – bardzo dobrej współpracy z sieradzką brygadą. Muszę wspomnieć również o dużym napisie „Gabinetowa Baza Szkoleniowa” na frontonie bloku szkolnego. Napis ten dotrwał do dzisiaj, bo został fachowo zrobiony. Wykonywał go etapami przez trzy pogodne wieczory, przy pomocy rzutnika ustawionego na rusztowaniu starszy chorąży Mirosław Chudzik, którego nazywałem „sztabową złotą rączką”. Był on wspaniałym i uczynnym żołnierzem sztabu brygady. Miał wybitne zdolności kreślarskie. Doskonale i z wielką kulturą sztabową pracował na mapach. Panie Mirku dzięki za to wszystko. Długiego życia i dobrego zdrowia Panu życzę. Natomiast nad wszystkimi przedsięwzięciami organizacyjno – szkoleniowymi czuwał i po ojcowsku wszystkich rozliczał major Stanisław Japał. Był moją prawą ręką we wszystkim i do wszystkiego. Uwijał się Pan Stanisław jak w ukropie. Nie było dla niego spraw, które nie można było załatwić. Panie Stanisławie - raz jeszcze Panu na łamach moich wspomnień za ofiarność, pomoc i wszystkie inne dokonania bardzo dziękuję i życzę wszelkiej pomyślności oraz długiego życia i dobrego zdrowia.

Odprawa doroczna Szefa Wojsk Łączności MON odbyła się w nakazanym terminie. Brygada oceniona została bardzo dobrze. W trakcie jej trwania po raz pierwszy w historii brygady,

zaprezentowana została łączność radioliniowa z rejonu alarmowego brygady do garnizonu, za pomocą stacji radioliniowych R-404 i R-405, z których te dwie „garnizonowe” zamontowane były w salach wykładowych w bloku szkolnym, z możliwością wyjścia z każdej z nich w stacjonarny system międzygarnizonowy. I to zrealizowane przedsięwzięcie wszyscy uczestnicy odprawy na czele z generałem brygady Leonem Kołatkowskim bardzo chwalili i wyrazili słowa uznania dowódcy brygady pułkownikowi Józefowi Osóbce.

W kwietniu 1983 roku rozpocząłem przygotowania, do ujętego w rocznym planie szkolenia brygady w pierwszej połowie maja, uroczystego otwarcia sezonu sportowego. Okazja nadarzyła się wyjątkowa, a zarazem i szczególna, bo po wcześniejszych kilkakrotnych ze mną bardzo sympatycznych i obiecujących rozmowach (spotykaliśmy się bardzo często na imprezach sportowych w tym na zawodach koszykówki) i ostatecznie telefonicznym uzgodnieniu, potwierdził swój udział w tej imprezie nie kto inny, jak Przewodniczący Międzynarodowego Stowarzyszenia Dziennikarzy Sportowych i zarazem Prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Sportowych w Polsce, i jednocześnie Kierownik Działu Sportowego gazety codziennej „Żołnierz Wolności”, redaktor pułkownik Edward Woźniak. Był on wielkim animatorem i propagatorem sportu w ogóle, a sportu wojskowego w szczególności. Redaktor na łamach tej gazety, na jej ostatnich stronach, w swoich felietonach, pod zawsze tym samym tytułem „5 minut szczerości”, opisywał między innymi: życie sportowe żołnierzy w jednostkach, prezentował sylwetki żołnierzy – olimpijczyków, wykazywał zaniedbania w budowie i renowacji obiektów sportowych dla jednostek, pokazując jednocześnie w tych jednostkach osiągnięcia w danej dziedzinie. Był przy tym bardzo konkretny i pryncypialny. Nie znał, co to jest przekupstwo w życiu i sporcie. Konsekwentnie wszystkie swoje spostrzeżenia i uwagi przelewał na papier i publikował. Zgodnie więc z wcześniejszą zapowiedzią i daną mi telefoniczną obietnicą, redaktor Woźniak odwiedził brygadę w niedzielę 15 maja 1983 roku, bo w tym dniu miała zostać przeprowadzona masowa impreza sportowa nazwana, tak jak ją w planie rocznym zapisano: „otwarcie sezonu

sportowego”. Nawet pogoda – jak na zamówienie - w tym dniu nam dopisała. Było ciepło i słonecznie. Temperatura dochodziła do 20 stopni Celsjusza. Nie był więc za gorąco. Wiał lekki południowy wiatr. Momentami było nawet bezwietrznie. Nasz zacy gość uczestniczył w uroczystym otwarciu „sezonu sportowego”, które odbyło się na placu alarmowym przy muzycznym akompaniamencie marsza warszawianki, płynącym z naszego węzła i szykownym przemarszu żołnierzy - sportowców przed trybuną. Po defiladzie, oprowadziłem redaktora pułkownika Woźniaka po miejscach gdzie odbywały się konkurencje sportowe w lekkiej atletyce i gry zespołowe. Bacznie obserwował rywalizację sportową zawodników i przyglądał się, jak pod względem organizacyjnym prowadzone były konkurencje lekkoatletyczne i inne dyscypliny sportowe na naszych obiektach. Widziałem, jak skrzętnie robił sobie notatki z każdego miejsca, które odwiedzał. Był bardzo mile zaskoczony organizacją tej imprezy, rywalizacją sportową oraz panującą atmosferą na bieżni, rzutniach i na boisku wśród zawodników: podchorążych SPR i żołnierzy służby zasadniczej. Interesował się wynikami sportowymi osiąganymi przez naszych żołnierzy. Niektórzy – jak zauważyłem - trafili do jego notesu. Zainteresował się więc, osiągniętymi przez nich wynikami. Szukał pewnie talentów na miarę Sidły, Piątkowskiego, Komara, Schmidta, Lubańskiego i innych wielkich sportowców. Nie omieszkałem pokazać mu też naszą halę sportową, o której ode mnie wcześniej się dowiedział i dlatego, o lustrację jej zabiegał. W rozmowie potwierdził mi, że kiedyś również usłyszał, że gdzieś w jednym z garnizonów Śląskiego Okręgu Wojskowego, jest jakies dziwne niewymiarowe pomieszczenie z filarami wewnątrz, wpuszczone poniżej posadzki zwane „halą sportową”, w której prowadzone są programowe zajęcia z wychowania fizycznego dla kadry zawodowej i żołnierzy służby zasadniczej. To, co zobaczył naocznie przerosło jego wyobrażenia. Nigdy takiego – jak to określił – potwora budowlanego nie widział. Dziwił się, że w takich warunkach prowadzi się zajęcia sportowe. O wypadek tu przecież nie trudno - stwierdził. Kontynuując myśl swoją mówił dalej, że będzie miał świetny pogładowy materiał na kilka felietonów. Może

to coś Wam pomoże - dodał. Zechcę pokazać w moim felietonie – jak stwierdził – jak mimo tak wielkich trudności rozwija się w waszej jednostce działalność sportowa. Spróbuję – kontynuował, krytycznie spojrzeć na zaniedbaną bazę sportową jednostek, w których po macoszemu traktuje się sport masowy i porównać ją do tych garnizonów gdzie jest jej brak, albo jest ona bardzo skromna, a rozwój żołnierskiego sportu masowego jest godny do naśladowania. Zapytałem wreszcie mojego gościa, czy zechce nam pomóc i dołożyć swoją skromną „cegiełkę” pod przyszły fundament do budowy nowej hali sportowej. Odpowiadając na mój apel stwierdził, że sytuacja jest bardzo trudna. Spróbuję, - mówił – uruchomić swój w miarę skuteczny kanał sportowy do Mariana Renke Przewodniczącego Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki oraz jak mnie zapewnił – złoży również stosowny meldunek wielkiemu miłośnikowi i orędownikowi sportu, a sportu wojskowego w szczególności, Głównemu Inspektorowi Szkolenia MON generałowi dywizji Wojciechowi Barańskiemu. Lustrując halę sportową redaktor pułkownik Edward Woźniak nie krył wielkiego negatywnego zaskoczenia, jakie go tam spotkało. Wręcz przez chwilę zaniemówił. Po chwili zastanowienia, nie próbował mi złożyć żadnych obietnic, w sprawie dalszych losów tej hali, bo – jak stwierdził – trzeba bezwzględnie budować nową, a czasy są trudne, a i pieniądze na masowy sport wojskowy nie jest za wiele. Pomyślałem sobie, że jeszcze nie w tej chwili czas atakować gościa. Sprawa jest poważna – pomyślałem – ale nie niemożliwa do uruchomienia. I wreszcie nadeszła długo oczekiwana przeze mnie chwila. Poprosiłem gościa na obiad do kasyna. Przy obiedzie kontynuowaliśmy temat rozpoczęty wcześniej w hali sportowej. Obiad bardzo smakował i po trwającej kilkadziesiąt minut sympatycznej rozmowie i wymianie poglądów, w końcu redaktor Woźniak dał mi jakąś iskierkę nadziei twierdząc, że nie należy tak łatwo składać broni, trzeba coś tu zrobić i Wam pomóc. Deklaracji oficjalnej jak już wspomniałem wcześniej nie składałem – powtórzył, - bo co prawda jestem u Was służbowo, ale w nieco innej misji niż ta, o której w tej chwili rozmawiamy.

I dalej rozmowę ze mną kontynuował już w miarę optymistycznie - i zauważył, że pomoc w tej sytuacji jednak musi, bo obiekt, jakim jest hala sportowa wiąże się też ze sportem masowym. Ja z racji swojej funkcji mam obowiązek ten żołnierski sport masowy wspierać, a u Was praktycznie hali sportowej w jednostce nie ma i o sporcie jako takim należałoby zapomnieć – tak stwierdził. Jestem mimo wszystko dobrej myśli. Z optymizmem wracam do Warszawy. Trzeba, jak mówił dalej - na to czasu, cierpliwości i konsekwentnego działania. Najbliższe miesiące, a może lata pokażą, czy ta ważna inwestycja sportowa w tej jednostce ujrzy światło dzienne - skonstatował. Będę z Panem Pułkownikiem w stałym kontakcie - zakończył swoje rozważania na temat tego, co widział w jednostce. Odwiozłem w godzinach popołudniowych pułkownika Woźniaka na stację kolejową. Pożegnaliśmy się serdecznie słowami do zobaczenia w brygadzie w nowej hali sportowej. Pociągiem pośpiesznym wrócił do Warszawy.

I co się później okazało. Słowa oficcerskiego dotrzymał. Za kilkanaście dni w odstępie dwutygodniowym pułkownik Woźniak w gazecie codziennej „Żołnierz Wolności” popęłnił dwa artykuły, które umieścił w swoim stałym dziale „5 MINUT SZCZEROŚCI” na ostatniej stronie tego dziennika. W pierwszym artykule (Żołnierz Wolności nr 131 z 4-5 czerwca 1983 r.) zatytułowanym „Każdy na miarę możliwości” napisał: Nie tak dawno byłem w jednostce łączności Śląskiego Okręgu Wojskowego, obserwując święto otwarcia wojskowego sezonu sportowego. Tam właśnie ze szczególną uwagą podziwiałem, zastanawiałem się nad fizycznym doborem zawodników. Zawody te rozgrywane były w niedzielę w samym słońcu, były czymś w rodzaju pikniku, a młodzi żołnierze brali się za bary ze starszym rocznikiem. Dalej opisał indywidualne osiągnięcia i wyniki żołnierzy wymieniając najlepszych z imienia i nazwiska. Na końcu tego artykułu skonstatował: Poważnie traktować należy tych, którzy szczerze zajmują się sportowymi imprezami w oddziałach i garnizonach, tymi, na co dzień dającymi radość naszym młodym żołnierzom, a także kadrze zawodowej.

I dalej zaznaczył, że - radość z uprawiania sportu może mieć każdy: I ten duży i ten mały, zaś im więcej tej radości, tym bogatsze staje się nasze żołnierskie życie. A o to przecież chodzi. Tymi słowami zakończył redaktor Woźniak sportowe rozważania w tym artykule.

Natomiast w kolejnym artykule (Żołnierz Wolności nr 143 z 18-19 czerwca 1983 r.), zatytułowanym „Przyrzeczenia i nadzieje” redaktor Woźniak napisał: Cenię ludzi, którzy dotrzymują słowa głoszonych przyrzeczeń, którzy nie rozbudzają nadziei nie mających żadnych szans ich zrealizowania. Z tym stanowiskiem zgodzi się zapewne każdy obywatel trzeźwo spoglądający na życie. Nie ulega też kwestii, że ci słowni cieszą się szacunkiem i zaufaniem, do nich garną się ludzie, przychodzą z wszelkimi sprawami, wymagającymi obiektywnego rozpatrzenia, serdecznego, rzetelnego odniesienia. Ci zaś, co to obiecują tylko, a są niesłowni, niewiarygodni, tracą zaufanie, uważa się ich za osobników niewiele wartych. Dalej w tym artykule, w samych superlatywach wyrażał się autor o osiągnięciach WKS Śląsk Wrocław. W końcowym fragmencie tego artykułu, o swoich spostrzeżeniach z pobytu w brygadzie napisał: Właśnie nie tak dawno byłem w jednostce łączności Śląskiego Okręgu Wojskowego, jednostce ulokowanej w starych częściowo koszarach, rozwijającej i sportową działalność, na skalę swoich możliwości. Jest tam stadion do piłki nożnej i lekkiej atletyki, są boiska do gier i koszykówki, siatkówki, piłki ręcznej, tenisa, nie ma natomiast sportowej hali. I nad tym właśnie szczególnie ubolewał mój cicerone, były sportowiec i związkowy sędzia koszykówki ppłk dypl. Karol Kociałkowski. Jest tam, co prawda niskie pomieszczenie 22 x 36 m, którego parkiet poprzedzielany jest dwoma rzędami filarów, lecz to nadaje się wyłącznie do prowadzenia w skromnym zakresie zajęć gimnastycznych, atletycznych, choć przed kilkoma laty tę salkę specjalnie pogłębiono. Jeden z działaczy wojskowego sportu, wizytując jednostkę zajrzał do wspomnianej hali, a że sport żołnierski darzy dużą sympatią, bo po dziś dzień drzemie w nim sportowa żyłka, przyrzekł pomoc w ewentualnym przekazaniu jednostce dmuchanego balonu, bądź zainicjowania prac nad

podniesieniem dachu tej hali. Czas jednak minął, a sprawa nie posunęła się do przodu. W ostatnim zdaniu artykułu dodał jeszcze: Czekają więc chłopcy w jednostce na swoją halę nie mówiąc już o pływackim basenie, w zimie bowiem trudno o sportowe zabawy pod dachem, a w lecie nawet o zajęcia z pływania. Bo taka jest prawda. Wiadomo również, że jednostka należy do Śląskiego Okręgu Wojskowego, który słynie z pomyślnego realizowania inicjatyw sportowych.

Tym działaczem wojskowego sportu, którego choć anonimowo, ale w sposób mało sympatyczny przywołał w swoim artykule pułkownik Woźniak, był nie kto inny, jak Szef Wydziału WF i Sportu Oddziału IX Sztabu Śląskiego Okręgu Wojskowego pułkownik Józef Derzecki. Skądinąd wielki miłośnik i entuzjasta sportu w ogóle, a wojskowego w szczególności. Bywał często w brygadzie w ramach prowadzonych kontroli problemowych i kompleksowych, a także z racji egzaminowania oficerów dowództwa brygady z norm z wykształcenia fizycznego, w ramach prowadzonego współzawodnictwa sportowego dowództw ZT na szczeblu okręgu. Potwierdzam słowa redaktora Woźniaka, że pułkownik Derzecki kilkakrotnie obiecał załatwić dla brygady dmuchany balon, spełniający funkcję hali sportowej również w zimie. W rozmowach z dowódcą brygady w mojej obecności przewijała się możliwość podniesienia dachu istniejącej hali. Ale niestety danych obietnic nie dotrzymał. Znałem tego oficera bardzo dobrze, wierzyłem i nadal wierzę, w jego uczciwość, prawdomówność i rzetelność. Ufam, że chciał pomóc, ale tej pomocy jednak nie udzielił, bo po prostu, chyba nie mógł sprostać temu wyzwaniu, albo ono go przerosło. Oceniam więc, że przyczyny tego niepowodzenia, a mogło być ich kilka, były od niego niezależne.

W taki oto sposób w maju 1983 roku rozpoczęła się „sportowa walka” o nową halę sportową dla żołnierzy służby zasadniczej i kadry zawodowej brygady. Dowództwo brygady podjęło rzuconą rękawicę i mimo widocznych już na wstępie znacznych trudności związanych z otrzymaniem gotowego projektu budowlanego hali (rozważało się wtedy o projekcie niemieckim) oraz kłopotów

związanych z pokonaniem zawitych przepisów prawnych, dziarsko przystąpiło do działania. Zdawałem sobie sprawę, że z racji zajmowanego stanowiska będę w tym przedsięwzięciu pod względem organizacyjno – proceduralnym uczestniczył. Liczyłem na wsparcie i pomoc redaktora Woźniaka. Miałem od czasu jego pobytu w brygadzie stały telefoniczny z nim kontakt i bieżące informacje, co nowego się wydarzyło w kręgach zbliżonych do potencjalnych decydentów cywilnych i wojskowych (czytaj: w GKKFiT i w Inspektoracie Szkolenia MON), w sprawie rozpoczęcia budowy nowej hali sportowej w brygadzie,

Z tym przeświadczeniem i dużą dozą optymizmu oraz zgodnie z ustaloną wcześniej prognozą na przeglądzie kadrowym dowódcy Śląskiego Okręgu Wojskowego, w końcu września 1983 roku wyjechałem na 10 miesięcy do Rembertowa, by podwyższyć swoje kwalifikacje na Podyplomowych Studiach Operacyjno-Strategicznych (PSOS) w Akademii Sztabu Generalnego WP. W mojej grupie, w której starszym był pułkownik Jarosław Bielecki (późniejszy generał dywizji zastępca szefa Sztabu Generalnego WP do spraw logistyki) było nas trzech łącznościowców z rocznika podchorążackiego nazwanego przez nas „R-63”: pułkownik Andrzej Bischoff, komandor Marian Moneta, i ja. Była to najliczniejsza w tym kursie grupa oficerów z rodzajów wojsk i to w dodatku oficerowie z jednej promocji zegrzyńskiej szkoły oficerskiej.

W międzyczasie, będąc na naukach w Rembertowie dotarła do mnie bolesna wiadomość. Zmarł nagle 11 grudnia 1983 roku redaktor pułkownik Woźniak. Pomyślałem przez moment o hali sportowej i oceniłem, że – świat się chyba zawalił, ale za moment uzmysłowiłem sobie, że rozpoczęte przez niego to dzieło, trzeba bezwzględnie kontynuować. Ten wspaniały człowiek i oficer nie dokończył swojego sportowego dzieła, które zapoczątkował w słoneczną niedzielę maja, oglądając zmagania na boiskach i na bieżni żołnierzy- sportowców brygady. Osobiście towarzyszyłem redaktorowi, w jego ostatniej drodze na miejsce wiecznego spoczynku. Jest dumny ze swoich dokonań i spogląda dzisiaj z góry z domu Pana na tę nową halę sportową. Jest zapewne z tego powodu bardzo szczęśliwy i uśmiechnięty.

W brygadzie w tym czasie miało miejsce trochę nie zapowiadanych zmian personalnych w dowództwie brygady. Zachorował poważnie dowódca pułkownik Józef Osóbka. Po przebyciu z komplikacjami operacji usunięcia nerki, przez ponad trzy miesiące przebywał na zwolnieniu lekarskim. Z różnych powodów w tym i osobistych, nie dokończył praktyki dowódczej, zastępujący go na stanowisku dowódcy brygady pułkownik Zdzisław Piedziuk, który wcześniej po moim ubyciu do Rembertowa odbywał praktykę na stanowisku zastępcy dowódcy brygady do spraw liniowych. Odszedł również na inne stanowisko do Wałbrzycha, szef sztabu podpułkownik Bogumił Kułak, w wyniku – jak mi przekazano wtedy w sztabie Śląskiego Okręgu Wojskowego – uzyskania przez sztab brygady nie satysfakcjonujących ocen, w czasie kontroli mobilizacyjnej przeprowadzonej przez dowództwo okręgu. Wszystkie te zmiany kadrowe w dowództwie brygady sprawiły, że komisaryczne dowodzenie brygadą w maju 1984 roku dowódca okręgu powierzył podpułkownikowi dyplomowanemu Aleksandrowi Kuberze. Oficer ten 5 września 1984 roku wyznaczony został na to stanowisko rozkazem Ministra Obrony Narodowej. Natomiast ja, po ukończeniu Podyplomowych Studiów Operacyjno – Strategicznych powróciłem do Sieradza i po urlopie wypoczynkowym, w sierpniu 1984 roku wyznaczony zostałem rozkazem Ministra Obrony Narodowej na stanowisko szefa sztabu – zastępcę dowódcy brygady. Na moje miejsce Minister Obrony Narodowej wyznaczył majora Jerzego Dymczyka – szefa sztabu pułku radioliniowo – kablowego ze Strzegomia. Przywołałem wtedy raz jeszcze ze swojej pamięci słowa i postanowienie przedwcześnie zmarłego redaktora Woźniaka. Od pamiętnego pobytu redaktora w brygadzie minął już ponad rok. Pomyślałem sobie, że trzeba zacząć coś robić, by ruszyć z miejsca z budową hali sportowej. Czasu już nie ma na jakieś tam czekanie. Mijały dni i tygodnie. I wreszcie - po kilkukrotnej koleżeńskej konsultacji i wymianie poglądów w gronie dowództwa brygady, - zaproponowałem wtedy, by to – jak je nazwałem - historyczne spotkanie robocze w sprawie budowy nowej hali sportowej w jednostce, z udziałem przedstawicieli władz miasta oraz władz

partyjnych miasta i województwa, odbyło się 26 października 1984 roku, w pomieszczeniu konferencyjnym pokoju gościnnego Internatu Garnizonowego przy ulicy Grunwaldzkiej numer 14 w Sieradzu. Zaproszeni zostali na to spotkanie i uczestniczyli w nim: Prezydent Miasta Sieradza magister Michał Kłos, Sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Sieradzu Czesław Tomczyk, oraz Pierwszy Sekretarz Komitetu Miejskiego PZPR w Sieradzu Zdzisław Raj. Z dowództwa brygady, - jak pamiętam - w tym spotkaniu uczestniczyli: zastępca do spraw liniowych major Jerzy Dymczyk, zastępca do spraw politycznych major Andrzej Szymt, kwatermistrz – zastępca dowódcy podpułkownik Krzysztof Głodek i moja skromna osoba. Zespół ten obradował bardzo merytorycznie i odpowiedzialnie do późnych godzin wieczornych. Padało na tym spotkaniu wiele problemów do wyjaśnienia. Pokazywano również trudności, jakie mogą się pojawić w realizacji tej inwestycji. W dalszych pracach postanowiono skrzętnie wykorzystać dostępne w miarę możliwości aktualne wtedy informacje, dotyczące naszych kłopotów związanych z halą sportową, którymi zaszczepił „centralę” w drugiej połowie ubiegłym roku śp. redaktor Woźniak. Ostatecznie owocem tego spotkania były bardzo odpowiedzialne zapewnienia władz miasta i województwa, że hala sportowa z prawdziwego zdarzenia, potrzebna jest wojsku i miastu i powinna być w przyszłości wykorzystywana, tak przez żołnierzy jak i młodzież szkół Sieradza. Sprawę należy ruszyć od zaraz. Tym bardzo szczytnym i wielce odpowiedzialnym ustaleniem zakończyło się to spotkanie. Ustalono na nim również, że przedstawicielem dowództwa brygady w dalszych ustaleniach, negocjacjach i rozmowach, będzie zastępca dowódcy do spraw liniowych major Jerzy Dymczyk. Jak czas pokazał, był on tą osobą, która skrupulatnie krok po kroku prowadziła to dzieło – jak pamiętam z wieloma oporami i różnymi po drodze kłopotami – ale skutecznie od początku do końca. To wreszcie głównie jego zasługa, że ten sportowy obiekt w brygadzie został wybudowany. Wielka chwała mu za to. Ponad wszelką wątpliwość wiem również, że nieamałą cegiełkę do fundamentu tej hali, dołożył swoją sportową wizytą w

Sieradzu w maju 1983 roku i późniejszymi, wynikającymi z tej wizyty zabiegami, śp. redaktor pułkownik Edward Woźniak.

Kolejny 1985 rok, również obfitował w wydarzenia, które wymagały wiele przedsięwzięć organizacyjno - przygotowawczych. W drugiej połowie stycznia podejmowałem z dowództwem brygady delegację kubańską, która zapoznała się z warunkami socjalno – bytowymi i spędzania czasu wolnego przez żołnierzy służby zasadniczej. Zwiedziła też Salę Tradycji jednostki. Na początku kwietnia stan osobowy brygady i liczne grono zaproszonych gości żegnało wspaniałego człowieka, zasłużonego żołnierza łącznościowca i wieloletniego dowódcę brygady pułkownika dyplomowanego Józefa Osóbkę, który ze względu na stan zdrowia zwolniony został z zawodowej służby wojskowej i przeniesiony do rezerwy (zmarł 7 listopada 2003 roku).

Pierwszego września 1986 roku współorganizowałem z oficerami Komendy Wyższej Oficerskiej Szkoły Wojsk Łączności na rynku sieradzkim, pierwszą i jak się później okazało, ostatnią w okresie powojennym promocję absolwentów Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Łączności z Zegrza (uczelnia ta rozformowana została w 1995 roku z końcem roku akademickiego). Było to wielkie wydarzenie w brygadzie, której powierzona została organizacja tej promocji, jak i w garnizonie dla społeczności sieradzkiej. Przeżyłem też – jako odpowiedzialny za stronę organizacyjną tej uroczystości - chwilę grozy w czasie jej trwania. Opiszę to w wielkim skrócie. Oto przed rozpoczęciem defilady absolwentów, przełożeni i zaproszeni goście musieli przejść z trybuny honorowej na rynku, na trybunę honorową wybudowaną nieopodal liceum ogólnokształcącego na ul. Żwirki i Wigury. Po zajęciu miejsc na trybunie, przez władze wojewódzkie i miasta, kierowniczą kadrę dowództwa Śląskiego Okręgu Wojskowego, Szefostwa Wojsk łączności, szkoły zegrzyńskiej, brygady i zaproszonych gości z miasta i województwa, jeszcze przed rozpoczęciem defilady kończącej uroczystość promocyjną, w jednym z miejsc trybuny, chyba pod znacznym obciążeniem, popękało kilka desek w podłodze. Na szczęście nikt z tego powodu nie ucierpiał. Jak zwykle w takich okolicznościach pojawiło się w kręgach zbliżonych do organów

Wojskowej Służby Wewnętrznej szereg domysłów i podejrzeń. Wszystko jednak w końcu zostało szybko wyjaśnione i okazało się, że był to zwykły losowy przypadek, ponieważ całe to zamieszanie spowodowała wada ukryta w materiale, z którego wykonana została podłoga tej trybuny.

Po uroczystościach promocyjnych, w połowie września zadzwonił do mnie zastępca szefa Wojsk Łączności Ministerstwa Obrony Narodowej pułkownik Zdzisław Klimczyk (zmarł w dniu 1 lipca 1999 r.), proponując zmianę garnizonu na Warszawę, a tam objęcie stanowiska zastępcy szefa Wojsk Łączności Warszawskiego Okręgu Wojskowego (szefem był wtedy pułkownik Aleksander Gruszczyk). Po kilkunastu następnym dniach od zastępcy szefa Departamentu Kadr MON pułkownika Wacława Roztockiego otrzymałem inną skądinąd bardziej ciekawą, a zarazem i intratną propozycję przyjęcia innego stanowiska w dowództwie tego okręgu – szefa Oddziału Kadr. Coś nowego w nieznanym terenie, ale i wielkie dla mnie wyzwanie. Zastanawiałem się nad tymi propozycjami bardzo poważnie i trochę długo, bo w tym okręgu na Warszawskiej Cytadeli nigdy moja noga nie stanęła. Absolutnie go nie znałem. No i wreszcie powiedziałem tak dla drugiej propozycji. Zmaterializowała się więc ta druga propozycja kadrowa i w dniu 17 listopada 1986 roku, po raz pierwszy na szlaku swojej żołnierskiej wędrówki, pełen obaw i niepokoju wylądowałem w murach Cytadeli Warszawskiej na Żoliborzu. Z łącznościowca stałem się w jednej chwili oficerem korpusu ogólnowojskowego w grupie osobowej administracji. Przyszło mi kierować pionem kadrowym, w dowództwie jednostkach i instytucjach Warszawskiego Okręgu Wojskowego.

Na zakończenie moich sieradzkich wspomnień, by je jeszcze trochę wzbogacić treściowo, faktologicznie i literacko ubarwić, niech mi wolno będzie przywołać jedynie dwa z wielu ciekawych zdarzeń, z jakimi spotkałem się na drodze mojej żołnierskiej wędrówki. Dotyczą one okresu przed przyjściem do Sieradza i okresu po odejściu z Sieradza do Warszawy do Dowództwa Warszawskiego Okręgu Wojskowego.

Pierwsze zabawne zdarzenie miało miejsce jeszcze w czasie studiów w Akademii Sztabu Generalnego WP. Ta historyjka, związana była z prowadzonymi zajęciami z matematyki. Było to w jeden z poniedziałków na przełomie lutego i marca 1972 roku. Przed godziną ósmą, w holu obok komendanta akademii, jak zawsze zbierali się cywilni wykładowcy z Politechniki Warszawskiej. I traf chciał, że wtedy zjawił się również zastępca komendanta akademii do spraw liniowych generał brygady Włodzimierz Kopijkowski (ur. 10.04.1919 r.- mieszka w Rembertowie), który bardzo zdziwił się widząc tylu cywili w holu.

Podszedł, więc do jednego z tych wykładowców i zapytał co tutaj robią. Na twarzach wykładowców pojawiło się wielkie zdziwienie. Jeden z nich odpowiedział, że za chwilę rozpoczynają zajęcia z matematyki ze słuchaczami na pierwszym roku studiów. Generał zdziwiony tą odpowiedzią zareplikował: co za zajęcia z matematyki? Jest to przecież uczelnia wojskowa, a nie cywilna. Tu przecież żadnych zajęć z matematyki się nie prowadzi.

Nakazał, więc przywołać oficera dyżurnego, który na jego polecenie wyprowadził osoby cywilne poza biuro przepustek akademii. Zdarzenie to rozniosło się po akademii lotem błyskawicy i wywołało wielki szum, szczególnie w środowisku słuchaczy. W tym dniu zajęć z matematyki oczywiście już nie mieliśmy. W dniu następnym w ramach tych zajęć był czas wolny i nauka własna. W wyniku wielu zabiegów oficerów oddziału szkolenia udało się szczęśliwie konflikt ten zażegnać i po kilku dniach zamieszania wszystko wróciło do normy. Generał brygady Włodzimierz Kopijkowski prawdopodobnie już nigdy nie interesował się osobami cywilnymi poruszającymi się po terenie akademii. Jak fama akademicka głosiła generał ten znał się tylko na musztrze pojedynczego żołnierza, którą namiętnie od nas, na co dzień, na swój sposób egzekwował. Sam natomiast nigdy aż tak bardzo o osobistą prezencję i wygląd zewnętrzny nie dbał. Złośliwi słuchacze i ci pracownicy akademii, którym często dawał się we znaki, mówili o nim wówczas, że to – przepraszam za określenie – najmniej gramotny generał Wojska Polskiego.

Kolejne związane było ze spotkaniami towarzyskimi i rocznicowymi z generałem broni w stanie spoczynku Józefem Kuropieską (zmarł 31 sierpnia 1998 roku), który darząc wielką sympatią swój –jak zawsze powtarzał – Warszawski Okręg Wojskowy i żołnierzy wykonujących tam zadania (dowodził tym okręgiem w okresie październik 1956–styczeń 1964), odwiedzał często dowództwo i sztab okręgu na warszawskiej cytadeli.

Pamiętam jak na tych spotkaniach bardzo często opowiadał ciekawe anegdoty i przywoływał różne zdarzenia i epizody z czasów, kiedy nosił żołnierski mundur. W swoich wypowiedziach, z wielką estymą wyrażał się o dowódcach wszystkich szczebli dowodzenia, z okresu wojennego i powojennego. Nie zapominał również o tych, którzy byli jego podkomendnymi z okresu, kiedy dowodził okręgiem, jak i o tych dzisiejszych, którzy podejmują go gościnnie w historycznych murach Cytadeli Warszawskiej. Częstotliwość jego wizyt od początku lat dziewięćdziesiątych w jego okręgu znacznie zwiększyła się. Miał chyba po temu powody. Bywał często kurtuazyjnie na rannej kawie w dowództwie okręgu. Uczestniczył również w oficjalnych uroczystościach z okazji świąt państwowych, wojskowych, a także na uroczystościach okręgowych. Regułą też było, w dobrym tego słowa znaczeniu, że na jego prośbę raz w tygodniu na cały dzień, otrzymywał od dowódcy okręgu do swojej dyspozycji samochód służbowy. Zdarzały się i przypadki, że samochód służbowy dostawał częściej. Nikt i nigdy nie śmiał mu tego odmówić. Tak naprawdę, kiedy tylko zadzwonił po samochód, to zawsze go otrzymał.

Kilkakrotne spotkania kierowniczej kadry okręgu z generałem stanowiły miłe, a dzisiaj już i historyczne wspomnienia, z okazji kolejnych rocznic jego urodzin. Spotkania te poza wrażeniami estetycznymi miały również i swój osobisty wydźwięk, ze względu na szczególną charyzmę generała - jubilata. Najważniejsze oczywiście takie spotkanie odbyło się 25 maja 1994 roku, z okazji 90 rocznicy jego urodzin. Były wtedy przy stole szwedzkim piękne toasty i głoszone przez jubilata miłe wspomnienia, w szczególności z przebytej przez niego żołnierskiej drogi. Naprawdę było co wspominać. Generał czuł się w swoim żywiole – potrafił wszystkich

zainteresować swoimi wypowiedziami rzeczowo podpartymi faktami.



Autor na spotkaniu kierowniczej kadry WOW z okazji 90-tej rocznicy urodzin generała broni w stanie spoczynku Józefa Kuropieski – 25 maj 1994 rok

Kilkakrotne spotkania kierowniczej kadry okręgu z generałem stanowiły miłe, a dzisiaj już i historyczne wspomnienia, z okazji kolejnych rocznic jego urodzin. Spotkania te poza wrażeniami estetycznymi miały również i swój osobisty wydźwięk, ze względu na szczególną charyzmę generała - jubilata. Najważniejsze oczywiście takie spotkanie odbyło się 25 maja 1994 roku, z okazji 90 rocznicy jego urodzin. Były wtedy przy stole szwedzkim piękne toasty i głoszone przez jubilata miłe wspomnienia, w szczególności z przebytej przez niego żołnierskiej drogi. Naprawdę było co wspominać. Generał czuł się w swoim żywiole – potrafił wszystkich zainteresować swoimi wypowiedziami rzeczowo podpartymi faktami.

Opowiadano też przy tej okazji różne anegdotki dzisiejsze i wczorajsze. Prym jak zawsze wiódł generał – jubilat, bo sypał nimi jak z przysłowiowego rękawa. Bardzo ciekawe i pouczające, jak mówił wtedy, były jego spotkania w pałacu prezydenckim oko w oko z prezydentem Rzeczypospolitej Aleksandrem Kwaśniewskim. Zderzenie młodości, jak to mocno podkreślał, z doświadczeniem życiowym i żołnierskim, było czymś w rodzaju substancji wybuchowej, ale w pozytywnym tego słowa znaczeniu, bo zawsze coś dobrego na przyszłość – jego zdaniem – dla obu stron pozostało - i uważał, że pozostanie na zawsze.

Przywołuję więc z mojej pamięci zabawne, ale i skądinąd bardzo pouczające i tylko niektóre wypowiedzi generała, głoszone z odpowiednią swadą na spotkaniach rocznicowych i okolicznościowych z kadrą kierowniczą dowództwa i sztabu okręgu.

Generał - jubilat nie pozwalał nigdy, by w jakikolwiek sposób pomijano go w toastach. Sam je często inicjował i mimo przecież sędziwego już wieku starał się, i to z powodzeniem, dorównywać nam, dużo młodszym od siebie oficerom. Często, więc słyszeliśmy w czasie spotkań z nim: - No, panowie oficerowie, już dawno nie piliśmy, a tylko gadamy i gadamy, mamy przecież nalane w kieliszkach. Kto tu więc kogo ma zapraszać do kielicha? Nie ociągajcie się, bo zmienię o was zdanie. Wywolicie się przecież z okręgu, którym ja w latach pięćdziesiątych dowodziłem. Pamiętajcie nie ma picia alkoholu bez toastów. Biercie ze mnie przykład, ale ten dobry. Nie możecie mi robić wstydu. Dalej, więc do roboty panowie oficerowie – takimi wypowiedziami zawsze kończył swoje wejście toastowe.

Jeśli zaś wznoszono toasty na zdrowie generała - jubilata z życzeniami dla niego zdrowia i 100 lat życia, to on jak zawsze głosem dowódczym natychmiast przerywał ten toast i zwracając się do życzeniodawcy mówił na przykład:

- Panie Pułkowniku, dlaczego Pan mi życzy tylko 100 lat a nie dla przykładu 105 lat lub 110 lat. Mam przecież przed sobą jeszcze wiele lat życia i dużo do zrobienia. Na takie dictum jubilata toasty musiały być oczywiście poprawiane i głoszone ponownie.

Dzielił się też w czasie tych jubileuszowych spotkań swoimi bogatymi wspomnieniami wygłaszając je zawsze barwnie i ze znaną sobie swadą. Dowiedziałem się wtedy, między innymi, że zimą 1935 roku, gdy generał był na pierwszym roku Wyższej Szkoły Wojennej, uczestniczył w pokazie sprzętu łączności w Zegrzu. Zaprezentowano nam – jak się wyraził – wielkie ubóstwo w sprzęcie łączności. Był tym pokazem - jak stwierdził - bardzo niemile zaskoczony. Myślałem – mówił dalej, że ten sprzęt łączności mamy w armii znacznie lepszy. Z takim sprzętem nie da się przecież skutecznie dowodzić i wojować. Trzeba to gdzieś ruszyć – stwierdził na koniec.

Gdy generał - jubilat opowiadał swoje przeżycia, to słuchający go odnosili wrażenie, że ma fenomenalną pamięć. Zawsze swoje anegdoty i wspomnienia zaczynał opowiadać na przykład w ten oto sposób:

- Koniec lat czterdziestych to okres, - jak zaznaczył - prowadzonej na szeroką skalę w wojsku czystki i inwigilacji. Po kilku miesiącach sam zresztą – jak przypominał - zostałem brutalnie aresztowany przez pułkownika Szerszenia w niewyjaśnionych wtedy okolicznościach. Za chwilę zaczynał, na przykład tak opowiadać: Pamiętam - mówił - jak pod koniec stycznia 1950 roku spotkałem przypadkowo na Nowym Świecie w Warszawie podpułkownika Jana Gerharda, który będąc na urlopie w kraju powiedział mi wtedy, że nie otrzymał zezwolenia na powrót na studia do Moskwy, mimo, że do ich ukończenia zostało tylko kilka miesięcy.

W innym przypadku opowiadanie swoje rozpoczynał nawet od pory dnia lub od godziny i dokładnej daty, które przywoływał z przeszłości. Słuchali go wszyscy z zapartym tchem. Opowiadał bardzo ciekawie i przy tym omawiane historyjki opatrywał bardzo szczegółowymi zdarzeniami. Datami i faktami sypał jak z rękawa. Często powoływał się na zapisy w swoich książkach. I znowu powołując się na jakiś cytat, albo ciekawostkę z jego książki, to zawsze wskazywał, że można to odszukać w takiej i takiej książce i na takiej i takiej stronie. Potwierdzam, że nigdy się nie mylił, z tym odsyłaniem do swojej bogatej przecież bibliografii.

Znalazłem i ja chwilę, by w czasie tych spotkań, z generałem – jubilatem spontanicznie zamienić z nim kilka słów. Generał wyraził

natychmiast szczerą ochotę na takie pogawędki dowiedziawszy się, że jestem okręgowym kadrowcem. A było to na uroczystości z okazji jego 89 - tej rocznicy urodzin. Na początku odpowiadałem generałowi na pytania zadawane przez niego, a związane z moją służbą wojskową. Zaciekawilo go to, jak to łącznościowiec z krwi i kości stał się kadrowcem. Wyjaśniłem wszystko krótko, bo wiedziałem, że strasznie nie lubi długich monologów. Zawsze w swoich wypowiedziach bywał konkretny. Kiedy w swojej wyliczance jednostek, w których służyłem na szlaku swojej żołnierskiej wędrówki, wymieniłem brygadę w Sieradzu, w której – zaznaczyłem od razu, - spędziłem kilka lat, to generał natychmiast w swoim stylu jak zawsze to czynił, przerwał mi moją wypowiedź i zaczął:

- Słuchaj no kochany ty mój – latem, a było to w lipcu w 1935 roku byłem w tym twoim Sieradzu jako słuchacz pierwszego roku Wyższej Szkoły Wojennej na ćwiczeniu w ramach podróży operacyjnej, organizowanej wspólnie z drugim rocznikiem uczelni. Mieliśmy wtedy ponad dobę tak zwanej przerwy operacyjnej w tym ćwiczeniu. Wykorzystałem ją po oficerku. Znalazłem w tym Sieradzu porządną restaurację blisko rynku i tam wspólnie z kolegami oficerami przy kolacji suto zakrapianej alkoholem przesiadaliśmy do późnych godzin nocnych. Dużo wypitego alkoholu w upalny wieczór zrobiło swoje i mimo zmęczenia bawiliśmy się jednak świetnie. Oj, to były czasy – westchnął na koniec i dodał, dzisiaj byłoby by to chyba niemożliwe. Była to niejedna próbka jego poetycko - oratorskich możliwości. Pamięć miał wręcz fenomenalną. Zadziwiał nią wszystkich. Gdy znowu przy innej okazji zaczęliśmy rozmawiać na tematy kadrowe, generał nie pozwolił mi czymkolwiek się pochwalić i zwracając się bezpośrednio do mnie mówił:

- Słuchaj kochany, ty mi tu nie opowiadaj, jak załatwia się sprawy kadrowe. Ja, jako dowódca tego okręgu takie sprawy załatwiałem bardzo prosto i błyskawicznie. Wieczorem przychodziłem do sztabu, do swojego biura i po „wcz” dzwoniłem do Spsychalskiego, którym miałem bardzo dobre układy i mówię jemu, słuchaj Marian mam ważną sprawę kadrową. Muszę od jutra

zmienić u siebie dowódcę pułku. Spychalski oczywiście to zaakceptował.



Warszawa 25 maj 1993 r. Autor na spotkaniu kierowniczej kadry WOW z okazji osiemdziesiątej dziewiątej rocznicy urodzin gen. broni w st. spocz. Józefa Kuropieski.

Ja miałem sprawę załatwioną jak widzisz, w kilka minut - mówił. Rano wołałem do siebie oficera personalnego informując go, kto od dzisiaj rana jest nowym dowódcą pułku tam i tam i nakazałem jemu pilnie załatwić pozostałe sprawy związane z tą personalną zmianą. W dalszej rozmowie –jak mówił - mocno ubolewał nad naszymi kłopotami i zastanawiał się dlaczego dzisiaj wy to jakoś ślamazarnie wszystko załatwiacie. Tak na dobrą sprawę nie wiem właściwie, co Wam może przeszkadzać. Ja już na pewno wam w tym ani nie pomogę ani nie doradzę, bo czasy się zmieniły i przepisy się zmieniły, a ja już jestem na zasłużonej emeryturze i długo, spokojnie, ale i aktywnie chcę odpoczywać i nie zajmować się na przykład takimi, jak twoje problemami i innymi służbowymi sprawami.

I na koniec kilka osobistych spostrzeżeń po spotkaniach z generałem. Charyzmatyczny, pełen humoru i żołnierskiego polotu generał broni w stanie spoczynku Józef Kuropieska, był zapraszany również na inne bardziej przyjacielskie, osobiste (np. imieniny, czy urodziny) uroczystości organizowane przez dowódcę okręgu. Zaproszenia zawsze przyjmował, choć w ostatnich latach swojego życia nigdy nie rozstawał się ze swoją laseczką. Mimo tych osobistych ułomności i dolegliwości zachowywał się dziarsko i nigdy nie zawodził i czynnie w nich uczestniczył, zaznaczając zawsze swoją obecność charyzmatycznymi wypowiedziami i gawędziarstwem. Nie musiałem wtedy generałowi się już przedstawiać, bo pamiętał mnie z naszej pierwszej wspólnej rozmowy. Mówił do mnie z daleka donośnym jak zawsze głosem – dzień dobry Panie Pułkowniku, no i jak tam, co słyhać nowego w waszych kadrach. Czy ma Pan Pułkownik mi coś nowego do powiedzenia, od czasu, kiedy ostatni widzieliśmy się? Zmuszony, wręcz prawie przywołany do tablicy, próbowałem nawiązać rozmowę i odpowiedzieć na generalskie pytania i przy tym rozwiać jego wątpliwości. Oj! Trudna była każda z nim rozmowa, bo trzeba było uważać by nie popełnić jakiejś gafy lub nawet drobnego przejęzyczenia. Oj, naprawdę nie darował. Nieraz trzeba było w rozmowie z nim mocno się gimnastykować. A o to przecież nie trudno w rozmowie, z tak niezwykle doświadczonym zawodowo i jednocześnie frontowym generałem.

Myślę, że tezę swoją wypowiedzianą na wstępie dowiodłem, bo intencją moją było przywołać niniejszymi wspomnieniami tak naprawdę tylko najważniejsze, ale myślę, że i najciekawsze moje wspomnienia z lat służby wojskowej, w przeobrażającej się z miesiąca na miesiąc i z roku na rok sieradzkiej brygadzie, w coraz sprawniejszą organizacyjnie i operacyjnie jednostkę łączności naszych Sił Zbrojnych.

Zabierając się do pisania wspomnień domniamałem, że intencją moją będzie również, przybliżenie czytelnikowi niełatwego losu oficera – łącznościowca oraz pokazanie, jak przy odrobinie chęci i łaskawości żołnierskiego losu, można skutecznie dostępnymi środkami i metodami łagodzić trudy życia wojskowego

i rodziny wojskowej, zmieniającej nierzadko kilka, a nawet kilkanaście garnizonów w czasie służby wojskowej.

Zawsze jest tak, że do młodości i ciekawych osobistych przeżyć i dokonań sięga się pamięcią często i najchętniej, tylko nie zawsze udaje się je w miarę wiernie i do końca odtworzyć, bo nasza pamięć często już w ojcowskim wieku nieco szwankuje, co w moim przypadku, mogło znaleźć potwierdzenie. A więc sięgajmy do osobistych przeżyć i dokonań częściej, będą wtedy w przekazie ustnym lub pisemnym wierniejsze, ciekawsze i trwalsze dla potomnych.

Kończąc to wspomnieniowe gadulstwo, niech mi wolno będzie bardzo serdecznie i po żołniersku podziękować kadrze zawodowej niewymienionej personalnie wcześniej w tych wspomnieniach oraz pracownikom wojska. Wasz Szanowne Państwo codzienny trud i wysiłek na powierzonych Wam wtedy odcinkach pracy, zasługuje na podkreślenie i szczególne uznanie. Miedzy innymi wspólne ze mną dzielenie losu w tamtym trudnym jak pamiętamy okresie w brygadzie, było dla mnie czymś, czego nigdy nie zapomnę i wspominał będę z należnym szacunkiem i szczególnym uszanowaniem. Wdzięczny pozostaję także, za okazywany mi szacunek, wsparcie i codzienną pomoc, w realizacji niełatwych wtedy zadań służbowych.

Plk w st. spocz. Karol Kocialkowski

Warszawa 27.05.2008 r.



Płk dypl. Aleksander Kubera

WSPOMNIENIA Z LAT 1984-1986

Obowiązki dowódcy 15 BRLK objąłem 03.05.1984 roku w sposób typowy dla mojej „kariery” wojskowej. W większości przypadków objęcie kolejnego stanowiska związane było z potrzebą wykonania określonego zadania lub zaprowadzenia porządku w danej jednostce czy w pododdziale / np. przyjęcie obowiązków d-cy kompanii łączności czy d-cy 10 PŁ/

W dniu 03.05.1984 r., a był to poniedziałek, jak zwykle przyszedłem do pracy w SWŁ SOW i nic nie zapowiadało radykalnej zmiany w moim życiu. Około godziny 08:00 zadzwonił na bezpośredni telefon Szef Sztabu SOW i zaprosił mnie do siebie. Zabrałem notatnik i niezwłocznie zameldowałem się w Jego gabinecie. On bez słowa przywitał się zemną i zaprowadził do D-cy SOW generała J Kuriaty. D-ca SOW, po przywitaniu, zadał mi tylko jedno pytanie: „ile czasu potrzebuję, aby przygotować się do wyjazdu?” Trochę mnie to zaskoczyło, ponieważ nikt nie powiedział, po co jest ten wyjazd oraz dokąd. Odpowiedziałem, że wystarczy 5 minut, ponieważ muszę zamknąć sejf oraz ubrać się. D-ca podczas pożegnania powiedział, że o szczegółach zostaną

poinformowany w czasie jazdy. Na trasie z Wrocławia do Walichnowej nie usłyszałem ani jednego słowa na temat tej osobliwej wycieczki. Przez głowę przebiegało mi tysiące myśli – zresztą podobnie jak w czasie dojazdu z domu do 10 PŁ w 1983 r., gdy po południu, bez uprzedzenia do pułku przyjechał Minister Obrony Narodowej –gen. W. Jaruzelski, co było dotychczas niespotykaną praktyką.

Na skrzyżowaniu drogi Warszawa-Łódź Szef Sztabu gen. E. Bołociuch powiedział, proszę skrócić w lewo i spytał mnie czy wiem dokąd jedziemy. Odpowiedziałem, że prawdopodobnie do Sieradza i znów zapadło długie milczenie. Przed Złoczewem, z bocznej drogi wyjechała fura z obornikiem i kierowca musiał ostro zahamować. Pamiętam doskonale, jak Szef Sztabu używając analogi do tej fury, zaczął przedstawiać cel naszego wyjazdu. O szczegółach dowiedziałem się w czasie odprawy kierowniczej kadry brygady.

W tym czasie sytuacja w dowództwie brygady była trudna, ponieważ d-ca ppłk J. Osóbka od dłuższego czasu przebywał na zwolnieniu lekarskim, etatowy zastępca ds. liniowych ppłk K. Kociałkowski był na szkoleniu w AON, a zastępował go będący na praktyce ppłk G. Piedziuk z AON. Trzy miesiące wcześniej obowiązki zastępcy ds. politycznych przyjął ppłk A. Szmyt. W dowództwie brygady ze stosunkowo długim stażem byli: szef sztabu ppłk B. Kułak, zastępca ds. technicznych ppłk J. Więclawski i kwatermistrz ppłk K. Głodek. Nie znałem powodów, dla których obowiązki d-cy brygady pełnił praktykant, a nie regulaminowo do tego przeznaczony szef sztabu /dzisiaj mogę się tylko domyślać, dlaczego tak było/. Odprawa prowadzona przez Szefa Sztabu SOW była bardzo krótka i sprowadziła się do następujących tez:

- od tej chwili d-cą brygady jest ppłk A. Kubera,
- obowiązki pełnił będzie komisarycznie przez okres trzech miesięcy,
- nie ma potrzeby przyjmowania protokolarnego ludzi i mienia,
- w brygadzie jest 16 żołnierzy zawodowych nadużywających alkohol i w trybie pilnym należy zrobić z nimi porządek,
- komisaryczny d-ca brygady ma prawo we wszystkich sprawach zwracać się bezpośrednio do Dowódcy SOW z

pominięciem drogi służbowej.

Na zakończenie Szef Sztabu SOW przekazał kilka zdań kurtuazyjnych i odjechał wraz Szefem Wojsk Łączności, płk W. Komarzańskim, zostawiając mnie w tym, co miałem na sobie nawet bez szczoteczki do zębów. Bardzo przepraszam za zbyt długi wstęp, lecz chciałem pokazać złożoność sytuacji, w jakiej znalazłem się z zaskoczenia, w pierwszym dniu komisarycznego dowodzenia brygadą.

Nie było czasu, aby się długo zastanawiać, należało zabrać się za metodyczną planowa robotę. Jako doświadczony dowódca miałem świadomość, iż 3 miesiące może się wydłużyć i wówczas zgodnie z obowiązującym prawem będę ponosił pełną odpowiedzialność za ludzi i powierzone mienie. W związku z tym nazajutrz nakazałem osobom funkcyjnym dokonanie samokontroli podległego stanu osobowego i mienia oraz złożenie pisemnego meldunku. Specjalnie nie zdziwiło mnie, iż w pisemnych meldunkach nie były wykazane żadne nieprawidłowości. Toteż powołałem w rozkazie jednostki komisję, która dokonała dokładnego sprawdzenia ludzi, broni, amunicji oraz zasadniczego sprzętu. Zadania postawione przed jednostką były wykonane terminowo i profesjonalnie - otrzymaliśmy ocenę dobrą.

Pamiętam z tego okresu incydent, który wydarzył się w czasie zbiórki żołnierzy rezerwy na placu apelowym. Na zakończenie ćwiczenia mobilizacyjnego dokonałem ogólnego podsumowania ćwiczenia, wręczyliśmy wyróżniającym się żołnierzom rezerwy nagrody i podziękowania oraz tradycyjnie zadałem pytanie czy jest jakaś sprawa lub problem, o którym powinno wiedzieć dowództwo brygady. Z głębi szyku wystąpił szeregowy rezerwy i bez owijania w bawełnę zapytał mnie, kiedy oddam mu zarekwizowaną wódkę /a było to kilka butelek/, którą odebrał mu "jakiś" kapitan i przekazał mi do depozytu. Oczywiście, ani ja, ani nikt z dowództwa brygady o tym nic nie wiedział. Wyjaśnieniem sprawy zajął się z-ca ds. politycznych. Jak ustalił, rzeczywiście taki fakt miał miejsce z tym wyjątkiem, że odebrana żołnierzowi wódka nie trafiła do depozytu, lecz została przez tegoż kapitana wypita. Niedługo po tym nieprzyjemnym incydencie tenże kapitan, wykonując zadanie

służbowe, namówił dwóch żołnierzy służby zasadniczej na składkową butelkę wódki i jego pech polegał na tym, że sam wypił większą część jej zawartości, a żołnierzom do podziału pozostawił mniej, mimo odwrotnie proporcjonalnego wkładu finansowego. O tej sprawie również dowiedziało się dowództwo brygady i w konsekwencji o jednego żołnierza nadużywającego alkohol w jednostce było mniej. W tym momencie pragnę z całą stanowczością podkreślić fakt, iż w zdecydowanej większości żołnierze rezerwy, w czasie tych kilkudniowych ćwiczeń, pokazali wielkie przywiązanie do swojej jednostki oraz poczucie patriotyzmu i obywatelskiej odpowiedzialności. Chciałbym również podkreślić, że w jednostce w tym czasie nie było "problemu alkoholowego". Sporadyczne przypadki, które niekiedy się zdarzały, były spowodowane między innymi brakiem stosownego miejsca /kasyna/, gdzie można byłoby w sposób kulturalny spotkać się z kolegami czy rodzinami. Toteż dowództwo brygady podjęło działania, aby poza koszarami adaptować istniejącą maleńką kawiarenkę /tzw. Scyzoryk/ i stojący opodal blok magazynowy na kasyno-kawiarnię, która spełniłaby oczekiwania kadry i ich rodzin. Mimo wykonanego projektu adaptacji i podjęcia starań o pozyskanie funduszy, do końca mojej kadencji nie udało się tego tematu zrealizować.

Tempo realizowanych zadań i następujących po sobie zdarzeń, w tym początkowym okresie mojego dowodzenia brygadą, było oszałamiające. Jeszcze nie zdążyliśmy odtworzyć gotowości po ćwiczeniu mobilizacyjnym, a już pełną parą ruszyły przygotowania do udziału w planowym ćwiczeniu frontowym na obszarze północnej i środkowej części kraju. Było to stosunkowo nowe wyzwanie dla mnie, ponieważ do tej pory nie miałem sposobności brać udziału, a co za tym idzie osobiście odpowiadać za planowanie, przegrupowanie, rozwijanie i eksploatację radioliniowo-przewodowego systemu łączności o tak dużym rozmachu, przy udziale sił i środków trzech batalionów. Jednak profesjonalizm i doświadczenie, jakie posiadali oficerowie sztabu, a w szczególności sekcji eksploatacji pod kierownictwem ppłk Korskigo spowodowało, że tak planowanie systemu łączności jak i jego eksploatacja przebiegły bez problemu. Ich wnioski i przedstawiane

propozycje były dla mnie, przy podejmowaniu stosownych decyzji trafne i bardzo pomocne. Również poważne potraktowanie swoich obowiązków, poświęcenie i zaangażowanie kadry pododdziałów: dowódców batalionów, kompanii, a w szczególności dowódców stacji radioliniowych i aparatowni zaowocowało bardzo dobrą oceną, jaką otrzymaliśmy od Dowódcy Frontu i SWŁ SG WP. Po zakończeniu ćwiczenia powrót do garnizonu odbywał się kolejną. Ja, wraz z grupą oficerów, przybyłem do garnizonu i przystąpiliśmy do planowania odtworzenia zdolności bojowej.

W czasie, kiedy na transport kolejowy ładował się ostatni batalion, do brygady przyjechał - jak to zameldował oficer dyżurny - „jakiś” generał. Gdy szedłem przedstawić się, na schodach spotykam generała, który zapytał mnie czy ja Go znam. Odpowiedziałem, że oczywiście gdyż trudno nie znać Szefa Inspekcji SZ. Najgorsze okazało się po kilku minutach, kiedy po kurtuazyjnej wymianie zdań generał oświadczył, że od jutra rozpoczyna się w brygadzie inspekcja SZ. Nie pomogły żadne tłumaczenia, że cześć brygady nie powróciła jeszcze z trzytygodniowych ćwiczeń i jest w rejonie załadowczym, że potrzebujemy chociaż kilku dni na zrobienie podstawowych porządków itp. Towarzyszący generałowi oficer /sekretarz komisji/ wręczył mi plan przeprowadzenia inspekcji, która rozpoczęła się nazajutrz rano. Było to kolejnych kilkanaście dni ciężkiej i odpowiedzialnej walki o jak najlepsze oceny. I znów kadra zawodowa, żołnierze służby zasadniczej oraz pracownicy cywilni stanęli na wysokości zadania i z wielkim poświęceniem walczyli o jak najlepsze wyniki. Zdecydowana większość uzyskanych ocen to były oceny dobre, jednak na końcowy efekt miała wpływ jedna ocena dostateczna z działu priorytetowego. Po zakończonej Inspekcji nastąpił w końcu okres trochę spokojniejszy i można było przystąpić do odtwarzania gotowości bojowej, realizacji zaleceń pokontrolnych i planowej działalności służbowej.

Jak widać, w tych pierwszych miesiącach po wyznaczeniu mnie na stanowisko, wysiłek stanu osobowego brygady był olbrzymi, ale z satysfakcją muszę podkreślić, że nie daremny. Zadania, które przyszło nam realizować, wykonaliśmy z honorem

na dobrym poziomie. Wir zajęć i realizacja różnorodnych przedsięwzięć miał dobre i złe strony. Do dobrych zaliczam to, iż w bardzo krótkim czasie mogłem dość głęboko zapoznać się ze specyfiką zasadniczych zadań, do których była przeznaczona brygada oraz w miarę obiektywnie poznać poziom operacyjno-taktycznego wyszkolenia kadry sztabu i pododdziałów. Niestety, miało to niewątpliwie negatywny wpływ na moje życie osobiste i rodzinne.

Ten okres charakteryzował się ciągłym przebywaniem w jednostce i brakiem kontaktów z władzami miasta czy województwa. Do pierwszego oficjalnego spotkania doszło dopiero w październiku z okazji święta WP.



Sieradz 1984 r. Uroczystość w Teatrze Miejskim z okazji Święta Wojska Polskiego. Na zdjęciu w pierwszym rzędzie, drugi od lewej strony prezydent Sieradz Micha Kłos, piąty od lewej strony płk Aleksander Kubera.

Spotkanie to uświadomiło mi jak wielkim autorytetem cieszy się kadra jednostki wśród społeczeństwa oraz władz administracyjno-politycznych województwa i miasta Sieradza. Ta nad wyraz przychylna atmosfera, niewątpliwie zaowocowała nawiązaniem wzajemnie korzystnej współpracy. Takim przykładem, który potwierdza partnerskie stosunki pomiędzy władzami miasta i dowództwem jednostki było podjęcie niecodziennej decyzji o wspólnej budowie sali widowiskowo-sportowej na terenie jednostki, finansowanej z budżetu miasta. Pikanterii tej sprawie dodaje fakt, iż taka sala była potrzebna tak miastu jak i wręcz niezbędna naszej jednostce. Pomimo stosunkowo dużego stanu osobowego kadry i żołnierzy brygada nie miała hali sportowej, na której można byłoby prowadzić zajęcia z wychowania fizycznego lub rozgrywki sportowe. W zasadzie projekt ten wydawał się nierealny, tym bardziej, że przełożeni bali się związanego z nim ryzyka i podchodzili do niego bardzo sceptycznie, tłumacząc mi, że nie znają przypadku w wojsku, aby inwestycja o takim rozmachu i na takich warunkach komukolwiek się udała. Mimo wszystko postanowiliśmy wraz z ówczesnym Prezydentem Sieradza Panem Michałem Kłosem, wspaniałym człowiekiem, z którym do dzisiaj łączą nas przyjacielskie stosunki, walczyć o realizację naszego pomysłu. O ile Prezydent Sieradza miał w miarę prostą sytuację, ponieważ dla niedawno powstałego prężnie rozwijającego się miasta wojewódzkiego, jakim był Sieradz, pieniądze nie stanowiły problemu nie do przeskoczenia, o tyle w wojsku pozytywne załatwienie sprawy stanowiło nie lada problem. Zasadnicza trudność polegała na przekonaniu przełożonych, że mimo funkcjonujących w wojsku negatywnych opinii na temat podobnych wspólnych przedsięwzięć, nasze jest możliwe do zrealizowania. Jednak wyczuwało się asekurację i niechęć do podjęcia ryzyka. Po długich negocjacjach udało nam się w końcu, wraz z Panem Prezydentem, dotrzeć do Dowódcy SOW gen. J. Kuriaty i deklaracjami dać zapewnienie o osobistej odpowiedzialności za realizację tego projektu. W tej sytuacji D-ca SOW przeczytał projekt umowy pomiędzy Prezydentem m. Sieradza oraz D-cą Garnizonu Sieradz i przychylił się do naszego pomysłu podpisując stosowne dokumenty.

Muszę w tym miejscu podkreślić z całą mocą, iż dzięki osobistemu zaangażowaniu Pana Prezydenta Sieradza już po kilku miesiącach projekt budowlany był gotowy i została zabezpieczona pierwsza transza pieniędzy. Inwestycja ruszyła z impetem, dalsze etapy realizacji przypadły następcom. Do całkowitego zakończenia inwestycji według pierwotnej koncepcji pozostało tylko wybudowanie krytego basenu. Już po latach, kiedy tylko mam zaszczyt i przyjemność spotkać Pana gen. Kuriatę zawsze poruszany przez Niego jest temat tej inwestycji.

O dobrze układających się stosunkach między władzami miasta, gminy i wojskiem niech świadczą między innymi takie fakty jak pozyskanie od miasta, o ile dobrze pamiętam, 50 mieszkań o zdecydowanie większym standardzie aniżeli dotychczasowe oraz dzięki przychylności naczelnika gminy Sieradz Pana E. Gabary nieodpłatne użyczenie kilku hektarów ziemi na poligon do ćwiczeń taktyczno-specjalnych w m. Sokołów.

Brygada należała do jednostek elitarnych, gdzie kadry zawodowej bardzo dobrze się służyło, niejednokrotnie od początku służby aż do jej zakończenia. Sporadyczne były przypadki, iż ktoś przybył z innej jednostki lub chciał odejść z brygady. To wytworzyło specyficzną atmosferę służby. Większość kadry dążyła do pracy w sztabach /batalionów, brygady/ unikając pracy z żołnierzami w pododdziałach. Status sztabowca cieszył się wyższym prestiżem i oczywiście większym spokojem. Praca dowódców różnych szczebli była ciężka, bardziej odpowiedzialna, ale niestety nie zawsze właściwie doceniana. Stąd kluczowym zadaniem dowództwa brygady była pilna potrzeba zmiany tej sytuacji. Dowództwo brygady w sposób szczególny doceniało wysiłek tych dowódców pododdziałów, którzy starali się i chcieli pracować. Miało to odzwierciedlenie nie tylko w systematycznym i pryncypialnym ich rozliczaniu z efektów szkoleniowych i dyscypliny, lecz również przy wyróżnieniach, a w szczególności w pierwszeństwie awansów, odznaczeń czy też przy przydziale i zamianie mieszkań itd. Oficerowie szeroko pojętego sztabu brygady zostali zobowiązani do udzielania pomocy dowódcom pododdziałów oraz do objęcia nadzorem i osobistą odpowiedzialnością za podległe

im działały poszczególne służby. Również na zmianę mentalności kadry duży wpływ wywarło nadanie znaczenia i podniesienie rangi współzawodnictwa między pododdziałami i służbami oraz inne niż do tej pory prowadzenie przeglądu kadrowego, podczas którego każdy żołnierz był oceniany przez swojego bezpośredniego przełożonego w obecności dowództwa brygady. Te i inne wprowadzone zasady spowodowały, iż minął okres apatii, kadra uwierzyła w swoje możliwości. Najlepszym dowodem niech będzie fakt, jaki miał miejsce, gdy otrzymaliśmy pierwsze w Siłach Zbrojnych egzemplarze stacji troposferycznych, do nauki i uruchomienia których przełożeni chcieli nam przysłać rosyjskich instruktorów. Mimo, że dokumentacja była w języku rosyjskim i po raz pierwszy widzieliśmy te stacje na oczy, kadra postanowiła sama, bez pomocy z zewnątrz zapoznać się z nimi i je uruchomić. Tutaj wielką wiedzą i uporem wykazali się mjr Stanisław Krzysiak, kpt. Andrzej Bierła, por. Ryszard Laszczyk, chor. Jerzy Biernat, chor. Czesław Dobras, chor. Piotr Małkowski, chor. Wiesław Arciszewski. Jakież było zdziwienie i zaskoczenie komisji SG, gdy po kilku miesiącach samodzielnej nauki okazało się, że nasi dowódcy są nie gorsi niż rosyjscy instruktorzy, a nawet w niektórych elementach wiedzy technicznej znacznie ich przewyższają. Kolejnym przykładem poświęcenia i wielkiego zaangażowania była postawa sierżanta Konieczki, który wraz z grupą żołnierzy, w ciągu dwóch miesięcy zinwentaryzował i postawił „systemem gospodarczym”, leżącą w zapomnieniu kilka lat, konstrukcję garażu SGS-36. Taki sam garaż na węzle łączności SOW firma stawiała przez 8 miesięcy. Mimo upływu już 20 lat garaż jest nadal eksploatowany.

Czas w jednostce biegł nadspodziewanie szybko. Ani się obejrzałem jak minął rok dowodzenia, a zapowiadane na początku trzy miesiące już dawno przeminęły. Przełożeni wymijająco dawali do zrozumienia, że z wyników i osiągnięć brygady są zadowoleni, stąd też nie zamierzają zmieniać dowódcy brygady, ale przeprowadzać rodziny do Sieradza nie zalecają. Sprawa kolejnej rozłąki z rodziną była o tyle istotna, że na wyłącznym wychowaniu

zony było dwóch chłopców mających 8 i 18lat. Od dłuższego czasu miałem z nimi tylko sporadyczny kontakt.

Po zmianach, jakie zaszły w składzie dowództwa brygady /przybycie na stanowisko szefa sztabu ppłk K. Kociałkowskiego, na zastępcę d.s. liniowych mjr J. Dymczyka / ważnym zadaniem była integracja dowództwa brygady i ich rodzin. Temu celowi służyły organizowane raz na 1-2 miesiące spotkania towarzyskie wraz z żonami. Spełniały one bardzo ważną rolę, pozwalały na lepsze wzajemne poznanie się i nieskrępowane wyjaśnianie sobie problemów, których nie sposób było rozwiązać w trybie służbowym.

W brygadzie bardzo prężnie funkcjonowało koło łowieckie. Nic też dziwnego, że dzięki namowie takich wspaniałych pasjonatów myślistwa jak koledzy Aleksander Rawski, Bogdan Szczeciński, Zygmunt Pajak ja też zostałem myśliwym. Atmosfera na polowaniach była wspaniała i wcale nie najważniejsze było zabijanie zwierzyny, ważny był sam pobyt na łonie natury, spotkanie się oko w oko ze zwierzyną, a nade wszystko możliwość spotkania się i nieskrępowanego porozmawiania z myśliwymi, których większość była z jednostki, gdyż koło było wojskowe.

Na zakończenie chciałbym podkreślić, że przebyte dwadzieścia siedem miesięcy w brygadzie uważam za jeden z bardziej przyjemnych i satysfakcjonujących okresów mojej służby. W stosunkowo krótkim czasie udało mi się nawiązać partnerskie stosunki z kadrą zawodową brygady, z gospodarzami miasta Sieradza, pozostawić po sobie trwałe wartości, o których wcześniej już wspominałem. Pozwolę sobie jednak jeszcze raz w skrócie o niektórych z nich przypomnieć. I tak: stworzono podwaliny pod budowę hali widowiskowo-sportowej, pozyskano mieszkania o podwyższonym standardzie, wybudowano garaż SGS-36, dobudowano drugą część stołówki żołnierskiej, wyłożono plac zbiórek betonowymi płytkami, opracowano koncepcję i projekt ciągu obsługowo-technicznego do codziennej obsługi pojazdów, pozyskano teren do ćwiczeń taktyczno – specjalnych w Sokołowie.

Jednak największą satysfakcję sprawił mi fakt, iż mimo trudnych i skomplikowanych warunków, w jakich rozpoczynałem dowodzenie brygadą, udało się odzyskać dobrą opinie o brygadzie,

czego wyrazem były liczne wyróżnienia nadane jednostce przez przełożonych oraz kadrze za udział w ćwiczeniach, za wysokie wyniki szkoleniowe i kształtowanie dyscypliny wojskowej.



Sieradz 1985 rok. Płk Aleksander Kubera wręcza odznaczenia żołnierzom zawodowym brygady.

Proszę tego nie zrozumieć, że chwale się przypisując zasługi sobie, ponieważ prawdą jest, iż wszystkie sukcesy były możliwe tylko dzięki wysiłkowi, zrozumieniu i ofiarnej pomocy ze strony moich zastępców, kadry zawodowej, pracowników wojska - **ZA CO IM DZISIAJ JESZCZE RAZ SERDECZNIE DZIĘKUJĘ.**

Płk w st. spocz. Aleksander Kubera.

Wrocław 08.04.2008 r.



**Gen. brig. dr hab. inż.
Andrzej Szymonik**

MOJE WSPOMNIENIA

Do Sieradza przybyłem w październiku 1988 r., po zakończeniu służby w 14 Pułku Radioliniowo-Kablowym w Strzegomiu i objąłem stanowisko szefa sztabu zastępcy dowódcy 15 BRLK. W 1997 r. Rozkazem Ministra Obrony Narodowej zostałem wyznaczony na stanowisko dowódcy brygady. Funkcję tą pełniłem do 17 września 2004 r.

W czasie mojego dowodzenia w brygadzie zaszły zdarzenia (po raz pierwszy), które na długo zapamiętałem i zapewne przejdą do historii. A oto niektóre z nich.

- W 1999 r. jednostka wojskowa otrzymała pierwsze aparatownie cyfrowe RWŁC 10 K i RWŁC 10 T, które stopniowo zastępowały sprzęt starszej generacji. Nie było łatwo nauczyć się eksploatacji sprzętu, którego nikt nie znał i należało zaczynać od podstaw. Dzięki takim ludziom jak płk J. Kowalski, ppłk M. Lewandowski, mjr A. Paterczyk, kpt. G. Wójcicki, chor. P. Angelus, chor. K. Hutnik i wielu innym, żołnierze brygady przystąpili do szkolenia siebie i podwładnych. Szkolenie obejmowało tematykę:

technologia wykonania sieci lokalnych i rozległych; topologia budowy sieci lokalnych i rozległych; protokoły wykorzystywane do komunikacji w sieciach komputerowych; instalacja, konfiguracja i testowanie protokołu TCP/IP; zasady działania urządzeń aktywnych sieci; budowa, działanie i konfiguracja routerów; instalacja i konfiguracja serwerów kontrolerów domeny; instalacja i konfiguracja serwerów pocztowych; instalacja i konfiguracja systemów klienckich; praktyczna budowa sieci lokalnych; praktyczna budowa sieci rozległych z wykorzystaniem różnych mediów transmisyjnych; zarządzanie sieciami komputerowymi. Były to rzeczy wyjątkowe, ciekawe, nowe i trudne. Szkolenie przyniosło efekty, czego dowodem były oceny z ćwiczeń z wojskami takim jak: „SYNCHRO 2000”, „STRONG REASOLVE 2002”.

- W 2000 roku utworzono Parafię Wojskową w Sieradzu.



Pomysł powstania Parafii Wojskowej zrodził się podczas mojej rozmowy z księdzem prałatem Józefem Frątczakiem. Dzięki dużemu zaangażowaniu księży kapelanów majorów: Zenona Sodzawicznego i Jerzego Niedbały oraz wspaniałomyślności i dobrodziejstwu

ówczesnego księdza biskupa polowego generała dywizji Sławoja Leszka Głodzia 8 listopada 2001 roku otrzymaliśmy świątynię na potrzeby duszpasterstwa wojskowego.



Rozpoczęliśmy remonty i zabiegi upiększające a po obraz do głównego ołtarza pojechałem wspólnie z żołnierzami brygady i księdzem kapłanem majorem Jerzym Niedbałą do Częstochowy na Jasną Górę.

▪ W dniu 25 maja 2001 roku nasza Brygada zmieniła usytuowanie na mapie militarnej państwa. W obecności dowódcy Garnizonu Warszawa generała brygady M. Maindy, szefa Generalnego Zarządu Dowodzenia i Łączności generała brygady E. Smakulskiego oraz szefa szkolenia Dowództwa Wojsk Lądowych generała brygady J. Barana i zastępcy dowódcy ŚOW generała brygady M. Samarcewa uroczystie przekazano 15 Sieradzką Brygadę Radioliniowo- Kablową w podporządkowanie Dowództwu Garnizonu Warszawa.





▪ Dzięki dużemu zaangażowaniu ówczesnego szefa logistyki Pana pułkownika S. Gardzielik, w miejsce zlikwidowanego przedszkola wojskowego, na potrzeby garnizonu powstał Klub Garnizonowy w centrum Sieradza. Uroczyste otwarcie nastąpiło 03.05.2002 roku.



Po dzień dzisiejszy Klub jest miejscem spotkań towarzyskich nie tylko kadry wojskowej i rezerwistów ale również mieszkańców miasta Sieradz.

▪ Od 1 stycznia 2003 r. Decyzją Ministra Obrony Narodowej 15 Sieradzka Brygada Radioliniowo- Kablowa przyjęła nazwę 15 Sieradzka Brygada Wsparcia Dowodzenia.



- W rocznicę przyjęcia Polski do NATO 12 czerwca 2003r. odebrałem z rąk Ministra Obrony Narodowej wyróżnienie dla Jednostki Wojskowej - Znak Honorowy Sił Zbrojnych RP.



▪ Rok 2003 obfitował w wiele innych istotnych dla mnie i Jednostki wydarzeniach. Po powrocie z urlopu z Turcji do Polski otrzymałem telefon od przełożonego Pana generała brygady M. Maindy, że mam zameldować się do ministra Obrony Narodowej.

Pod koniec lipca 2003, wraz z grupą generałów i pułkowników zostałem poinformowany przez Pana Jerzego Szmajdzińskiego, że jeśli nic nie ulegnie zmianie to 15 sierpnia zostaniemy awansowani na kolejne stopnie wojskowe, i tak też się stało. Wraz z żoną Pod koniec lipca 2003, wraz z grupą generałów i pułkowników zostałem poinformowany przez Pana Jerzego Szmajdzińskiego, że jeśli nic nie ulegnie zmianie to 15 sierpnia zostaniemy awansowani na kolejne stopnie wojskowe, i tak też się stało. Wraz z żoną udaliśmy się do stolicy ponieważ 14 sierpnia odbierałem decyzję nr 460/Pers. Ministra Obrony Narodowej z dnia 23 lipca 2003 r. w sprawie wpisu mojej osoby do „Księgi Honorowej Ministra Obrony Narodowej” za wybitne osiągnięcia w służbie wojskowej, w szczególności za duży wkład i dokonania w umacnianiu obronności Rzeczypospolitej Polskiej.





Następnego dnia po mszy w Katedrze Polowej Wojska Polskiego przemieściliśmy się do Belwederu gdzie na dziedzińcu odebrałem z rąk prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego akt nominacji na stopień generała brygady.





Minister Obrony
Narodowej J.
Szmajdziński
wręczył wszystkim
nowo-
mianowanym
generałom
pamiątkowe szable.

Jeszcze tylko pamiątkowe zdjęcie z prezydentem
uwieczniające chyba najciekawszy dzień w moim życiu.



Oczywiście spotkałem wielu wspaniałych ludzi, a ponieważ
było i jest ich bardzo dużo nie będę ich wymieniał z imienia i

nazwiska, by nikogo nie pominąć i nie urazić. Jednak chciałbym wspomnieć o pierwszym moim dowódcy w brygadzie Panu pułkowniku W. Hammerze, który swoją osobowością, wiedzą fachową i kulturą dowodzenia ujął mnie i stał się wzorem do naśladowania na drodze dalszej służby.

Na zakończenie wspomnień chciałem podkreślić, że zdobyte doświadczenie i wiedzę wykorzystywałem na kolejnych stanowiskach służbowych. Będąc zastępcą dowódcy DGW i dyrektorem Departamentu Nauki i Szkolnictwa Wojskowego MON korzystałem z tego czego nauczyłem się w brygadzie. Z wielkim sentymentem wspominam 16. lat służby w Sieradzu, to był pierwszy szczebel w wyboistej drodze do mojej kariery naukowej.

Gen. bryg. Andrzej Szymonik

Warszawa 14.12.2008 r.



Płk mgr inż. Jan Kowalski

SIERADZKIE WSPOMNIENIA

Kończyła się pierwsza połowa 1965 roku. Wówczas to po raz pierwszy, wraz z kolegami pierwszej kompanii podchorążych, przyjechałem do Sieradza. Podróż z Łodzi odbywaliśmy wagonami widywanymi w starych filmach. Wzdłuż każdego wagonu ciągnął się na zewnątrz jeden długi stopień. Wewnątrz nie było przedziałów. W poprzek wagonu stały drewniane, profilowane ławki. Dworzec kolejowy niewiele różnił się od dzisiejszego. Sieradz tamtych lat był kilkunastotysięcznym miasteczkiem podobnym do wielu innych w Polsce.

Z dworca udaliśmy się do koszar 15 Pułku Radioliniowo-Kablowego gdzie mieliśmy odbywać praktyki dowódcze. Po pierwszych oficjalnych spotkaniach w budynku sztabu rozesłano nas do pododdziałów. Z ówczesnego dowództwa pułku zapamiętałem dowódcę pułku płk Stanisława Sadowskiego, szefa sztabu ppłk Zbigniewa Wilanowskiego, zastępcę ds. liniowych ppłk Tadeusza Wypycha oraz zastępcę ds. technicznych ppłk Jerzego Straucha.



Zegrze Południowe 1963 r. Podchorążowie pierwszej kompanii. Na zdjęciu stoją od lewej strony: Tadeusz Doliński, Sławomir Morawski, Marian Szalas, Andrzej Rubiś, Roman Klem, Janusz Liwak, Ryszard Fijołek, Ryszard Jędralski, Krzysztof Jackiewicz, Stanisław Sławski, Zdzisław Deptała; poniżej od lewej strony: Lucjan Kaduk, Emil Put, Jan Kowalski, Jerzy Beńko.

W celu odbycia praktyki zostałem skierowany do kompanii radioliniowej na stanowisko dowódcy plutonu kablowego. Był to pluton skadrowany, posiadający na czas „P” tylko kierowców, wozy kablowe oraz kabel TTWK. Pozostali żołnierze powoływani byli na czas „W” oraz na przeszkolenia i ćwiczenia. Dowódcą batalionu radioliniowego był pplk Henryk Pietkiewicz, zaś kompanią, do której zostałem skierowany dowodził por Stanisław Jarosz.

W czasie trwania naszej praktyki odbywały się dwa duże ćwiczenia. Teren tych ćwiczeń rozciągał się wzdłuż północnego pasa Polski, od Mazur do zachodniej granicy. Przejazd na ćwiczenia i powrót z nich odbywał się transportem kolejowym. Ze względu na intensywność i czas trwania ćwiczeń nie było mi dane bliższe poznanie Sieradza. W trzecim dniu praktyki zostali powołani na ćwiczenia żołnierze rezerwy. Mój pluton został w pełni skompletowany. Większość żołnierzy pochodziła z Łodzi, głównie z

dzielnicy Bałuty. Po kilkudniowych przygotowaniach ruszyliśmy na ćwiczenia.

Zrealizowana wówczas praktyka wniosła wiele w moje przygotowanie do zwodu oficera. Nastąpiło zderzenie wiedzy teoretycznej, nabytej w Oficerskiej Szkole Łączności z praktycznym, codziennym życiem jednostki wojskowej. W czasie praktyki nie było prowadzenia „za rączkę”. Dostałem sprzęt, ludzi, suchy prowiant (dokładnie konserwy i kilkadziesiąt złotych na chleb) oraz zadania do wykonania. Pomimo młodego wieku musiałem zapanować i dowodzić starszymi co najmniej o kilkanaście lat żołnierzami rezerwy. Nie znając dokładnie struktury pułku, nie mówiąc już o rozwijanym systemie łączności, wykonywałem zadania dowiązywania radiolinii do węzłów łączności. Była to dobra praktyka. Pozwoliła mi zmierzyć się z żołnierską rzeczywistością i poczuć się pewniej w dowodzeniu oraz w rozwijaniu systemu łączności.

Życie garnizonowe pułku nie wzbudzało mego optymizmu. W wielu wypadkach nie było zgodne z wzorcami wyniesionymi ze szkoły oficerskiej. Ponieważ kończyłem szkołę oficerską w profilu radioliniowym, więc istniało duże prawdopodobieństwo, że zostanę skierowany do Sieradza. Skorzystałem więc z możliwości wyboru miejsca dalszej służby. Wybrałem 5 Pułk Łączności, który przenosił się w tym czasie z Warszawy do Wałcza. Nie wiedziałem wówczas, że w swojej dalszej służbie wojskowej zatoczę koło i wrócę do Sieradza.

W dniu 12 września 1965 roku odbyła się w Zegrzu promocja naszego rocznika na pierwszy stopień oficerski. 12 października wszyscy tegorocznicy absolwenci szkół oficerskich Wojska Polskiego spotkali się w Warszawie, by na Placu Teatralnym złożyć ślubowanie. Był to dla nas, młodych oficerów, doniosły akt. Treść ślubowania kończyła się słowami: „Nigdy nie zawiodę Ciebie Ojczyzno.” Dzisiaj z satysfakcją stwierdzam, że te słowa towarzyszyły mi przez cały okres zawodowej służby wojskowej.

24 października 1965 roku stawiłem się do jednostki wojskowej w Wałczu. Wykonywałem tam kolejno obowiązki

służbowe na wszystkich stanowiskach dowódczych, do dowódcy batalionu włącznie. Przez wiele lat pełniłem równocześnie obowiązki komendanta garnizonu Wałcz, w którym stacjonowało wówczas jedenaście jednostek i instytucji wojskowych.

W maju 1985 roku zakończyłem służbę w Wałczu i pożegnałem się kolegami.



Wałcz 1985 r. Pożegnanie pplk Jana Kowalskiego w 2 BŁ. Na zdjęciu stoją w pierwszym rzędzie od lewej strony: pplk Tadeusz Wójcicki, plk Ryszard Mizerski, pplk Witold Kowalski, plk Włodzimierz Augustynowicz, pplk Jan Kowalski, mjr Henryk Laszczkowski, mjr Zbigniew Rossa, mjr Stanisław Kupis, mjr Stanisław Rużanowski, mjr Józef Dąbrowski, pplk Jerzy Kowal.

Następnym miejscem mojej służby było Świecie n/d Wisłą. Rozkazem przełożonych zostałem skierowany do 12 Pułku Radioliniowo-Kablowego na stanowisko szefa sztabu zastępcę dowódcy pułku. Po ponad czteroletniej pracy w Świeciu przyszedł

czas na kolejne pożegnanie. Tym razem z 12 Pułkiem Radioliniowo-Kablowym.



Świecie 1989 rok. Pożegnanie pplk Jana Kowalskiego w 12 PRLK. Na zdjęciu od lewej strony stoją: pplk Mirosław Momot, pplk Andrzej Piersa, pplk Zenon Danowski, pplk Andrzej Dębiński, pplk Jan Kowalski, plk Bogdan Grym, pplk Włodzimierz Lewandowski, pplk Witold Mruklik, plk Piotr Meler, kpt. Andrzej Bukowiecki.

W 1989 roku nadszedł czas ponownego spotkania z Sieradzem. 11 września, zgodnie z rozkazem Ministra Obrony Narodowej, zameldowałem się u dowódcy brygady do pełnienia obowiązków zastępcy dowódcy do spraw liniowych.

Wiele zmieniło się tu od 1965 roku. Sieradz był stolicą województwa i liczył prawie 50 tys. mieszkańców. Przybyło dużo instytucji i zakładów pracy. Powstały nowe osiedla. Znacznie powiększył się obszar miasta. Dojeżdżając do Sieradza od strony Poddębic spotkałem tablicę z napisem „Sieradz” w miejscu gdzie kiedyś stała tablica z nazwą miejscowości „Męka”. Jadąc dalej stwierdziłem ze zdziwieniem, że miasto znikłoby znów pojawić się za mostem na rzece Żeglina. Później dopiero dowiedziałem się o

okolicznościach powiększenia terenu miasta w tym kierunku i włączeniu Męki w obszar miejski.

W jednostce wojskowej nr 1551 również zaszły istotne zmiany. Nie było tu już pułku. W 1968 roku powstała na jego bazie 15 Brygada Radioliniowo-Kablowa. Wybudowany został trzeci blok koszarowy, znacznie zwiększyła się ilość pododdziałów, przybyło sprzętu łączności, pojazdów samochodowych oraz budynków garażowych. Dowódcą brygady był w tym czasie płk Władysław Hammer. W skład dowództwa wchodził:

z-ca d-cy ds. politycznych – ppłk Ryszard Makowiecki,
szef sztabu z-ca d-cy - mjr Andrzej Szymonik,
szef służb techn. z-ca d-cy – płk Jerzy Więclawski,
kwaterymistrz z-ca d-cy - płk Krzysztof Głodek.

Obowiązki przekazywał mi mjr Andrzej Dysput, który zajmował stanowisko kierownika Sekcji Systemów Łączności i czasowo pełnił obowiązki z-cy ds. liniowych. Zapoznałem się z dokumentacją, obsadą personalną pododdziałów i mających podlegać mi komórek oraz infrastrukturą brygady. Na koniec dnia, po obejściu terenu koszar, zapytałem o halę sportową. Gdy ją zobaczyłem stanąłem jak wryty. Nie mogłem uwierzyć, że przez tyle lat funkcjonowania brygady, przy doskonałych kontaktach kolejnych dowódców ze sztabami Okręgów Wojskowych oraz Sztabem Generalnym WP, nie zatroszczono się o wybudowanie hali sportowej z prawdziwego zdarzenia. Istniejąca wówczas hala mieściła się w dawnej stołówce żołnierskiej, dobudowanej do budynku kasyna. Pomieszczenie to było niskie, ciemne, z filarami po środku i z ciągle rozsypującym się parkietem. Brak było szatni i zaplecza sanitarnego. O prowadzeniu niektórych ćwiczeń gimnastycznych oraz gier zespołowych nie było mowy. Pokazano mi wówczas budowaną, nową halę sportową. Budowa była niewiele zawansowana. Wylane były fundamenty wraz z zagłębieniem na kotłownię oraz stały słupy konstrukcyjne ścian. Droga do ukończenia tej budowli była jeszcze daleka. Nowa hala sportowa oddana została do użytku w 1997 roku.

Brak wymiarowej hali sportowej był w zasadzie jedynym mankamentem w zabezpieczeniu procesu szkolenia. Było natomiast

wiele mocnych atutów sprzyjających szkoleniu. Na terenie koszar znajdowała się strzelnica umożliwiająca prowadzenie wszystkich programowych strzelań, był stadion sportowy, blok szkoleniowy z dobrze wyposażonymi salami wykładowymi. Sprzęt łączności pododdziałów znajdował się w obrębie koszar. Pozostało mi więc tylko zawinąć rękawy i zabrać się do pracy, która nie była dla mnie nowością.

Dowódcami i komendantami samodzielnych pododdziałów w 1989 roku byli:

1 batalion radioliniowy	- mjr Krzysztof Bogus,
2 batalion radioliniowy	- mjr Lech Kamiński,
1 batalion radioliniowo-kablowy	- ppłk Szymon Franus,
2 batalion radioliniowo-kablowy	- mjr Jerzy Sokołowski,
batalion łączności dalekosiężnej	- ppłk Andrzej Słabiak,
Szkoła Podoficerska	- mjr Grzegorz Kiprowski,
Szkoła Podchorążych Rezerwy	- mjr Krzysztof Jackiewicz,
kompania radiolinii troposferycznych	- kpt. Ryszard Laszczyk,
kompania remontowa	- kpt. Paweł Ratajczyk
kompania zaopatrzenia	- chor. szt. Jan Kiełbasiak.

Spośród moich kolegów z pierwszej kompanii podchorążych, których w 1965 roku przybyło tu ponad dwudziestu, zastałem w brygadzie już tylko dwóch. Byli to mjr Andrzej Rubiś, szef służb technicznych w 1 batalionie radioliniowym oraz mjr Krzysztof Jackiewicz, komendant Szkoły Podchorążych Rezerwy. W czynnej służbie był jeszcze ppłk Janusz Liwak pełniący w tym czasie obowiązki komendanta Wojskowej Komendy Uzupełnień w Sieradzu.

Skład kadry podległych mi komórek przedstawiał się następująco:

kierownik SSL	- mjr Andrzej Desput,
st.inż. SSL	- ppłk Stanisław Lenkiewicz,
komendant poligonu szkolnego	- kpt. Ryszard Hetmanek,
magazynier poligonu szkol.	- chor. szt. Stanisław Wojajczyk,
oficer WF	- mjr Marek Wojtasiak.

W niedługim czasie przekonałem się, że kadra, z którą przyszło mi pracować była dobrze przygotowana do wykonywania

swoich obowiązków. Byli to dobrzy fachowcy, lojalni w pracy i otwarci w rozwiązywaniu nowych problemów. Z perspektywy minionych lat muszę przyznać, że zawsze miałem szczęście do wartościowych podwładnych.

Lata, w których przyszło mi służyć w sieradzkiej jednostce trudno nazwać spokojnymi, zarówno w państwie jak i w wojsku. Rok 1989 to przecież ustalenia „okrągłego stołu”, wybory do tzw. „kontraktowego” Sejmu, wybór prezydenta, zmiany ustrojowe. Kolejne lata to bezpośrednie wybory prezydenckie, wybory do parlamentu, prywatyzacja i wprowadzenie gospodarki wolnorynkowej. Za zmianami w państwie następowały zmiany w wojsku.



Sieradz 1991 r. Na zdjęciu dowództwo brygady; od lewej strony: pplk Andrzej Szymonik, plk Władysław Hammer, pplk Aleksander Rawski, pplk Jan Kowalski, plk Krzysztof Głodek.

W 1990 roku rozwiązana została PZPR. Dało to początek do zmian politycznych w wojsku. Zlikwidowane zostały organizacje partyjne na wszystkich szczeblach. Rozwiązany został Główny Zarząd Polityczny WP. Zlikwidowano stanowiska zastępców dowódców do spraw politycznych wraz z całym pionem

politycznym. W to miejsce utworzono znacznie mniejsze pionow wychowawcze.

Stopniowo ulegały zmianie części naszego umundurowania. Wprowadzone zostały czapki rogatywki, berety, białe koszule do munduru galowego, czarne buty i rękawiczki. W dalszych latach wprowadzono nowe rodzaje umundurowania.

Coraz częściej docierały do nas informacje o planach zmniejszenia stanów osobowych wojska. Ograniczeniu uległy dostawy materiałów i sprzętu. W pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych nie dotarł do nas prawie żaden sprzęt łączności. Drastycznie obniżono limity ON i benzyny. Nadeszły później takie lata, że ze względu na brak paliwa, musieliśmy ćwiczenia rezerwy organizować w koszarach. Powoływany był nie cały batalion, lecz po kolei jego kompanie.

Rzeczywistość początku lat dziewięćdziesiątych odśloniła prawdziwe oblicze niektórych żołnierzy zawodowych. Zdecydowana większość kadry, szczególnie w jednostkach liniowych, potwierdziła swym zachowaniem patriotyzm i oddanie służbie wojskowej. Byli jednak oficerowie, w tym również generałowie, którzy pod przykrywką prekursorów zmian, realizowali swoje prywatne i polityczne cele. Zdradzali tym samym swoich towarzyszy broni i sprzeniewierzali się oficerskiemu etosowi. Historia okazała się dla nich sprawiedliwym sędzią. Wymazała ich ze swoich kart tak skutecznie, że najmłodsze pokolenie żołnierzy zawodowych nie zna ich nazwisk. Ja ich również nie będę wymieniał.

Lata dziewięćdziesiąte uwypukliły jeszcze jeden istotny problem, skrętnie omijany prawie przez wszystkich polityków. Jest to problem apolityczności wojska. Wszyscy jesteśmy zgodni, że armia musi być apolityczna. Z przestrzeganiem tej zasady bywa jednak różnie. Nierzadko politycy różnymi sposobami usiłują pozyskać poparcie sił zbrojnych dla celów własnych, swojej partii czy też określonej grupy biznesu. Tacy politycy powinni być raz na zawsze odsunięci od możliwości sprawowania władzy i skazani na polityczny niebyt. W wojsku znajdują się również oficerowie z politycznymi ciągotami. Powinni oni zostać zwolnieni z wojska. Dla

dobra Ojczyzny, Siły Zbrojne nigdy nie mogą być uwikłane w wewnętrzne spory, ani też w polityczne i prywatne interesy.

Pomimo narastających zawirowań wokół wojska i panującej niepewności jutra, 15 BRLK nie obniżała swojej wartości. Dyscyplina utrzymywana była na wysokim poziomie. Nie zmniejszyliśmy również codziennej wymagalności. Ciągłe poszukiwaliśmy rozwiązań umożliwiających szkolenie żołnierzy i pododdziałów w zmieniających się warunkach. Wybudowany został Terenowy Ośrodek Szkolenia nr 1 (TOS 1). Zamontowano na nim wybrakowanie i zdjęte z podwozi radiolinie R-400. Zdemontowany sprzęt miał przekroczone resursy techniczne, ale był sprawny i nadawał się do szkolenia. Do ośrodka doprowadzone zostało zasilanie energetyczne umożliwiające pracę również innych aparatowni. W wybudowanie tego ośrodka dużo pracy i własnej inwencji wnieśli ppłk Andrzej Desput i kpt. Dariusz Górka. O bieżące utrzymanie ośrodka skutecznie troszczył się por. Krzysztof Królikowski wraz ze swoją kompanią. W niedługim czasie powstał następny ośrodek szkolenia TOS 2. Utworzony został na wykupionym przez wojsko terenie przylegającym do koszar od strony Charłupi Małej. Powyższe rozwiązania umożliwiły nam szkolenie załóg i pododdziałów w okresie braku wystarczającej ilości benzyny i ON. Dużą rolę w szkoleniu odegrał również plac taktyczny położony w odległości 16 kilometrów od Sieradza, w miejscowości Sokołów. Umożliwił on szkolenie ogólnowojskowe i specjalistyczne załóg, plutonów, kompanii oraz batalionu. Uczyliśmy tam również obrony i ochrony rozwiniętych elementów łączności, Węzłów Łączności i Stanowisk Dowodzenia z użyciem środków pozoracji pola walki.



Plac taktyczny w Sokolowie, marzec 1995 r. Plk Jan Kowalski i pplk Krzysztof Bogus podczas ćwiczenia 1 batalionu radioliniowego.

Konsekwentnie realizowane były w brygadzie również zajęcia pokazowe, ćwiczenia instruktażowo-metodyczne oraz szkolenie zintegrowane. Bardzo duże zaangażowanie w procesie szkolenia wykazywał szef saperów mjr Grzegorz Nowaczyk. Dużo inwencji przejawiał szef uzbrojenia mjr Józef Kierbiedź, a później kpt. Kaniewski oraz szef służby chemicznej kpt. Bogdan Młodziński.

W celu zapewnienia warunków do odpoczynku, zaczęliśmy z inicjatywy ówczesnego dowódcy brygady plk Hammera, budować w 1991 roku ośrodek sobotnio-niedzielnego wypoczynku w Rembieszowie. Znajdował on się na wyspie otoczonej Rzeką Widawką i jej odnogą. Ośrodek był stopniowo rozbudowywany. Powstały tam mosty, drewniane domki, boisko do piłki siatkowej, staw rybny, aleje. Organizowane były letnie imprezy, w domkach wypoczywali żołnierze i pracownicy cywilni wojska. W drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych ośrodek w Rembieszowie, z przyczyn mniej lub bardziej obiektywnych, został zlikwidowany.



Sieradz 1962 r. Na pierwszym planie od lewej strony ppłk Jan Kowalski i płk Władysław Hammer. W głębi stoją: chor. Jan Ignaszak i chor. Jerzy Szaflik.

Usiłowaliśmy również wykorzystać do rekreacji sztuczny zbiornik wodny „Jeziorsko” utworzony na Rzece Warta. Jest to jeden z największych tego typu zbiorników w Polsce. Z klubu żeglarskiego w Zegrzu otrzymaliśmy dwie wybrakowane łodzie typu „omega”. Po wyremontowaniu i wyposażeniu w takielunek jedną z nich wodowaliśmy na okres lata na zbiorniku „Jeziorsko” w Pęcznieniu. Przygotowaniem i utrzymaniem łodzi na wodzie zajmował się kpt. Marek Gładzki, pasjonat żeglarstwa posiadający uprawnienia sternika morskiego. Z czasem, wobec nikłego zainteresowania kadry żeglarstwem, łodzie zostały zlikwidowane.

Dla utrzymania umiejętności pracy na sprzęcie łączności organizowane były, z naszej inicjatywy, treningi łączności troposferycznej z pułkiem łączności w Śremie. Treningi te pozwalały pracować na dużych odległościach bez dalekich wyjazdów stacji R-412. Przynosiło to wymierne oszczędności.

Dużo satysfakcji dostarczali nam nasi radiotelegrafiści. Radiostacje R-140 nie były naszym zasadniczym sprzętem, tak jak radiotelegrafiści nie byli wiodącą specjalnością. Pomimo to na zawodach okręgowych nasi żołnierze zajmowali czołowe miejsca. Było to zasługą takich radiowców jak st. sierż. szt. Zbigniew Kupis, st. chor. Troczyński, st. chor. Szewczyk, st. chor. Gaik.

Przez wszystkie lata, o których wspominam, konsekwentnie realizowaliśmy wszystkie zamierzenia. Szkolenie biegło bez taryfy ulgowej, z tym większą determinacją im trudniejsze były warunki i większa niepewność jutra.

Utrzymanie na wysokim poziomie szkolenia, dyscypliny i gotowości bojowej było również zasługą dowódców pododdziałów. Byli to oficerowie oddani swojej pracy. Rzadko zdarzało mi się słyszeć ich narzekania. Do rozwiązywania piętrzących się problemów podchodzili z dużą determinacją. Dowódcy pododdziałów tamtych lat byli wielką wartością naszej brygady. Nie wszyscy zdawali sobie z tego sprawę. Rozpamiętując tamte czasy często wspominam takich dowódców jak:²

ppłk Krzysztof Bogus,
ppłk Lech Kamiński,
ppłk Ryszard Laszczyk,
mjr Jerzy Wiśniewski,
płk Marek Gładysz,
ppłk Andrzej Paterczyk,
mjr Artur Malec,
płk Wiesław Rychłowski,
ppłk Krzysztof Królikowski,
ppłk Dariusz Dejneka,
ppłk Daniłowski ,
kpt. Robert Alagierski,
mjr Jacek Gołąbek,
st. chor. Piotr Błyszczyk.

Wspólna służba z tymi dowódcami pododdziałów dawała mi wiele satysfakcji.

² Przy nazwiskach podałem najwyższe, znane mi stopnie wojskowe w/w kadry.

Młodym oficerom 15 SBWD życzę, żeby potrafili dorównać swoim poprzednikom. Życzę im również żeby posiadali równie wysokie poczucie honoru i satysfakcję z posiadanego stopnia oficerskiego.

Ważną rolę w szkoleniu specjalistycznym i podczas ćwiczeń mieli do spełnienia oficerowie Sekcji Systemów Łączności. Była to komórka bardzo dobrze wykonująca swoje obowiązki. Pomimo zmieniającej się obsady jej wartość nie ulegała zmianie. Kierownikami SSŁ kolejno byli: ppłk Andrzej Desput, ppłk Stanisław Lenkiewicz, ppłk Krzysztof Bogus, kpt. Mieczysław Głogowski, ppłk Marek Lewandowski. Starszymi inżynierami byli mjr Wiesław Mazur i kpt. Jerzy Kowalczyk.

Za przygotowanie i utrzymanie obiektów szkoleniowych odpowiedzialna była kadra Poligonu Szkolnego. Oprócz remontów i modernizacji obiektów prowadzili oni również gospodarkę materiałową. Był to zgrany i dobrze funkcjonujący zespół. Jego pracą kierował komendant mjr Dariusz Górka. W skład zespołu wchodził chor. szt. Stanisław Wojajczyk, sierż. szt. Włodzimierz Owczarek, st. sierż. Stanisław Dubiński i pan Jan Jabłoński.

Wychowaniem fizycznym w brygadzie zajmował się mjr Marek Wojtasiak. Był to dobry specjalista i organizator. Dbał o wysoki poziom szkolenia fizycznego i zawodów sportowych. Reprezentacja brygady zajmowała wysokie miejsca w różnych dyscyplinach sportowych podczas zawodów na szczeblu okręgu. Po jego odejściu do WKS Śląsk godnie go zastąpił na tym stanowisku por. Piotr Godłów.

Brygada od dłuższego czasu liczyła się z możliwością kontroli przez Inspekcję Sił Zbrojnych. Takiej kontroli nie było bowiem od wielu lat. Na początku 1990 roku jednostka poddana została kontroli przez komisje ze Sztabu Generalnego WP pod przewodnictwem szefa Wojsk Łączności SGWP gen. Henryka Andrackiego. Wyniki przeprowadzonej kontroli potwierdziły dobre przygotowanie brygady do wykonywania stojących przed nią zadań, dając nam satysfakcję z dotychczasowej pracy.

Od początku lat dziewięćdziesiątych stopniowo zmniejszała się ilość ćwiczeń prowadzonych przez Sztab Generalny. W czerwcu 1990 r. odbyło się ćwiczenie z udziałem brygady na Poligonie

Toruńskim. W czerwcu następnego roku brygada brała udział w ćwiczeniu na Poligonie Drawskim.



1991 rok, ćwiczenia na Poligonie Drawskim. Na zdjęciu od lewej strony: ppłk Jan Kowalski, mjr Bogdan Kosieniak, kpt. Jerzy Kowalczyk.

Zapewnialiśmy wówczas łączność radioliniowo-przewodową dla Stanowiska Dowodzenia oraz dla ćwiczących jednostek zmechanizowanych. W 1992 roku odbyły się dwa duże ćwiczenia. Pierwsze z nich było prowadzone na Poligonie Żagańskim. Brały w nim udział wojska lądowe. Drugie ćwiczenie prowadzone było we wrześniu. Podczas tego ćwiczenia rozwijane były stanowiska dowodzenia. Brygada organizowała łączność radioliniowo-przewodową dla Stanowiska Dowodzenia rozwiniętego w Karwicach. Rozwinięte Stanowisko Dowodzenia oraz Węzeł Łączności wizytował ówczesny szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego Lech Kaczyński. Ćwiczenia te były jednymi z ostatnich dużych ćwiczeń z wojskami, prowadzonych w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych. W następnych latach prowadzone były treningi sztabowe połączone z fragmentarycznym rozwijaniem systemów łączności. Organizowane były również przez Szefostwo Wojsk Łączności a później przez Zarząd Łączności SG treningi systemów łączności.

Na szczeblu Wojska Polskiego prowadzono dalsze prace nad nowymi strukturami. Zmniejszały się stany osobowe w jednostkach. Część jednostek uległa rozwiązaniu. W brygadzie również nastąpiły zmiany etatowe. Pierwsza fala zwolnień nastąpiła w korpusie oficerów starszych. Odchodzili do rezerwy majorzy i podpułkownicy, którzy nie posiadali wyższego wykształcenia. W następnej kolejności mieli być zwolnieni oficerowie starsi nieposiadający akademickiego wykształcenia.

W 1991 roku nastąpiła zmiana na stanowisku szefa służb technicznych zastępcy dowódcy. Z brygady odszedł płk Jerzy Więclawski a jego miejsce zajął ppłk Adam Łochowski.

W lutym 1994 roku dotychczasowy dowódca brygady płk Władysław Hammer odszedł na stanowisko szefa WSzW Poznań. Obowiązki dowódcy brygady objął płk Jerzy Dymczyk.

Rok 1995 przyniósł kolejne zmiany w dowództwie brygady. Ze stanowiska kwatermistrza zastępcy dowódcy brygady odszedł płk Krzysztof Głodek. Na jego miejsce przyszedł ppłk Stanisław Gardzielik.

14 października 1955 roku 15 BRLK otrzymała nowy sztandar i nazwę 15 Sieradzka Brygada Radioliniowo-Kablowa.



Sieradz 1995 r. Pożegnanie sztandaru 15 Batalionu Radiolinii przez delegację żołnierzy brygady w składzie: ppłk T. Gajdziński, st. chor. szt. Wojciech Grobela, st. sierż. szt. Marian Kuciński. W skład pocztu wchodził: por. R. Krupa, chor. Jacek Kamiński, st. sierż. Roman Filipiak.



Sieradz 1995 r. Plk Dymczyk przekazuje sztandar 15 SBRLK pocztowi sztandarowemu w składzie: por. K. Świderki, chor. Jachimowski Mariusz, sierż. Andrzej Błaszczyk.

Uroczystość wręczenia sztandaru odbyła się na Rynku w Sieradzu.



*Sieradz 1995 rok.
Na pierwszym planie dowódca uroczystości plk Jan Kowalski.*

Przez 35 lat żołnierze brygady służyli pod sztandarem 15 Batalionu Radiolinii, który po uroczystości przekazany został do Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.

W 1996 roku następują dalsze zmiany etatowe. Połączony został pion techniczny i kwatermistrzowski. Powstała w ten sposób logistyka, na czele której stanął szef logistyki zastępca dowódcy brygady. Został nim płk Stanisław Gardzielik, a jego zastępcą płk Adam Łochowski. Moje stanowisko również uległo zmianie. W miejsce zastępcy dowódcy do spraw liniowych wprowadzono stanowisko szefa szkolenia zastępcy dowódcy, na które zostałem wyznaczony. Utworzony został pion szkolenia, w skład którego weszła Sekcja Systemów Łączności, Sekcja Szkolenia i Poligon Szkolny. Sekcja Szkolenia była nowoutworzoną komórką, której kierownikiem został ppłk Krzysztof Bogus. Oficerami szkoleniowymi zostali mjr Jan Brzęczek i kpt. Piotr Godłów.



Walc 1997r. Trening sztabowy jednostek łączności MON. Na zdjęciu od lewej strony: ppłk Marek Lewandowski, ppłk Andrzej Desput, płk Jan Kowalski.³

³ Zdjęcie zaczerpnięto z książki „HISTORIA JW 2016”. Pozostałe zdjęcia pochodzą ze zbiorów autora.

W drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych rozpoczął się, odczuwalny również w brygadzie, proces przechodzenia na nowy system łączności oparty na technice cyfrowej. Prowadzone były prace nad ucyfrowieniem kanałów łączności na radioliniach R-404 i R-412. Ucyfrowienie tych kanałów dawało możliwość powiązania systemów analogowego i cyfrowego. Tworzyło się jednak „wąskie gardło” na styku tych systemów. Ponadto utrzymywanie dwóch systemów przez dłuższy okres czasu było nieopłacalne ekonomicznie. Z tego powodu nie intensyfikowano dalej tych prac. Do brygady zaczęły napływać pierwsze aparatownie cyfrowe. Rozpoczęliśmy szkolenie kadry z techniki i systemów łączności cyfrowej w oparciu o bazę gabinetową i posiadane aparatownie cyfrowe. Wysyłaliśmy również wytypowanych żołnierzy zawodowych na kursy do COSŁ w Zegrzu oraz do WZŁ w Zegrzu Południowym. Równie intensywnie trwało szkolenie kadry ze znajomości języka angielskiego na kursach w Łodzi i w Sieradzu.

To śmiałe i szybkie wejście w świat nowej techniki stało się naszym atutem w zbliżającej się restrukturyzacji jednostek łączności. Ważyły się wówczas losy dotyczące przyszłości naszej brygady.

W grudniu 1997 roku, w wyniku doznanych obrażeń podczas wypadku samochodowego, zmarł dowódca brygady płk Jerzy Dymczyk. Na początku 1998 roku nastąpiły zmiany w dowództwie brygady. Na dowódcę brygady wyznaczony został płk Andrzej Szymonik. Ja objąłem stanowisko szefa sztabu zastępcy dowódcy brygady. Obowiązki szefa szkolenia przekazałem ppłk Markowi Lewandowskiemu. Pełnił on je do czasu przybycia na to stanowisko ppłk Jacka Kapuściarka.

Rok 1998 był bardzo dynamiczny w życiu brygady. W dalszym ciągu trwało intensywne szkolenie w zakresie poznawania nowego sprzętu oraz jego użycia w systemach łączności. Żołnierze brygady wraz z aparatownikami cyfrowymi brali udział w tak zwanych warsztatach łączności, podczas których sprawdzano i

doskonalono współpracę elementów łączności armii państw wchodzących w skład NATO.

Aktywnie przygotowywaliśmy się do wejścia w struktury NATO. Prowadzone było w dalszym ciągu szkolenie z języka angielskiego, ze znajomości natowskich procedur, z zasad przygotowywania i organizowania systemów łączności. Z satysfakcją wspominam zaangażowanie większości kadry w przyswajanie nowej wiedzy.

1999 rok rozpoczął się pod znakiem inspekcji. W lutym zostaliśmy poddani gruntownej kontroli inspekcyjnej. Jej wynik potwierdził dobrą pracę kadry oraz zaangażowanie całego stanu osobowego. Otrzymaliśmy ocenę dobrą. 12 marca 1999 roku Polska stała się członkiem NATO. Nasze kontakty z koalicyjnymi partnerami stawały się coraz częstsze. Pod koniec tego roku odszedł do rezerwy ppłk Jacek Kapuścianek. Na jego stanowisko został wyznaczony ppłk Roman Chwastowski.

W 2000 roku przybył do brygady pierwszy etatowy kapelan. Był nim ks. kapelan mjr Zenon Sodzawiczny. Do czasu jego przybycia posługę duszpasterską pełnili kapelani wojskowi z Kalisza, a później proboszcz parafii z osiedla Brzezinki, położonej obok koszar brygady. Podczas pełnienia obowiązków przez kapelana mjr Zenona Sodzawicznego utworzona została na terenie jednostki izba modlitwy, oraz wydzierżawiony a następnie w dniu 8.11.2001 roku wykupiony kościół przy ulicy Kościuszki. Kościół ten był wcześniej własnością gminy ewangelickiej ze Zduńskiej Woli. W listopadzie 2001 roku nastąpiła zmiana kapelanów. Ksiądz kapelan mjr Zenon Sodzawiczny odszedł na parafię wojskową w Szczecinku, a na jego miejsce przybył ks. kapelan mjr Jerzy Niedbała.

Rok dwutysięczny to coraz szerszy udział naszych pododdziałów w ćwiczeniach sojuszniczych. W Wojsku Polskim trwał ciągle proces restrukturyzacji. Powstawały różne koncepcje kształtu Sił Zbrojnych. Zmieniały się struktury, podporządkowania i

etaty. Jednostki wojskowe i kadra w nich służąca, w mniejszym lub większym stopniu, czuła się zagrożona. Problemy te nie ominęły i naszej jednostki. Część etatów była likwidowana. Ulegały obniżeniu etatowe stopnie wojskowe dowódców batalionów, dowódców kompanii, kierowników sekcji, szefów służb. W dowództwie brygady również nastąpiły istotne zmiany. Były one skutkiem zmiany etatu wprowadzonej w drugiej połowie 2000 roku. Szef sztabu, szef szkolenia i szef logistyki przestali być zastępcami dowódcy brygady. Ich etaty zostały obniżone do stopnia podpułkownika. Utworzony został etat zastępcy dowódcy brygady. Zostałem wyznaczony na to stanowisko. Szefem sztabu został ppłk Roman Chwastowski, a szefem szkolenia ppłk Marek Lewandowski. Na stanowisku szefa logistyki pozostał płk Stanisław Gardzielik. Stanowisko kierownika sekcji systemów łączności po ppłk Lewandowski objął ppłk Jerzy Sokołowski.

Rok 2001 był kolejnym rokiem wytężonej pracy jak również niepewności i zmian. Nastąpiły dalsze zmiany zadań, przeznaczenia i struktur na szczeblu Okręgów Wojskowych, Rodzajów Wojsk i Sztabu Generalnego. Z Okręgów Wojskowych wychodziły jednostki operacyjne i przekazywane były w inne podporządkowanie. 15 Sieradzka Brygada Radioliniowo-Kablowa podporządkowana została Dowództwu Garnizonu Warszawa. W maju 2001 roku odbyło się w Sieradzu uroczyste przekazanie 15 SBRLK ze Śląskiego Okręgu Wojskowego do Dowództwa Garnizonu Warszawa.

Dla żołnierzy naszej jednostki zakończył się okres niepewności o dalsze losy brygady. Zapadły ostateczne decyzje dotyczące między innymi jednostek łączności. Z dniem 31.12. 2001 roku miały ulec rozwiązaniu: 12 Pułk Radioliniowo-Kablowy w Świeciu, 14 Pułk Radioliniowo-Kablowy w Strzegomiu oraz 2 Brygada Łączności w Wałczu. Pod koniec tego roku odbyły się uroczyste pożegnania sztandarów tych jednostek oraz ich praktyczne rozwiązanie.

Niezależnie od przyczyn formalnych, z powodu których rozwiązana została 2 BŁ, a pozostała 15 SBRLK, nie bez znaczenia

była intensywna praca żołnierzy naszej brygady mająca odzwierciedlenie w uzyskiwanych ocenach podczas ćwiczeń i kontroli, starania dowództwa brygady oraz wsparcie dużego grona naszych przyjaciół zajmujących różne stanowiska w wielu instytucjach wojskowych i cywilnych.

Nasza satysfakcja i zadowolenie z zaistniałej sytuacji mieszała się ze smutkiem. Rozformowane zostały jednostki łączności z którymi łączyły nas bliskie kontakty zawodowe i koleżeńskie. Wielu naszych kolegów musiało szukać pracy. Zlikwidowanie tych jednostek dotknęło mnie osobiście. Z żołnierzami 2 BŁ i 12PRLK spędziłem wiele lat wspólnej pracy. Dzieliłem z nimi trudy żołnierskiego życia. Szczególnie przeżyłem rozformowanie 2 BŁ, w której spędziłem lata młodszej służby i zdobywałem oficerskie doświadczenie.



Rok 1966. Ppor. Waclaw Nowak, ppor. Anatol Wojciunas i ppor. Jan Kowalski podczas ćwiczeń w Walczu.

Po wejściu w struktury Dowództwa Garnizonu Warszawa przystąpiliśmy, na polecenie przełożonych, do opracowania nowego etatu brygady. Miał on być on dostosowany do nowych zadań brygady z uwzględnieniem posiadanego sprzętu cyfrowego oraz planowanych dostaw.

Zmiana zadań oraz przeznaczenia brygady niosła za sobą również zmianę jej nazwy. Nowy etat nie dla wszystkich żołnierzy był przyjazny. Zmniejszony został stan osobowy oraz ponownie obniżone zostały etatowe stopnie wojskowe.

Opracowując projekt etatu mieliśmy niewielkie pole manewru. Przekazane nam warunki brzegowe do jego tworzenia cisnęły jak kołnierzyk koszuli z młodszego brata. Ograniczono ilość żołnierzy zawodowych i służby zasadniczej. Zmniejszono ilość stanowisk oficerskich oraz obniżono ich stopnie wojskowe. Okazało się, że etaty oficerów starszych pozostawiono do dyspozycji gdzieś w wyższych sztabach i instytucjach. Ponownie zapomniano, że to jednostki liniowe decydują o wartości bojowej wojska. Projekt etat został opracowany w nakazanym terminie i przekazany do sztabu DGW.

W następnym roku 15 Sieradzka Brygada Radioliniowo-Kablowa została przeformowana w 15 Sieradzką Brygad Wsparcia Dowodzenia. Z chwilą wprowadzenia nowego etatu do realizacji część kadry traciła pracę. Po paru miesiącach rozpoczęło się zwalnianie tej części kadry, dla której nie znaleziono stanowiska pracy w Sieradzu lub w innych garnizonach.

Oszczędzono mi przeżywania dalszych zwolnień kadry z zawodowej służby wojskowej oraz uczestniczenia w przykrych pożegnaniach żołnierzy, którzy wiele lat swojego życia poświęcili tej służbie. Pomógł mi w tym Minister Obrony Narodowej.

Nadchodzący 2002 rok kończył moją służbę zawodową ze względu na osiągnięcie ustawowej granicy wieku. W dniu 2 lutego decyzją Ministra Obrony Narodowej zostałem zwolniony z zawodowej służby wojskowej i przeniesiony do rezerwy.



Sieradz 01.02.2002 r. Dowódca Garnizonu Warszawa gen. bryg. Marian Mainda żegna odchodzącego do rezerwy płk Jana Kowalskiego.



Sieradz 01.02. 2002 r. Pożegnanie płk Jana kowalskiego z zawodową służbą wojskową. Na zdjęciu, w pierwszym rzędzie od lewej strony stoją: ppłk rez. Marian Frajtał, ks. prałat Józef Fronczak, pani Helena Płóciennik-Wasiak, płk Andrzej Szymonik, płk Jan Kowalski, dowódca DGW gen. Marian Mainda, starosta Kazimierz Podkościelny, ppłk Roman Chwastowski, płk Władysław Hammer, płk rez. Henryk Szafranowski.

W przedstawionych wspomnieniach nie zdołałem omówić wszystkich wydarzeń, ani wymienić wszystkich kolegów, z którymi miałem przyjemność służyć w 15 Sieradzkiej Brygadzie Radioliniowo-Kablowej. Wynika to ograniczonej objętości wspomnień, a nie z braku uznania ich pracy.

Na zakończenie moich wspomnień pragnę wyrazić głęboki szacunek wszystkim żołnierzom, którzy służyli i służą w naszej Sieradzkiej Jednostce.

Płk w st. spocz. Jan Kowalski

Sieradz 25.11.2008 r.

***CZYN PRZEMINAŁ,
WSPOMNIENIA O NIM POZOSTAJĄ,
TRWAJĄ.***

Ovidius Publius Naso